ŚMIAŁA ZAGRYWKA PIŁSUDSKIEGO
Marszałek dążył do zmiażdżenia bolszewików w operacji niemeńskiej

ZEMSTA ZA CZERWIEC '56
Pokazowe procesy poznańskich robotników spaliły na panewce

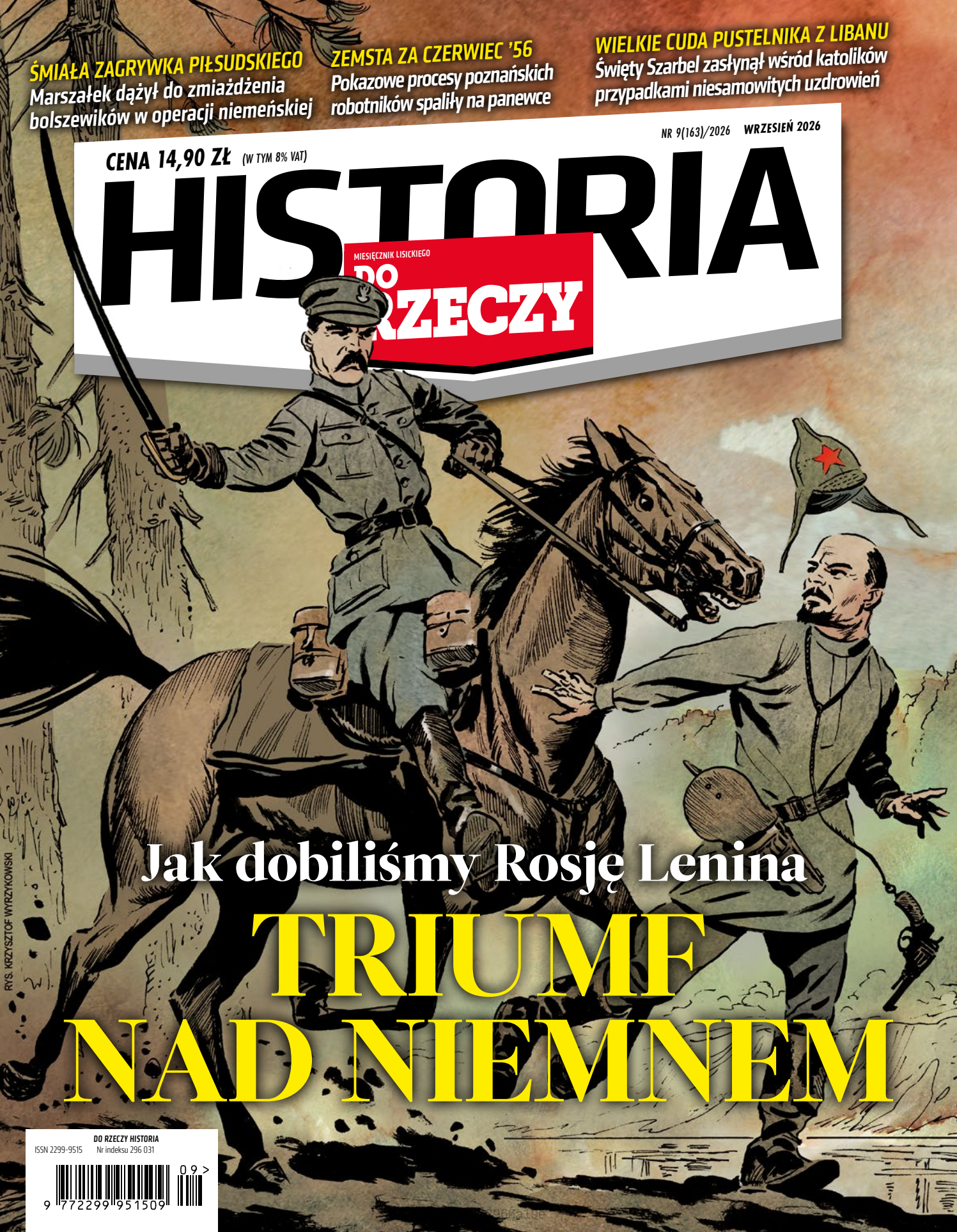
WIELKIE CUDA PUSTELNIKA Z LIBANU
Święty Szarbel zasłynął wśród katolików przypadkami niesamowitych uzdrowień

NR 9(163)/2026 WRZESIEŃ 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO DO RZECZY



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Jak dobiliśmy Rosję Lenina

TRIUMF NAD NIEMNEM

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
09
9 772299 951509

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JERZY PTAKOWSKI: „AUSCHWITZ. BEZ CENZURY I BEZ LEGEND”

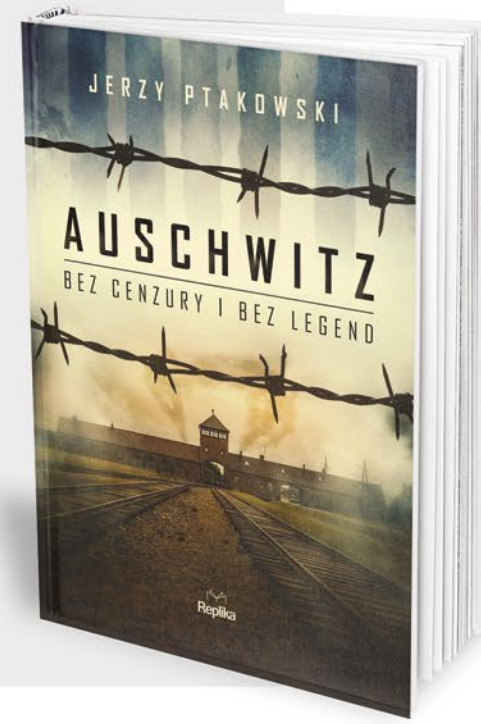
Niezwykłe wspomnienia z czterech lat spędzonych w kl Auschwitz. Obozowy ruch oporu w nowym świetle.

Jerzy Ptakowski mierzy się z mitami o Auschwitz narosłymi wskutek oddziaływania wieloletniej propagandy i tarć interesów rozbieżnych frakcji politycznych.

Opowiada o bohaterach: o Witoldzie i Janie Pileckich, o. Maksymilianie Kolbem i Janie Mosdorfie; o obozowym ruchu oporu i relacjach pomiędzy różnymi narodowościami. Wskazuje na nierozliczone po wojnie zbrodnie oraz zdarzenia, za sprawą których dziś głosi się, że „nie tylko Niemcy ponoszą odpowiedzialność”, bo „w Auschwitz mordowali także Polacy”.

Jako członek władz Stronnictwa Narodowego Ptakowski uwypukla obozową działalność narodowców z SN i ONR. Nie jest jednak stronniczy. Jego wspomnienia mają uzupełniać literaturę i nadrobić występujące w niej luki. Sam również uczestniczył we władzach podziemnych struktur. Podkreśla, że w dramatycznych warunkach obozowych nad partykularyzmem przeważało poczucie narodowej solidarności i wspólnoty bądź też zwyczajne zrozumienie dla ludzkiej niedoli. Pragnienie pokonania wspólnego wroga przełamywało lody i skłaniało do współpracy najzagorzalszych przedwojennych politycznych oponentów.

Taki obraz oraz spojrzenie przez pryzmat ugrupowań narodowych czynią książkę Ptakowskiego wręcz unikatową. O narodowcach w Auschwitz mówi się bowiem mało, niechętnie. Jakby wręcz „nie wypada”.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

171 zł

oszczędność 58 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dc2966a19e

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / 1920 r.

Generał Daniel Konarzewski i oficerowie sztabu 14. Dywizji Piechoty, która wzięła udział w bitwie niemeńskiej



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.WBH-CAW

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Od Niemna do Rygi

Zwycięstwo pod Warszawą odniesione w sierpniu 1920 r. było oszałamiającym sukcesem. Polska obroniła swoją stolicę i odradzającą się państwowość, odrzuciła bolszewików na wschód, ale przecież Armia Czerwona zbierała swoje siły na północno-wschodnich kresach II RP. Wynik wojny z bolszewicką Rosją nie był jeszcze rozstrzygnięty. Przeciwnik chwiał się na nogach, ale wciąż był w stanie zadawać ciosy.

Właśnie nad Niemnem miesiąc po wiktorii warszawskiej Polacy wyprowadzili uderzenie, które ostatecznie przekonało Lenina, że nie będzie żadnego „eksportu" rewolucji na zachód na bagnetach krasnoarmiejców.

Jednak triumfujący Polacy również mieli dość. Społeczeństwo wyniszczone przez działania wojenne toczące się na polskich ziemiach już od sześciu lat chciało w końcu spokoju. Polskie władze rozumiały też, że nie da się zbrojnie wykończyć bolszewików i trwale usunąć zagrożenia z ich strony – na to nasz kraj był zdecydowanie zbyt słaby. Trzeba było się umówić z Rosją sowiecką na współistnienie na najlepszych możliwych dla Polski warunkach.

Do dziś wśród historyków toczą się ostre spory na temat tego, czy Polacy wystarczająco dobrze wykorzystali podczas negocjacji w Rydze zwycięstwa nad Wisłą i Niemnem. Dlaczego Mińsk i Kamieniec Podolski zostały po „złej" stronie, choć – patrząc na mapę – wystarczało minimalnie przesunąć linię graniczną? Czy polskie władze zdradziły rodaków pozostawionych po sowieckiej stronie? Przyjrzyjmy się zatem końcówce zmagań Polski z bolszewikami – od zwycięstwa nad Niemnem aż do umowy kończącej tę śmiertelnie groźną dla II RP wojnę. ©℗

eprasa.pl dc2966a19e



/ TEMAT NUMERU

.6 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Lewy niemeński

.10 MICHAŁ MACKIEWICZ
Z odrobiną nowoczesności na bolszewików

.12 ANDRZEJ CHWALBA
Klucz do Rygi

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Z ziemi rosyjskiej do Polski

.20 JAKUB OSTROMĘCKI
Żydzi Lenina i Piłsudskiego

/ CZASY I LUDZIE

.24 PIOTR WŁOCZYK
Cuda libańskiego pustelnika

.30 ANNA SZCZEPAŃSKA
Legenda Bułgarobójcy

.34 MIKOŁAJ IWANOW
Syberyjska beczka prochu

.38 PIOTR SEMKA
Nieudolna pokazówa sądowa

.42 SŁAWOMIR KOPER
Debiut żywych torped

.46 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Gasnący impet ofensywy Brusiłowa

.50 ADAM HLEBOWICZ
Wielka ucieczka z Sołówek

.54 ARKADIUSZ KARBOWIAK
„Onze Jongens" na froncie

.58 PIOTR WŁOCZYK
Uciec z wołyńskiego piekła

.62 MAREK GAŁĘZOWSKI
Spełniony obowiązek

/ CO CZYTAĆ

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Oczarowanie Iwaszkiewicza

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pokwitowania

.73 PIOTR SEMKA
Nakba kontra Holokaust

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 LESZEK LUBICKI
Chrobry kontra Niemcy: runda III

/TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Historia pod wpływem

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Polski żołnierz pod niemiecką lupą

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Rozkaz Jeżowa: zabijać Polaków

eprasa.pl dc2966a19e

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl dc2966a19e



Polska kawaleria podczas bitwy nad Niemnem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

1920 r. / Po Cudzie nad Wisłą

Lewy niemeński



Grzegorz Janiszewski

„Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w telegramie do Lenina gen. Michaił Tuchaczewski. Dopiero cios wyprowadzony przez Polaków nad Niemnem złamał marzenia Kremla o „eksporcie" rewolucji

W wyniku Bitwy Warszawskiej Sowieci zostali rozbici i odsunięci od Warszawy i centralnej Polski. Daleko było jednak do całkowitego zwycięstwa. Dlatego natychmiast po zakończeniu zmagań u bram stolicy Piłsudski zarządził pościg za uciekającymi bolszewikami. Pięć polskich dywizji zaatakowało lewe, odsłonięte skrzydło przeciwnika. Sowieci zupełnie się tego nie spodziewali. Polski atak groził odcięciem dróg zaopatrzenia i dowództw od walczących wojsk. Bolszewicy rozpoczęli paniczną ucieczkę na północny wschód.

Generał Michaił Tuchaczewski potrafił jednak opanować sytuację. Już 26 sierpnia zdołał stworzyć linię obrony nad Niemnem, Szczarą i Świsłoczą, przygotowując się do kolejnej ofensywy. „Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w specjalnym telegramie do Lenina. W tym czasie polska armia wyczerpana walkami i pościgiem nie była mu w stanie przeszkodzić. Zaczął się wyścig z czasem.

Na początku września Sowieci mieli już do dyspozycji 114 tys. żołnierzy; prawie tyle, co przed Bitwą Warszawską. Ich morale było jednak różne. Częściowo byli to dezerterzy wyłapani po Bitwie Warszawskiej, część stanowili miejscowi poborowi, a reszta składała się z posiłków przysłanych z głębi Rosji. Przez Litwę powróciło też 30 tys. czerwonoarmistów internowanych w Prusach Wschodnich. Tuchaczewski po odtworzeniu gotowości oddziałów zamierzał nacierać w kierunku Białegostoku i Brześcia, a następnie na Lublin. Potem, po wzmocnieniu lewego skrzydła przez jednostki sowieckiego frontu południowo-zachodniego, chciał wyprowadzić atak w kierunku Wisły. Wciąż był przekonany, że pokonanie dowodzonej przez „jaśniepanów" polskiej armii jest możliwe. Robotnicy i chłopi radośnie powitają wtedy bolszewików jako wyzwolicieli, a droga do zrewoltowanych Niemiec będzie stała otworem. „Polacy, którzy w swą kontrofensywę włożyli całą, jaka im jeszcze pozostała, energię, wyczerpali się i nie byli w stanie rozwinąć osiągniętego powodzenia" – pisał do swoich przełożonych w Moskwie.

Bolszewickie władze były jednak bardziej sceptyczne. Bitwa Warszawska przekonała je, że sowietyzacja Polski nie będzie łatwą sprawą. Dodatkowo sytuacja w samej Rosji była niestabilna. Na Krymie cały czas utrzymywały się silne oddziały białych, a ponadto przez kraj przetaczała się kolejna fala chłopskich buntów. Brakowało też sił, by wzmocnić front południowo-zachodni. Po stoczonej w końcu sierpnia bitwie pod Komarowem 1. Armia Konna Budionnego nie była zdolna do walki. Front Zachodni przestał odgrywać pierwszoplanową rolę. Najpierw należało było ugasić pożary wewnątrz kraju. Wizję światowej rewolucji trzeba było odłożyć na później.

Natomiast dla Polski wynik kolejnego starcia oznaczał być albo nie być. W sierpniu, podczas rozmów pokojowych w Mińsku, sowiecka delegacja przedstawiła stronie polskiej „tradycyjne" kremlowskie warunki dla tej części Europy. Formalnie niepodległa Polska miała zostać zdemilitaryzowana, przekazać Sowietom broń i sprzęt wojskowy oraz przyznać im bezwarunkowe prawo tranzytu przez swoje terytorium dla

eprasa.pl dc2966a19e



Marszałek Józef Piłsudski i gen. Edward Śmigły-Rydz, dowódca 2. Armii przed bitwą nad Niemnem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

ludzi i towarów. Linia Curzona miała być naszą wschodnią granicą. Zmęczone wojną polskie społeczeństwo mogło to nawet zaakceptować.

Piłsudski dobrze wiedział, że przed zimą trzeba zadać bolszewikom decydujący cios albo młode państwo szybko stanie się kolejną sowiecką „republiką". Nie było na co czekać; trzeba było atakować, przyprzeć wroga do muru i negocjować z pozycji siły. I trzeba było to zrobić szybko, zanim Sowieci otrząsną się po klęsce i ściągną uzupełnienia. „Chcę zwyciężyć niebywałą dotąd szybkością ruchów wojska" – napisał Marszałek w rozkazie do operacji.

Na Grodno!

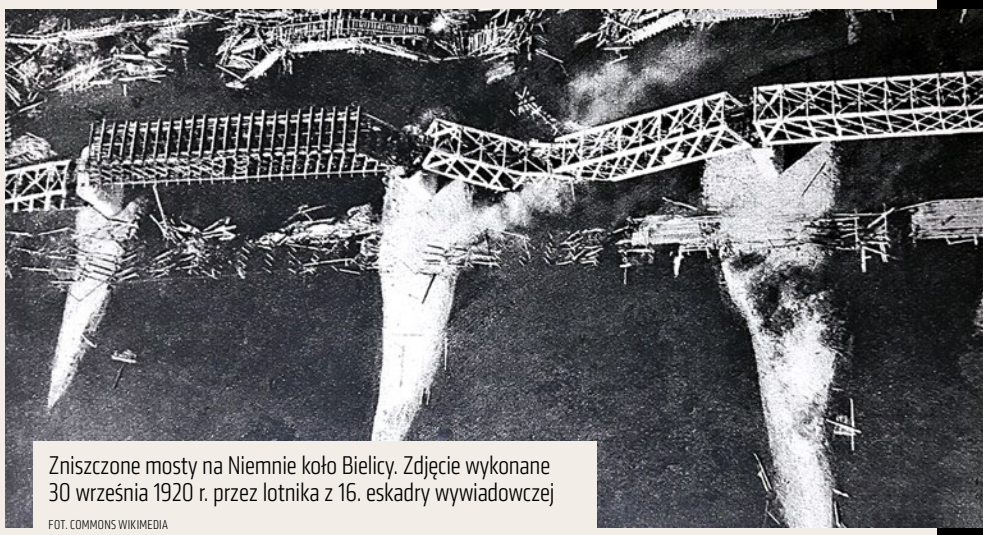
Oddziały Armii Czerwonej rozlokowane były między bagnami Prypeci a granicą Litwy. Formalnie neutralnej w konflikcie, ale jawnie sprzyjającej Sowietom. Litwini liczyli na przestrzeganie przez Sowietów umowy z lipca 1920 r., która pozostawiała im Wileńszczyznę i Grodzieńszczyznę. Teren był płaski, poprzecinany Niemnem i jego dopływami. Dróg było niewiele, obronę oprzeć można było na rzekach i fortach twierdzy Grodno.

Pod koniec sierpnia Piłsudski skierował w rejon Białegostoku 2. Armię dowodzoną przez gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, a 4. Armię, dowodzoną przez gen. Leonarda Skierskiego, w okolice Brześcia. Na odprawie przeprowadzonej w tym mieście 10 września Marszałek przedstawił dowódcom swój tajny plan. Uderzenie dwóch polskich dywizji miało być wyprowadzone prosto na centrum sowieckiego ugrupowania – Grodno. Polacy mieli związać tam sowieckie siły i dążyć do przełamania obrony. Śmigły-Rydz dostał rozkaz sformowania Grupy Uderzeniowej składającą się z dwóch dywizji piechoty i dwóch brygad jazdy. Miała ona przejść przez terytorium Litwy, przeprawić się przez Niemen i w okolicach Lidy wyjść na tyły Sowietów. Naruszało to litewską suwerenność, ale to posunięcie było o wiele łatwiejsze niż oskrzydlanie przez poleskie bagna. Taki manewr odcinał też Armię Czerwoną od granicy z Litwą. Natomiast Skierski z czterema dywizjami i jedną brygadą piechoty miał atakować od południa, w kierunku Baranowicz, zajmując ważny węzeł kolejowy w Wołkowysku. W rezultacie tych działań oddziały Tuchaczewskiego miały zostać okrążone, zepchnięte w poleskie błota i zniszczone.

Polacy zdołali zgromadzić 15 dywizji piechoty i trzy brygady jazdy – w sumie ok. 190 tys. żołnierzy. Wciąż jednak napływały uzupełnienia. Bolszewicy mieli 14 dywizji strzeleckich, dwie brygady jazdy i pomniejsze oddziały. Razem ok. 145 tys. żołnierzy. Polacy mieli zdecydowaną przewagę w karabinach maszynowych (ponad 2 tys.) i działach (543). Bolszewicy zgromadzili ich odpowiednio 1155 i 280. Mieli też o połowę mniej koni. Polska armia dysponowała również przewagą w innym sprzęcie wojskowym, m.in. w czołgach, samochodach, samolotach czy radiostacjach.

W odróżnieniu od sowieckiego wywiadu dobrze spisywał się polski wywiad. Dowódcy zwykle wiedzieli, z jakimi jednostkami przyjdzie im walczyć. Tuchaczewski do końca był przekonany, że ma przed sobą tylko siedem polskich dywizji odtwarzających gotowość bojową, a główny polski wysiłek skierowany będzie na południe. Pełną gotowość bojową swoich oddziałów Piłsudski rozkazał osiągnąć do 25 września. Sowieckie siły zgrupowane były w trzy główne związki taktyczne. 3. Armia pod dowództwem Władimira Łazarewicza broniła kierunku na Grodno, 15. Armia Augusta Korka rozlokowana była w Mostach nad Niemnem i w Wołkowysku, a 16. Armia Nikołaja Sołłohuba broniła drogi w prowadzącej do Słonima i Baranowicz. Natomiast na wschód od Kobrynia odtwarzana była 4. Armia pod dowództwem Aleksandra Szuwajewa.

Piłsudski ostateczny rozkaz do przeprowadzenia operacji wydał już 19 września. Działania rozpoczęły się następnego dnia. 21. Dywizja Górska i 22. Dywizja Ochotnicza zaczęły atak na bronione przez 5. i 6. dywizje strzelców podejścia do Grodna, usiłując przejąć mosty na Niemnie. Z kolei na południu pozycje 11. i 16. dywizji strzelców atakowała 3. Dywizja Piechoty Legionów. Bolszewicy – sądząc, że jest to główny kierunek natarcia – rozpoczęli zaciętą obronę, ściągając do miasta posiłki. Tuchaczewski rzucił tam odwody 3. Armii, które 22 września przeszły do kontrataku. Zaczęły się



Zniszczone mosty na Niemnie koło Bielicy. Zdjęcie wykonane 30 września 1920 r. przez lotnika z 16. eskadry wywiadowczej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl dc2966a19e

zażarte walki, które nie przyniosły rozstrzygnięcia, ale wiązały oddziały Armii Czerwonej.

Zaniepokojony Piłsudski

Również 22 września z suwalskich lasów wyruszyła Grupa Uderzeniowa 2. Armii i z łatwością odepchnęła Litwinów od granicy. Następnego dnia przez Sejny dotarła do Druskienik, gdzie zaczęła forsować Niemen. Zadanie zdobycia strategicznie ważnego mostu przypadło żołnierzom 3. Pułku Ułanów. Przeprawę skutecznie blokowały stanowiska litewskich karabinów maszynowych ziejące ogniem z drugiego brzegu. Ułani kryli się przed ogniem przez kilka godzin. Po południu w sukurs przyszedł im szwadron 211. Pułku Ułanów. Tak zapamiętał zdobycie mostu ułan Tomasz Zan: „Szarża szła jak huragan, pękały deski na moście, padali ludzie, konie z pierwszych szeregów, następni przeskakiwali i most zdobyli ułani. Pierwszy pluton II szwadronu miał zaszczyt być na czele szarży. Całą szarżę prowadzili rtm. Dąmbrowski, doktor Aleksandrowicz i kapelan, ale bez szabli, z krzyżem w dłoni. W drugiej trójce byli Olek Żeligowski, kapral Józef Czapski i ja. Wielka siwa kobyła Czapskiego przebiła nogą deskę w moście i runęła na łeb. Zrobiło się zamieszanie, trzeba było przeskakiwać leżącego konia”.

Wojenne szczęście im sprzyjało, bo jeden z litewskich karabinów maszynowych się zaciął, a celowniczy drugiego dostał postrzał prosto w czoło. Ułani dopadli drugiego brzegu i zaatakowali szablami litewskich żołnierzy. Droga przez most była wolna. Nadchodząca za kawalerią piechota szybko rozprawiła się ze słabymi siłami litewskimi i po jednym dniu marszu Grupa Uderzeniowa znalazła się z powrotem na polskim terytorium, na dogodnej pozycji czekając na wynik starcia o Grodno.

Jeszcze lepiej poszło 4. Armii i jej doskonałym wielkopolskim dywizjom na południu. 23 września uderzono w kierunku Baranowicz, rozcinając sowieckie 4. i 15. Armie. Zgrupowanie pod dowództwem gen. Władysława Junga, składające się z 15. Dywizji Piechoty, 4. Brygady

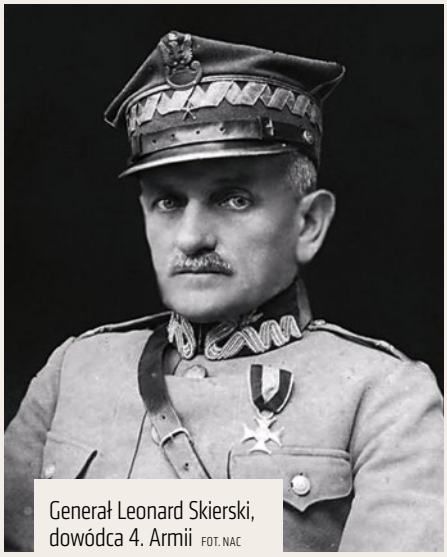


Michaił Tuchaczewski, dowódca Frontu Zachodniego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Piechoty Legionów i 18. Pułku Ułanów, pod wieczór wkroczyło do Wołkowyska. W ciężkich walkach o Kobryń, toczonych już od 11 września, w końcu zmuszono bolszewików do odwrotu za Szczarę. Nie spełniły się obawy Piłsudskiego, wyrażone w specjalnym rozkazie, że Poznaniacy nie „przełamią swojego wstrętu do maszerowania drogami nieszosowanymi”. Piłsudski nie musiał się martwić o ich wojskowe umiejętności. Poznaniacy byli najlepiej wyposażeni i przygotowani z całej polskiej armii.

Tuchaczewski o działaniach Grupy Uderzeniowej dowiedział się dopiero 24 września. Uznał jednak, że to kierunek pomocniczy, i dalej ściągał odwody pod Grodno. Niebezpieczeństwo dostrzegł natomiast Naczelny Dowódca Armii Czerwonej Siergiej Kamieniew, który kazał skierować oddziały na Lidę. Tuchaczewski niechętnie wykonał rozkaz, odwołując 3. Armię z przedpola miasta, a 15. Armię na linię Niemna i Rosi.



Generał Leonard Skierski, dowódca 4. Armii FOT. NAC

W stronę Druskienik wysłano 2. i 21. dywizje strzelców, dodatkowo osłabiając obronę Grodna. Zaskoczony walkami na południu sowiecki dowódca rzucił tam na pomoc 56. brygadę strzelców spod Grodna i 27. dywizję strzelców z odwodu. Wyparły one Polaków z Wołkowyska, ale obrona Grodna została jeszcze bardziej osłabiona. Na północ od miasta przez Niemen łodziami przeprawił się – niezauważony przez czerwonoarmistów – 205. pułk ochotniczy pod dowództwem mjr. Bernarda Monda.

25 września miasto zostało zaatakowane z trzech stron. 22. Dywizja Ochotnicza, wsparta ciężką artylerią, zaczęła zdobywać zachodnie forty twierdzy. Ich mury zaczęły się kruszyć pod kanonadą 100-kilogramowych pocisków wystrzeliwanych z ciężkich włoskich moździerzy kal. 210 mm. 21. Dywizja Górska przeprawiła się w końcu przez Niemen i zaatakowała od południa. Na północy samotny 205. pułk w ciężkich walkach dotarł do wewnętrznej linii fortów. Wzbudziło to panikę wśród Sowietów, przekonanych, że polskie oddziały są już w mieście.

Po stronie bolszewickiej zaczęły się dezercje. Żołnierze – zwykle miejscowi Białorusini albo Ukraińcy – mordowali i więzili swoich komisarzy i przechodzili na polską stronę. Poinformowany o tych wydarzeniach Piłsudski wydał Grupie Uderzeniowej rozkaz natarcia na Lidę i odcięcia odwrotu Sowietom. Tuchaczewski zaczął otrzymywać meldunki o polskich jednostkach działających głęboko na tyłach jego oddziałów. Poważnie zaniepokojony możliwością okrążenia wydał rozkaz generalnego odwrotu na wschód. Oddziały Armii Czerwonej zaczęły opuszczać miasto po południu 25 września. Nocą do Grodna weszły pierwsze patrole 22. Dywizji Ochotniczej.

Wielkie kowadło

W tym samym czasie Piłsudski wydał rozkaz, który miał doprowadzić do zniszczenia sowieckiego ugrupowania. Grupa Uderzeniowa miała zamknąć pierścień okrążenia pod Lidą i działając jak młot, wypchnąć 3. Armię w kierunku Baranowicz. Tam wróg miał wpaść na „kowadło” – polską 4. Armię podążającą w tym samym kierunku.

eprasa.pl dc2966a19e



Polscy żołnierze przy ckm Schwarzlose

FOT. NAC

Była to ciężka próba dla Grupy, która liczyła ok. 10 tys. żołnierzy piechoty i 2,5 tys. kawalerii. Oddziały wycofującej się Armii Czerwonej miały dwa razy więcej żołnierzy. Na szczęście Polakom udało się wziąć do niewoli szefa łączności sowieckiej 21. Dywizji Strzelców. Podczas przesłuchania podał on trasy odwrotu jednostek. 26 września 1. Dywizja Piechoty Legionów wraz z 2. Brygadą Kawalerii odnalazły pod Raduniem sowiecką 21. Dywizję Strzelców i z zaskoczenia zaatakowały czerwonoarmistów, zadając im ciężkie straty i zmuszając do odwrotu. Następnego dnia polski miński pułk strzelców zaskoczył i zmusił do ucieczki sztab 3. Armii podczas przeprawy przez Lebiodę. Sowieckie oddziały zostały pozbawione dowództwa i możliwości skoordynowanego działania. Jednak 20 pułków Armii Czerwonej wciąż parło na Lidę, nie bacząc na próbujące je odrzucić miński i wileński pułki strzelców. Oba pułki w końcu wycofały się do lasu zwanego Krwawym Borem, gdzie w nocnych ciemnościach podjęły desperacką walkę. Tak zapamiętał ją ppor. Bolesław Waligóra z wileńskiego pułku: „Na małej przestrzeni skłębiona masa nieprzyjacielska przewalała się zmieszana z polskimi oddziałami. Walczono już teraz bagnetem i kolbą. Napięcie szaleństwa boju wzrosło do niebywałych rozmiarów. Chaos walki w lesie, ciemności nocy, a przede wszystkim przeraźliwe hurra!, wycie i jęki rannych – wszystko składało się na niesamowitość boju. Wybuchy granatów ręcznych, ostry, zerwany strzał z bliska i bodaj zgrzyt ostrza bagnetu po kości mieszały się z trzaskiem łamanych gałęzi. Nikt nie wiedział, z kim walczy i kto obok idzie. Rosjanie krzyczeli po polsku. Na czele grup polskich szli do szturmu sowieccy dowódcy – często na swoich. Było i odwrotnie. Zdemaskowani, padali z roztrzaskaną czaszką lub rozniesieni na bagnetach". Polskie pułki nie były jednak w stanie zatrzymać dwóch sowieckich dywizji, torujących sobie drogę w stronę Lidy.

Rankiem 28 września 1. Dywizja Piechoty Legionów weszła do miasta, wykurzając stamtąd sztab 3. Armii. Łazarewicz stracił kompletnie kontrolę nad swoimi oddziałami. W Lidzie i na przedpolach cały dzień toczyły się walki z wchodzącymi pojedynczo i bez koordynacji pododdziałami 3. Armii. Do wieczora miasto było kilkukrotnie szturmowane przez Sowietów i odbijane przez Polaków. Czerwonoarmistów, którzy się wycofywali albo próbowali obchodzić miasto od wschodu, ścigała 4. Brygada Jazdy, która rozbiła 6. Dywizję Strzelców.

Od rana 29 września zdemoralizowani czerwonoarmiści zaczęli aresztować swoich komisarzy i poddawać się wychodzącym z miasta polskim patrolom. Do niewoli dostało się 10 tys. jeńców, zdobyto 40 dział i prawie całe armijne tabory. 3. Armia nie została zniszczona, ale jej rozbicie odsłoniło tyły wycofujących się 15. i 16. Armii, co zmusiło Tuchaczewskiego do przyspieszenia odwrotu i przekreśliło szanse na jakąkolwiek kontrofensywę. Do końca miesiąca polskie oddziały zajęły Baranowicze i Pińsk.

Ratunek przed sowieckim „rajem"

Piłsudski przybył do Grodna, ale nie mógł ustalić ani położenia oddziałów, ani ostatecznego rezultatu bitwy. Dlatego 29 września sam pojechał samochodem do Lidy, żeby rozeznać się w sytuacji. Potem wydał rozkaz ścigania wycofujących się oddziałów Armii Czerwonej i okrążenia ich w okolicach Nowogródka. Polskie oddziały, wyczerpane wielodniową ofensywą i pozbawione zaopatrzenia, nie były jednak w stanie wykonać tego zadania. Większość sowieckich oddziałów wymknęła się na wschód, porzucając wyposażenie i broń. 3 października Piłsudski wydał rozkaz zaprzestania pościgu, ale walki trwały jeszcze do 18 października, kiedy weszło w życie zawieszeni broni. Do tego czasu polskie oddziały z 4. Armii weszły do Mińska. Z kolei 2. Armia doszła do granicy z Łotwą.

Zwycięstwo nad Niemnem dało Polsce o wiele silniejszą pozycję podczas negocjowania traktatu pokojowego w Rydze. Zyskano 114 tys. km kw. więcej niż w proponowanym kilka miesięcy wcześniej wariancie przebiegu granicy wzdłuż linii Curzona. Cztery miliony Polaków i kilka milionów Ukraińców i Białorusinów zostało na prawie 20 lat ocalonych przed sowieckim „rajem". Również Litwa bitwie nad Niemenem zawdzięczała odroczenie o 20 lat wyroku, który został wykonany przez Sowietów w 1940 r.

Wbrew opiniom niektórych historyków nie sposób było osiągnąć więcej. „Kończycie wojnę wspaniałem zwycięstwem, a nieprzyjaciel – złamany przez Was, zgodził się wreszcie na podpisanie pierwszych i głównych zasad upragnionego pokoju" – pisał Piłsudski w rozkazie z 18 października 1920 r. kończącym działania wojenne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Z odrobiną nowoczesności na bolszewików

Samolot Bristol F.2B – rekonstrukcja ze zbiorów Muzeum Lotnictwa w Krakowie

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Manewrowy charakter wojny Polski z bolszewicką Rosją, toczonej na ogromnych przestrzeniach, nie sprzyjał wykorzystaniu zaawansowanej techniki bojowej. Jednak tam, gdzie znalazła zastosowanie, okazała się istotnym czynnikiem ostatecznego zwycięstwa

Wojna 1920 r. była starciem biedaków. Polska, odzyskawszy dopiero co niepodległość, odbudowywała armię jako kraj zniszczony, splądrowany i pozbawiony przemysłu. Sprzęt bojowy, różnego pochodzenia i o nierównej wartości, był często zużyty i wciąż go brakowało. Rosja z kolei, po sromotnie przegranej pierwszej wojnie światowej, rozdarta konfliktem wewnętrznym, była cieniem dawnej potęgi. Niska kultura techniczna żołnierzy obu walczących stron (zwłaszcza u Rosjan) oraz dotkliwy brak fachowej kadry ograniczały stosowanie bardziej zaawansowanych narzędzi walki. A jednak w tym morzu zacofania zdarzały się godne odnotowania przebłyski nowoczesności. Zwłaszcza po stronie polskiej.

Na niebie

Na froncie zachodnim w latach 1914–1918 doszło do skokowego wzrostu znaczenia lotnictwa, które z roli czysto pomocniczej awansowało do grona broni głównych. Na wschodzie skala jego wykorzystania była jednak stosunkowo niewielka. W Polsce już w listopadzie 1918 r., a więc w trakcie zajmowania kolejnych lotnisk po zaborcach, rozpoczęto formowanie improwizowanych eskadr bojowych. Większość sprzętu zdobytego we Lwowie, w Warszawie, Krakowie i Poznaniu była zdekompletowana; brakowało samolotów stricte bojowych, przeważały maszyny obserwacyjne i szkolne. Podczas wojny z Rosją bolszewicką polskie lotnictwo było wciąż w stadium organizacji. Doskwierały mu fatalny stan sprzętu, brak części zamiennych i wyszkolonych kadr oraz słabe zaplecze techniczne. Problemem była także wielka różnorodność płatowców utrudniająca naprawy i szkolenie pilotów.

Dzięki mozolnej pracy i zakupom stan ten ulegał jednak sukcesywnej poprawie i latem 1920 r. polskie maszyny operowały już niemal nieprzerwanie na kilku kluczowych obszarach operacyjnych. Do tych najnowocześniejszych należał brytyjski Bristol F.2B. Zadebiutował pod Arras w kwietniu 1917 r. i pomimo nieudanego początku zyskał ostatecznie miano najlepszego dwumiejscowego myśliwca pierwszej wojny światowej. Do Polski Bristole sprowadzono za pośrednictwem londyńskiej filii Polskiej Wojskowej Misji Zakupów; kilkadziesiąt maszyn dotarło do kraju tuż przed Bitwą Warszawską i szybko skierowano je na front. Samolot uchodził za niezwykle wytrzymały i zwrotny. Maszyny wyposażone były w silniki Hispano-Suiza o mocy 300 KM; prędkość maksymalna wynosiła 200 km/h. Uzbrojenie stanowiły trzy karabiny maszynowe: jeden nieruchomy (Vickers), zsynchronizowany z obrotami śmigła, i dwa sprzężone Levisy na obrotnicy, obsługiwane przez tylnego strzelca.

Niektóre akcje polskich i cudzoziemskich lotników zyskały wymiar operacyjny. Największą sławą okrył się III Dywizjon broniący Lwowa przed 1. Armią Konną Budionnego. W składzie tej jednostki znajdowały się trzy eskadry: 5. i 6. wywiadowcze oraz 7. myśliwska. Dodatkowo na korzyść Frontu Południowego działała 15. eskadra myśliwska, mająca pierwotnie odejść pod Warszawę, ale wobec groźby zajęcia Lwowa pozostawiona na miejscu. Spośród posiadanych samolotów tylko niewielki procent był zdolny do natychmiastowej akcji. Piloci

eprasa.pl dc2966a19e

i technicy dywizjonu (operującego z lotniska na Lewandówce), w krytycznym dla obrony miasta 17 sierpnia dokonali cudu, doprowadzając do użytku aż 14 maszyn. Ofiarność pilotów podkreślał mjr Adam Ajdukiewicz-Brzechwa, szef Oddziału Operacyjnego 6. Armii: „Co kwadrans startował z lotniska jeden samolot, co kwadrans jeden wracał z linii frontu. Zszywano podarte skrzydła […], naprawiano silniki, łatano potrzaskane kulami części konstrukcji i ruszano ze świeżym zapasem benzyny i amunicji do walki na złamanie karku. Cały dzień od świtu do późnego wieczora trwał atak. Jego efekty da się przedstawić w kilku liczbach: 14 samolotami wykonano 72 loty bojowe, zrzucono około 4000 kg bomb, wystrzelono około 25 000 naboi do karabinów maszynowych. Budionny posunął się naprzód w tym dniu zaledwie o 3 kilometry. Sytuacja została uratowana". Dzięki akcji pilotów zyskano czas na ściągnięcie posiłków i ocalenie Lwowa. Dowódca bolszewickiej Konarmii raportował (zapewne z lekką przesadą): „W ostatnich dniach nieprzyjaciel w szerokim zakresie zastosował w walce z kawalerią samoloty, w ten sposób kompensując zbyt szczupłe siły. W dniu 16 i 17 sierpnia eskadry nieprzyjaciela w liczbie dochodzącej do 9 samolotów krążyły nad nacierającymi kolumnami konnej armii. Zuchwale zniżając samoloty, nieprzyjaciel ostrzeliwał nasze oddziały i zarzucał je bombami. Wojska atakowane z powietrza nie mniej niż trzy razy na dzień mają ogromne straty w ludziach i koniach. W jednej tylko 6-tej dywizji kawalerii w dniu 17.VIII zabito i raniono przeszło 100 ludzi i 100 koni. Jedno z natarć 6-tej dywizji kawalerii odparto wyłącznie za pomocą samolotów".



Armata wz. 1897 kal. 75 mm na froncie przeciwbolszewickim FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Na lądzie

Podczas pierwszej wojny światowej nie tylko lotnictwo, lecz także czołgi wdarły się przebojem na pole walki. W 1916 r. starcia z ich udziałem miały jeszcze bardzo ograniczony charakter, ale pod koniec konfliktu okazały się jednym z czynników decydujących o zwycięstwie ententy. Zwłaszcza od kiedy na froncie pojawił się Renault FT – lekki czołg, dużo mobilniejszy od swych ciężkich poprzedników i wyposażony w obrotową wieżę z działkiem lub kaemem. Te rewolucyjne wozy trafiły m.in. na uzbrojenie Armii Polskiej we Francji i w 1919 r. przywędrowały wraz z nią do kraju. Tu szybko rzucono je do walki przeciwko bolszewikom. Najpierw w sierpniu pod Bobrujskiem na Białorusi w udanym ataku na miasto i twierdzę, a we wrześniu pod Dyneburgiem na Łotwie, podczas likwidacji rosyjskiego przyczółku na Dźwinie. Dwudniowa bitwa okazała się bardzo zacięta, tym bardziej że czerwonoarmiści bronili się m.in. w potężnym forcie będącym jednym z elementów dyneburskiej twierdzy. Przeciwnik rzucił do walki samochody i pociąg pancerny, ale na próżno. Renault taranowały zasieki, wspinały się na wały i niszczyły gniazda kaemów, wydatnie wspierając piechurów i przyczyniając się do ostatecznego zwycięstwa. Na południowym brzegu rzeki wróg został doszczętnie rozbity, a mosty przez rzekę wysadzili w powietrze polscy saperzy. W kolejnym roku wojny – 1920 – czołgów także nie zabrakło, przy czym największe zgrupowanie polskich Renault wzięło udział w Bitwie Warszawskiej.

Ale nie tylko czołgi dobrze radziły sobie z bolszewikami. Swój udział w zwycięstwie miały także samochody pancerne, a zwłaszcza Fordy FT-B. To jedyne opracowane w Polsce i seryjnie produkowane wozy bojowe z lat 1918–1921; twórcą pojazdu był inż. Tadeusz Tański. Produkowano je w warszawskich zakładach Spółki Akcyjnej „Gerlach i Pulst". Ważył blisko półtorej tony i miał dwuosobową załogę, którą chronił pancerz grubości 8 mm. Uzbrojeniem był karabin maszynowy Maxim zamontowany w obrotowej wieżyczce. Samochód osiągał maksymalną prędkość 50 km/h. Najsłynniejszą akcją, w której wzięły udział Fordy, był rajd na Kowel we wrześniu 1920 r. Grupa bojowa licząca 1 tys. żołnierzy, osiem armat polowych kal. 75 mm, kilkanaście karabinów maszynowych, 54 samochody i dziewięć wozów pancernych (w tym siedem Fordów FT-B) dokonała błyskawicznego, głębokiego zagonu na tyły przeciwnika, dezorganizując jego obronę w końcowej fazie zmagań wojny polsko-rosyjskiej.

Wspomniana wyżej armata, czyli francuska szybkostrzelna „siedemdziesiątka piątka" wz. 1897, należała do najnowocześniejszych i najbardziej efektywnych narzędzi w polskim arsenale. Tak jak Renault i ona trafiła na front wschodni wraz z Błękitną Armią.

W apogeum zmagań o Warszawę polskie dowództwo skoncentrowało na jej przedpolu 222 działa polowe, a wśród nich 131 francuskich „siedemdziesiątek piątek", które znakomicie nadawały się do zwalczania zmasowanych oddziałów wroga na otwartej przestrzeni. „15-go VIII od godz. 4-tej do 18-tej, czyli przez 14 godzin, nieprzyjaciel zaciekle i dużymi siłami atakował cały nasz odcinek w prawo od toru kolejowego – wspominał Piotr Dunin-Borkowski, adiutant dowódcy II dywizjonu artylerii przydzielonego do 11. Dywizji Piechoty. – Chwilowo zajął nawet m. Leśniakowiznę i wschodnią część m. Ossów, skąd jednak został szalonym kontratakiem wyrzucony i dalej odrzucony aż do swych linii. Była chwila, kiedy 2 batr. [bateria – przyp. M.M.] miała go na swych tyłach. Pozostała jednak na swym stanowisku i wraz z 7 batr. ogniem przyczyniła mu ogromne straty. W Ossowie bolszewicy pozostawili paręset swoich trupów. Przez cały czas mego pobytu na froncie polskim nigdzie nie widziałem tak gęsto trupów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Członkowie polskiej delegacji na rozmowy pokojowe w Rydze. W pierwszym rzędzie w środku Jan Dąbski, przewodniczący FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wywiad / Z prof. Andrzejem Chwalbą, historykiem, autorem książki „Przegrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920"



rozmawia Piotr Włoczyk

Klucz do Rygi

– Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa, ponieważ Polsce groziło niebezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Wszyscy widzimy dziś, jak trudno skłonić Rosję Putina do ustępstw w kwestii zakończenia wojny z Ukrainą. Dlaczego jesienią 1920 r. Rosja Lenina zdecydowała się tak szybko zawrzeć porozumienie z Polską, zamiast szarpać ją jeszcze latami, pokazując całemu światu, że nie da się z nią łatwo wygrać?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Dziś Rosja nie jest jeszcze gotowa iść na ustępstwa, ale przecież Ukraina również nie zamierza rezygnować ze swoich głównych celów. Gdy obie strony twardo mówią „nie" i sądzą, że mają jeszcze wystarczająco dużo siły, by prowadzić wojnę, dochodzi do pata.

Natomiast wczesną jesienią 1920 r. sytuacja obu walczących państw była inna – zarówno Polska, jak i Rosja sowiecka były bardzo wyczerpane. Michaił Tuchaczewski, głównodowodzący siłami sowieckimi na północy frontu, zachęcał kierownictwo swojego państwa do ściągnięcia z Syberii i z Kaukazu kolejnych dywizji, by ponownie uderzyć na Polaków, ale Lenin uznał, że byłoby to zbyt duże ryzyko i trzeba oszczędzać siły.

Tuchaczewski chciał kontynuować walkę z Polakami mimo klęski nad Niemnem?

Tak. Po tym kolejnym polskim zwycięstwie zaczęły się poważne rozmowy pokojowe, które dawały perspektywę na pokój. Poprzednie negocjacje, prowadzone jeszcze przed Bitwą Warszawską, były tak naprawdę stratą czasu, ponieważ Sowieci domagali się w gruncie rzeczy kapitulacji Polski, na co Warszawa absolutnie nie mogła się zgodzić, bo byłby to koniec marzeń o budowie niepodległego państwa.

Sytuacja zmieniła się po dwóch polskich zwycięstwach nad bolszewi-

eprasa.pl dc2966a19e



Ofcierowie Oddziału Wydzielonego ppłk. Gustawa Paszkiewicza (ze szpicrutą) w zdobytym Mińsku. 15 października 1920 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

kami: nad Wisłą i nad Niemnem. Bitwa Warszawska powstrzymała bolszewicką ofensywę; Polacy odepchnęli wtedy wroga mniej więcej na linię Niemna i Bugu.

Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał jednak przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa. Opór był wtedy bowiem olbrzymi – uważano, że Polski nie stać na kolejny tak duży wysiłek. Spora część polskich elit twierdziła, że trzeba się zatrzymać i prowadzić rokowania, choćby na warunkach sowieckich. Bez operacji nad Niemnem Polsce groziło niebezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym, czymś na kształt Księstwa Warszawskiego powiększonego o Galicję. I wcale nie było powiedziane, że o całą Galicję... Piłsudskiemu udało się jednak przekonać resztę elit, że wojska sowieckie są już bardzo słabe i konieczne jest przeprowadzenie kolejnej ofensywy, by poprawić sytuację Polski.

Z dzisiejszej perspektywy mogłoby się wydawać, że „dokończenie" bolszewików nad Niemnem było czymś zupełnie oczywistym po odrzuceniu ich spod Warszawy.

Nic z tych rzeczy. Piłsudski rozumiał, że za kilka tygodni pozytywne emocje w wojsku opadną, więc nie wolno przegapić momentu, gdy społeczeństwo niosła jeszcze fala entuzjazmu po zwycięstwie na przedpolach stolicy. Operacja niemeńska była dobrze zaplanowana i świetnie przeprowadzona, nieporównanie lepiej od operacji kijowskiej z wiosny tamtego roku. Sukces był pełen.

Choć – jak już pan wspomniał – Tuchaczewski wcale nie został nad Niemnem przekonany naszym orężem do porzucenia myśli o wojowaniu z Polakami.

Jednak kierownictwo polityczne z Leninem na czele postanowiło zakończyć wojnę. Lenina poparł nawet Lew Trocki, który początkowo zgadzał się z ofensywnym podejściem Tuchaczewskiego. Rosja prowadziła wojnę już szósty rok i była naprawdę wyczerpana. W Sowietach brakowało nawet zupełnie podstawowych materiałów do prowadzenia działań zbrojnych.

Poza tym wojna domowa, choć bolszewicy mieli już w niej zdecydowaną przewagę, wciąż trwała.

Tak. W ciągu ponad dwóch lat, które upłynęły od rewolucji, bolszewicy nie byli w stanie zbudować przemysłu, więc problemem cały czas było wyposażenie armii.

Ale strona polska podobnie miała już dość. Po zakończeniu operacji niemeńskiej polskie elity, włącznie z Piłsudskim, opowiadały się za rozmowami z Sowietami. Po stronie polskiej mało kto miał jeszcze ochotę kontynuować działania wojenne przeciw bolszewikom. Ponieważ oba państwa chciały szybko zakończyć wojnę, dość sprawnie uzgodniono przebieg linii demarkacyjnej.

Już 12 października 1920 r., dwa tygodnie po zwycięstwie nad Niemnem, doszło do podpisania preliminariów traktatu pokojowego.

Tylko na terenie Galicji Wschodniej granica biegła w oparciu o naturalną linię, czyli rzekę Zbrucz. Na północ od Galicji granice zostały wytyczone w terenie, ale szczegóły miały zostać ustalone podczas dalszych rokowań w stolicy Łotwy.

Do czego tak właściwie Polska zmierzała w Rydze, skoro nasze elity miały tak niejednolite stanowisko?

Do początku lipca 1920 r., czyli do ofensywy Tuchaczewskiego, niemal niepodzielną władzę sprawował w Polsce Piłsudski. Rząd był mu w praktyce całkowicie podległy. Nawiasem mówiąc, premier rządu nie był początkowo wtajemniczany w planowaną operację kijowską. Piłsudski miał więc w swoich rękach wszystkie narzędzia władzy. W Sejmie przeciwnicy Marszałka – narodowcy oraz wspierający ich ludowcy – mieli wprawdzie przewagę, ale umowny tandem Dmowski-Witos do lipca 1920 r. nie miał większego znaczenia.

To się zmieniło, kiedy przyszły porażki, za które winiono Piłsudskiego. Choć w niedługim czasie doszło do zwycięstwa pod Warszawą, a następnie nad Niemnem, gdzie nie było już sporu o to, kto był „ojcem" tego zwycięstwa, bo wiadomo, że był nim Piłsudski, to jednak skład delegacji na rozmowy w Rydze był wymierzony przeciw Marszałkowi. Wielkim problemem było to, że dla niektórych członków polskiej delegacji, których wyłonił Sejm, to Piłsudski był większym wrogiem niż Lenin i Rosja sowiecka.

Delegacje sowiecka i polska (z prawej) podczas pierwszego dnia rozmów w Rydze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KUJAWSKO-POMORSKA BIBLIOTEKA CYFROWA, WŁAŚCICIELKA PRAW: ELŻBIETA POMORSKA



Kto nadawał ton w zespole polskich negocjatorów?

Człowiekiem numer jeden był endek Stanisław Grabski.

eprasa.pl dc2966a19e

Na czele tego zespołu stali narodowcy i ludowcy. Dla tych ludzi wizja Piłsudskiego była nie do przyjęcia. A na czym polegał jego projekt? Na radykalnej przebudowie wschodu Europy, czyli zachodnich rubieży dawnej Rosji carskiej. Obok Polski miały powstać – w wizji Piłsudskiego – niepodległa Ukraina i Białoruś, ale Marszałek liczył też na to, że do tego bloku przyłączy się prędzej czy później Litwa, a także Łotwa. Również na Kaukazie miało dojść do dekompozycji i oderwania tych terenów od państwa Lenina.

Rosja ograniczona do swoich etnicznych ziem miała być niegroźna dla tego projektowanego przez Piłsudskiego związku państw. W tym miejscu trzeba jednak zrobić ważne zastrzeżenie – Piłsudski nigdy nie mówił o federacji. I chociaż przypisywano mu dążenia federacyjne, to Marszałek nigdy nie snuł takich planów. Natomiast na pewno chciał dekompozycji Rosji, co zresztą byłoby bardzo pozytywnym scenariuszem dla Polski i innych państw naszego regionu.

Jakie endecy mieli zastrzeżenia do tego projektu?

Generalnie uważali, że jest to szalony pomysł. Endecy nie chcieli słyszeć o jakiejkolwiek współpracy z „jakimiś" Ukraińcami czy Białorusinami – nie bardzo rozumieli zresztą, kim ci ludzie mieliby tak naprawdę być. To były dla nich zupełnie nowe pojęcia. Wiadomo było też, że Litwini nas nie lubią, a Łotysze, zdaniem niektórych endeków, byli pół-Niemcami.

Obóz narodowy optował początkowo za stworzeniem „Wielkiej Polski", granicami sięgającej II rozbioru, do tego obejmującej także sporą część Prus Wschodnich, co zresztą przewidywała tzw. linia Dmowskiego. Litwa miała być integralną częścią Polski. Te plany w trakcie negocjacji z bolszewikami pod koniec 1920 r. uległy redukcji, ale endecy nie byli zainteresowani tworzeniem nowych państw na wschód od nas, bo uważali, że byłby to tylko problem. W ich wizji silna polska kultura miała sięgać daleko na wschód.

Uwidocznione w Rydze zwarcie wizji „Wielkiej Polski" Dmowskiego i projektu Piłsudskiego, optującego za rozbiciem Rosji i tworzeniem na wschodzie państw połączonych sojuszem z Polską, doprowadziło do tego, że pozycja negocjacyjna Polaków była słabsza.



Stanisław Grabski. Portret autorstwa Konstantego Lentza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Doświadczony sowiecki dyplomata Adolf Joffe doskonale zdawał sobie sprawę z niesnasek, do których dochodziło w gronie polskiej delegacji, i wykorzystał je na swoją korzyść. Chodziło m.in. o sowiecką Ukrainę. Już na początku rozmów pokojowych Piłsudski otrzymał silny cios od własnej delegacji. Otóż strona polska zgodziła się na uznanie sowieckiej Ukrainy, a także – wprawdzie nie formalnie, ale faktycznie – sowieckiej Białorusi. Wraz z tym krokiem cofnięto uznanie dla Ukraińskiej Republiki Ludowej Petlury, którą wspierał Piłsudski.

Było to więc pełne zwycięstwo endecji i PSL Witosa.

Tak. Piłsudski, widząc, jak przebiegają rokowania, powiedział żołnierzom: „Przegrałem zwycięstwo". Uznanie Ukrainy sowieckiej było ewidentnie największym błędem strony polskiej i porażką wizji Piłsudskiego.

Jeżeli jednak mieliśmy się jakoś ułożyć z Sowietami, to jak mogło być inaczej?



Ostatnia strona traktatu ryskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM MSZ

Polska mogła po prostu negocjować tylko z Rosją sowiecką, pomijając milczeniem utworzenie przez bolszewików tego fikcyjnego państwa. Stało się jednak inaczej i tym samym strona polska niejako przyznała, że sowiecka wizja tworzenia quasiniezależnych państw pod sztandarem bolszewickim jest słuszna. Nawiasem mówiąc, Piłsudski miał w gruncie rzeczy podobny pomysł, tylko jego projekt zakładał tworzenie państw realnych, a nie marionetkowych.

Czy to jednak nie było z jego strony marzycielstwo, zważywszy na ówczesne realia?

Ten pomysł wracał po latach, choćby w tekstach Jerzego Giedroycia czy Juliusza Mieroszewskiego, a potem nawiązywali do niego inni przedstawiciele naszych elit intelektualnych i politycznych, więc była to perspektywa pociągająca wielu Polaków.

W 1920 r. pomysł dekompozycji wschodu wyglądał bardzo interesująco. Wasilewski, Hołówko, a także sam Piłsudski przekonywali, że Rosja bez Ukrainy nie będzie już krajem imperialnym – nie będzie tak groźna dla sąsiadów, bo jej potencjał będzie niewystarczający.

I dlatego Piłsudski przygotował operację kijowską, starając się oderwać Ukrainę od Rosji. Marszałek oceniał wtedy – później okazało się, że było to błędne założenie – iż Armia Czerwona jest w rozsypce, natomiast ukraińskie środowiska narodowe mają na tyle dużo siły, że będą w stanie utworzyć państwo i walczyć o nie.

Piłsudski do końca uważał, że należy tak poprowadzić granicę, by choć niewielka, kilkumilionowa Ukraińska Republika Ludowa mogła nas oddzielać od Rosji bolszewickiej. Ponieważ jasne było, że Kijowa nie da się odebrać Sowietom, mówiono wtedy o stolicy URL w Winnicy lub w Żytomierzu. Jednak w preliminariach podpisanych w październiku 1920 r. uzgodniono, że granica będzie biegła wzdłuż rzeki Zbrucz, więc o żadnej URL nie mogło już być mowy.

Dlaczego Mińsk i Kamieniec Podolski znalazły się po złej stronie granicy? Czy była szansa, żeby Polska przejęła te miasta?

W okolicy Kamieńca Podolskiego mieszkała dość spora mniejszość polska. W samym 50-tysięcznym Kamieńcu Po-

eprasa.pl dc2966a19e



dolskim Polacy stanowili jedną czwartą mieszkańców. Jednak wśród polskich negocjatorów z ramienia endecji i PSL nie było entuzjazmu w tej kwestii. Przejęcie okolic Kamieńca Podolskiego oznaczałoby bowiem włączenie w granice Polski jeszcze większej liczby Ukraińców, którzy mieszkali w tamtych stronach.

Jeszcze w marcu 1919 r. Roman Dmowski przedstawiał w Paryżu granice Polski poprowadzone znacznie dalej na wschód. Tymczasem półtora roku później endecja wyraźnie zmieniła zdanie, zauważając, że Polaków jest na wschodzie zbyt mało, a polska kultura nie jest tam tak silna, jak mogło się wydawać, ponieważ Rosjanie skutecznie wypierali ją w czasie zaborów. I dlatego endecja nie chciała walczyć o te ziemie.

Podobnie było z Mińskiem. Powiadano, że jeżeli Mińsk znajdzie się w granicach Polski, to Piłsudski będzie chciał stworzyć coś na kształt kantonu białoruskiego, który będzie swego rodzaju Piemontem Białorusi. A to miało grozić tym, że tamtejsi Białorusini upomną się o Polesie czy choćby Nowogródek. Stanisław Grabski wprost powiedział, że Mińsk jest tak „zażydzonym" miastem, iż nie ma się o co bić. Rzeczywiście, Mińsk – w przeciwieństwie do choćby Wilna – w prawie dwóch trzecich zdominowany był przez Żydów. Polacy stanowili tam jedynie ok. 25–30 proc. mieszkańców.

Czy w takim razie traktat ryski można uznać za jednoznaczny sukces II RP?

Granice, które wtedy wynegocjowaliśmy, realizowały interesy Polski. Samo zawarcie traktatu pokojowego było z punktu widzenia Warszawy sukcesem. Mieliśmy dzięki temu uznaną przez Moskwę wschodnią granicę, za czym poszły w niedługim czasie, aczkolwiek bez entuzjazmu, także mocarstwa zachodnie. Inne kwestie, jak choćby zwrot dóbr kultury, nie zostały zrealizowane w sposób satysfakcjonujący Polskę, ale przecież w tym zakresie wszystko zależało od dobrej woli Związku Sowieckiego.

Załóżmy na moment, że to Piłsudski miałby decydujące zdanie podczas negocjacji w Rydze. Czy można było wtedy oczekiwać dużo lepszego dla Polski wyniku rozmów z Sowietami?

Gdyby to Marszałek odpowiadał za negocjacje, być może udałoby się wykroić niekomunistyczne Białoruś i Ukrainę, ale byłyby to państewka bardzo małe, kadłubowe. W tamtych realiach raczej niewiele by to zmieniało, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Andrzej Chwalba jest historykiem, znawcą dziejów II RP, emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorem wielu książek, m.in. „Przegrane zwycięstwo. Wojna polsko-bolszewicka 1918–1920", „1919. Pierwszy rok wolności", „Józef Piłsudski. Historyk wojskowości".

REKLAMA



eprasa.pl dc2966a19e



Tomasz Stańczyk

Nie wszyscy Polacy mieli szansę wyjechać z państwa Lenina. Część z nich została zamordowana przez czerezwyczajkę, a część wsparła bolszewicką władzę



Granica polsko-sowiecka. Zdjęcie wykonane podczas wymiany więźniów politycznych FOT. BUNDESARCHIV

Lata 1914–1932 / Wielka migracja

Z ziemi rosyjskiej do Polski

Nad ranem 5 sierpnia 1915 r. potworny huk przeraził mieszkańców Warszawy. To armia rosyjska wysadzała mosty na Wiśle, spodziewając się nadejścia wojsk niemieckich. Zanim jednak mosty runęły do rzeki, Rosjanie wywieźli przez nie wyposażenie fabryk, m.in. Gerlach i Pulst oraz Lilpop, Rau i Loewenstein, a wraz z nimi personel techniczny i robotników. Nie zamierzano przecież pozostawić wrogowi zakładów, które mogłyby wzmocnić jego potencjał wojenny. Załogi fabryk nie miały specjalnego wyboru, robotnicy woleli zresztą podążać za swoimi miejscami pracy, niż zostać bezrobotni.

Rosjanie ewakuowali także swoje instytucje, w których na niższych stanowiskach pracowali Polacy, tabor kolejowy i kolejarze. Zabierali ze sobą również mężczyzn w wieku poborowym z kontrolowanych jeszcze przez nich wschodnich guberni Nadwiślańskiego Kraju – łomżyńskiej, chełmskiej, lubelskiej, a także grodzieńskiej, położonej dalej na wschód.

Zabierano także ludność wiejską, by jej praca na roli nie służyła wrogowi. Pod wpływem propagandy głoszącej, że żołnierze niemieccy i austro-węgierscy będą gwałcić kobiety, obcinać im piersi i zabijać mężczyzn, część chłopów dobrowolnie opuszczała swoje domy, uciekając także przed grozą walk na froncie. Poza tym nie było tu większego wyboru, ponieważ rosyjska armia paliła zboże na polu i zabudowania gospodarcze. Tych, którzy pod przymusem lub dobrowolnie opuścili wiosną i latem 1915 r. swoje domy, nazywano bieżeńcami. Były ich 2–3 mln, głównie prawosławnych, ale wśród uchodźców byli także liczni Polacy.

Władysław Glinka, ziemianin z Łomżyńskiego, wspominał: „Napłynęły wówczas zza Narwi tysiące wygnańców. Niektórzy znad samej granicy oraz z Przasnyskiego byli już na tułaczce od roku. Rozlokowali się z wozami, krowami, świniami, owcami, gęsiami i kurami po lasach i krzakach okolicznych. Z początku nocowali na wozach okrytych płótnem, wkrótce zaczęli ciąć drzewa i budować sobie szałasy okryte gałęziami [...]. Na wozach zapłakane baby i dzieci, przy wozach piechotą chłopi ponuro zadumani [...]. Opowiadali o wypędzeniu ich z domów. Chowali się po stodołach, w zbożu, krzakach, lecz wszędzie ich »Russek« znalazł i wyciągnął". Ziemianin odnotował, że wśród uchodźców było wielu Kurpiów (W. Glinka, „Pamiętnik Wielkiej Wojny. Narew-Berezyna").

Wkrótce i Glinka ze swoją rodziną podzielił los bieżeńców. Komitet Polski Pomocy Ofiarom Wojny oraz Centralny Komitet Obywatelski Królestwa Polskiego niosły tułaczom niezbędną pomoc. Dorota Sula w książce „Powrót ludności polskiej z byłego Imperium Rosyjskiego w latach 1918–1937" podaje, że pod opieką CKO i innych polskich organizacji znalazło się 617 tys. uchodźców. Najwięcej z nich przebywało w guberni mińskiej.

Uchodźcy ci dołączyli do innych Polaków przebywających w Rosji. Tych żyjących na tzw. Ziemiach Zabranych, dawnych wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, a także na ziemiach właściwej Rosji. Byli to Polacy, którzy mieszkali tam i pracowali, m.in. w Petersburgu i w Moskwie, emigranci zarobkowi – chłopi z Królestwa Polskiego, którzy osiedlili się na Syberii. Do tego dochodzili odbywający kary zesłania i katorgi, a także ich potomstwo, jeńcy z armii niemieckiej

eprasa.pl dc2966a19e

i austro-węgierskiej, w tym żołnierze Legionów Polskich oraz Polacy wcieleni do armii rosyjskiej. Cezary Żołędowski oceniał: „Łączną liczbę potencjalnych repatriantów i reemigrantów należących do kategorii, które w latach 1918–1921 znajdowały się w polu zainteresowania polskich instytucji państwowych (początkowo Rady Regencyjnej, a następnie Rzeczypospolitej Polskiej), można szacować na 4 do 4,5 mln, w tym około 3 mln Polaków" (C. Żołędowski, „»Pierwsza repatriacja«. Powroty i przyjazdy osiedleńcze do Polski ze Wschodu po I wojnie światowej").

Pod ścianą

Rewolucja lutowa w 1917 r. obaliła carat, co spowodowało uwolnienie więźniów politycznych. Wśród nich byli m.in. Aleksander Prystor, działacz PPS i bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, przyszły polski premier, oraz Feliks Dzierżyński, który wkrótce został szefem czerezwyczajki. Takich jak on Polaków, zaangażowanych po stronie bolszewików, było podobno aż 100 tys. – jak twierdziła komunistyczna propaganda. Powieściowym przykładem zafascynowania bolszewicką rewolucją był Cezary Baryka, bohater „Przedwiośnia", jednak ojciec skutecznie wybił mu to z głowy i obaj opuścili bolszewicką Rosję.

Rok 1917 był kolejnym rokiem wojny, więc dla bieżeńców i dla wszystkich innych Polaków powrót na ziemie polskie był bardzo utrudniony. Po bolszewickim zamachu stanu w listopadzie 1917 r. Armia Czerwona usiłowała zniszczyć stacjonujący wokół Bobrujska I Korpus Polski złożony z żołnierzy i oficerów, którzy przeszli do tej formacji z armii rosyjskiej. Podkomendni gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego byli więc pierwszymi żołnierzami polskiego wojska, którzy walczyli z państwem Lenina. Znaleźli się jednak ostatecznie w kleszczach armii niemieckiej, która w maju 1918 r. zażądała rozbrojenia. Walka z Niemcami byłaby samobójstwem. W rezultacie żołnierze Korpusu złożyli broń i zostali przewiezieni nad Wisłę.

W armii rosyjskiej służył Stanisław Ignacy Witkiewicz. Z powodu ludzkiego obchodzenia się z żołnierzami nie został



Józef Lutosławski, rozstrzelany przez bolszewików

FOT. „NOWOŚCI ILLUSTROWANE" NR 40 Z 1918 R. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

zabity, jak wielu carskich oficerów. Nie zamierzał jednak pozostawać w bolszewickiej Rosji. Dzięki protekcji, łapówkom i pośrednictwu poselstwa niemieckiego wrócił latem 1918 r. do Polski. Takiego szczęścia nie mieli dwaj bracia Lutosławscy, Józef – ziemianin z Podlasia, członek działającej w Rosji Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, ojciec Witolda, jednego z najsłynniejszych kompozytorów polskich XX w., oraz jego brat Marian. Zostali rozstrzelani we wrześniu 1918 r. jako winni „działalności kontrrewolucyjnej".

Pod ścianą stał postawiony przez czekistów Marian Walentynowicz, przyszły ilustrator „Przygód Koziołka Matołka" Kornela Makuszyńskiego, ale udało mu się uniknąć rozstrzelania. Czekiści aresztowali także urodzonego w Moskwie inż. Stefana Ossowieckego, właściciela fabryki, który wkrótce zasłynął jako jasnowidz. Oskarżono go o to, że był szpiegiem angielskim. Jemu także udało się uniknąć bolszewickiej kuli. Adwokat Aleksander Lednicki interweniował w jego sprawie u ważnego bolszewika, Karola Radka, polskiego Żyda.

Traktat otwiera drzwi

Zawarty w marcu 1921 r. traktat ryski umożliwił tysiącom Polaków zamieszkałych w Rosji dobrowolnie bądź przebywających tam przymusowo powrót na ziemie Polski. Prawo do powrotu mieli zapisani do ksiąg ludności Królestwa Polskiego potomkowie zesłańców z lat 1830–1865, emigranci zarobkowi, żołnierze z ziem polskich, którzy służyli do 1917 r. w armii carskiej, żołnierze i oficerowie Wojska Polskiego wzięci do niewoli w latach 1919–1920, a także bieżeńcy. Kolejną kategorią byli potomkowie rodzin zamieszkujących nie dalej niż w trzecim pokoleniu ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Oznaczało to zgodę strony polskiej, by w bolszewickiej Rosji pozostali Polacy, których rodziny mieszkały tam od wieków.

„W trakcie trzyletniej repatriacji strona polska nie zabiegała dostatecznie o przesiedlenie jak największej liczby optantów – pisał Cezary Żołędowski. – Częściowo było to spowodowane niemożnością pokonywania przeszkód stwarzanych przez władze sowieckie. Brak determinacji w tej kwestii był powodowany jednak także innymi przyczynami. Po pierwsze, obawiano się napływu do Polski sympatyków ideologii



Wozy bieżeńców przemierzające gubernię mohylewską

FOT. BIEZENSTWO.PL

eprasa.pl dc2966a19e



Jeńcy z 5. Dywizji Strzelców oczekujący w Aktiubińsku na transport do Polski

FOT. IPN

komunistycznej, a po drugie – starano się utrzymać istnienie zwartych skupisk polskich na historycznych ziemiach I Rzeczypospolitej po wschodniej stronie »granicy ryskiej«. Prawa kulturalne Polaków w porewolucyjnej Rosji starano się zagwarantować już w traktacie ryskim, a iluzję ich przestrzegania stwarzała sowiecka polityka narodowościowa, która po zakończeniu wojny domowej aż do lat 30. dopuszczała istnienie polskojęzycznych szkół i organizacji kulturalnych, a nawet funkcjonowanie języka polskiego jako urzędowego w dwóch przygranicznych rejonach na Ukrainie i Białorusi. Skutki polityki opartej na uleganiu takiej iluzji okazały się dla Polaków w ZSRR tragiczne". W wyniku tzw. operacji polskiej NKWD w latach 1937–1938 zostało rozstrzelanych ponad 100 tys. Polaków, natomiast władze sowieckie represjonowały – m.in. poprzez zsyłkę na Syberię i do Azji Centralnej – 300 tys. osób polskiego pochodzenia.

W 1921 r. wieść o otworzeniu się szansy na opuszczenie bolszewickiej Rosji wywołała radość wśród tysięcy Polaków. Ale były też obawy. Kijowianka Marta Zyn (pseudonim Marty Wołoszynowskiej) pisała w marcu tamtego roku: „Broń Boże śpieszyć się z zapisywaniem. Na wyjazd!... Tak było w Moskwie! Ogłoszono wyjazd, a potem ci, co się zapisali, byli prześladowani" („Dziennik Marty Zyn [Kijów grudzień 1919–luty 1922]"). Latem 1921 r. pisała o tych, którzy przekroczyli granicę polsko-sowiecką: „Więc to naprawdę możliwe? Więc ci, co niedawno ciągnęli tu w Kijowie ten dziwny kierat nic nieprodukującej maszyny, żyją już w jakimś świecie innym; mają nadzieję na lepsze jutro?... O, wyjechać!".

W latach międzywojennych stanął w Baranowiczach pomnik upamiętniający prawie 200 lekarzy i pielęgniarek jednego z przesiedleńczych punktów etapowych, ofiar chorób zakaźnych, które przynieśli ze sobą ludzie przybywający do Polski ze Związku Sowieckiego. Ale wielu nie dotarło na granicę. Marta Zyn pisała o podkijowskim obozowisku ludzi czekających na pociąg ewakuacyjny do Polski: „Ze Swiatoszynskiego punktu przysyłają do Kijowa po worki... Śmiertelność taka... Ani myśleć o trumnach! – opowiada ktoś. – Więc oni w te mrozy jeszcze tam żyją? – Pytam ze zgrozą. A tam. Wymarła ich część w czasie mrozów, w wagonach, w barakach. Część wywieźli do miejscowego szpitala. Część do Kijowa. Tyfus grasuje. Nie mogę wierzyć... Sprawdzam... Tak. To jest prawda. Jeszcze dwa eszelony wygnańców tak żyje".

Stan tych przesiedleńców był na ogół fatalny. Na polską granicę przybywali ludzie wycieńczeni warunkami życia w kraju Lenina, w tym chorzy na tyfus. Z wagonów wyładowywano trupy tych, którzy nie przetrwali długiej, niekiedy wielotygodniowej podróży. W styczniu 1922 r. Baranowicze odwiedził dziennikarz i fotograf pisma „Świat". Odniósł przygnębiające wrażenie: „Wśród tych wygnańców, których mam przed oczami, uderza znaczna liczba starców, kalek, dzieci – istot ledwie nogami powłóczących, o apatycznym spojrzeniu, zobojętniałych na głód, chłód i brud, na brak najelementarniejszych wygód". Fuks pisał, że obszerna kaplica cmentarna była za mała, by pomieścić zmarłych, brakowało trumien, więc trupy były składane jedne na drugich. W punkcie etapowym umierało kilkadziesiąt osób dziennie („Świat", 28 stycznia 1922 r.).

Szacuje się, że po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, do czasu zakończenia masowej repatriacji w 1924 r., ze Związku Sowieckiego wróciło 1,1–1,3 mln osób. W tej grupie było ok. 30 proc. Polaków.

Los jeńców

Postanowienia traktatu ryskiego przewidywały, że do Polski powrócą także jeńcy wojenni, nie tylko żołnierze Wojska Polskiego wzięci do niewoli podczas wojny z bolszewicką Rosją, lecz także polskich formacji w tym kraju. Dotyczyło to głównie żołnierzy 5. Dywizji Strzelców Polskich, powstałej na Syberii w styczniu 1919 r., złożonej z niedawnych jeńców z armii austro-węgierskiej i niemieckiej, a także z Polaków ochotników. Po ciężkich walkach z Armią Czerwoną, w styczniu 1920 r., ok. 8 tys. żołnierzy z płk. Walerianem Czumą, przyszłym dowódcą obrony Warszawy we wrześniu 1939 r., wobec beznadziejnej sytuacji złożyło broń. Wyżsi oficerowie trafili do więzień, pozostali do obozów, a żołnierze, którzy nie zgodzili się na wcielenie do Armii Czerwonej, zostali skierowani do oddziałów roboczych.

Od listopada 1918 r. do grudnia 1920 r. w wykazach WP figurowało 54 tys. zaginionych żołnierzy polskich, z czego – jak stwierdzał Waldemar Rezmer – zdecydowana większość trafiła do niewoli. Historyk oceniał, że w bolszewickich obozach znalazło się 44 tys. jeńców. „Skoro zaginęło około czterdziestu czterech tysięcy, a wróciło trzydzieści tysięcy, pojawia się zasadne pytanie: co się stało z resztą, czyli z czternastoma tysiącami? – pisał Rezmer. – [...] Przyjmując, że około trzech tysięcy jeńców faktycznie postanowiło pozostać w Rosji, otrzymamy około jedenastu tysięcy, których zabito zaraz po schwytaniu, zginęli zamordowani w obozach lub więzieniach, zmarli podczas transportu do obozu, w obozach, w transportach repatriacyjnych w drodze do Polski lub zginęli w nieznanych okolicznościach. Największą część stanowią jeńcy, którzy w niewoli zostali zamordowani lub zmarli z odniesionych wcześniej ran albo w wyniku chorób (W. Rezmer, „Jeńcy polscy w niewoli sowieckiej", [w:] M. Korkuć, W. Rezmer, Z. Karpus, „Jeńcy 1920", wyd. IPN).

eprasa.pl dc2966a19e

Warunki w bolszewickich obozach były bardzo trudne, jeńców polskich umieszczano nierzadko w budynkach i pomieszczeniach nieprzystosowanych do dłuższego pobytu, źle wyposażonych, żywiono ich podle. Nierzadko też źle obchodzono się z jeńcami. Fatalne warunki sanitarne przekładały się na wzrost zachorowań, w tym choroby zakaźne. Rezmer zauważał: „Konsekwencją niedożywienia, przebywania w zimnych, brudnych i zatęchłych pomieszczeniach, niemożności wymiany, a nawet wyprania bielizny była plaga wszy i pluskiew. Stanowiło to idealne podłoże do rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych". Ostatnie transporty z jeńcami przybyły do Polski na początku 1922 r.

Późniejsze powroty

Po 1923 r. tylko nieliczni mogli się wyrwać ze Związku Sowieckiego i przyjechać do Polski. Nina Andrycz, wybitna polska aktorka, urodziła się w Brześciu na Bugiem. Jej ojciec został zmobilizowany do armii rosyjskiej. Z matką i babcią przeprowadziła się do Kijowa jesienią 1917 r. „Wybuchła rewolucja październikowa. Granice szczelnie zamknięto. I zamiast dwóch miesięcy zostałyśmy w świeżo narodzonym Związku Sowieckim aż na dziesięć z hakiem lat… Matka znająca języki zatrudniła się jako tłumaczka w Związku Roboczych Kooperatywów [...]. Ku przerażeniu swojemu została oczywiście obywatelką ZSRS wraz z babcią Eufrozyną i ze mną" – pisała we wspomnieniach (N. Andrycz, „Patrzę i wspominam").

Oczywiście co do zasady sowieckie obywatelstwo uniemożliwiało wyjazd z Kraju Rad. Po latach ojciec Niny dowiedział się jednak, że żona i córka mieszkają w Kijowie, i dzięki zaangażowaniu się brata Czesława, wysokiego urzędnika w MSZ, uzyskał zgodę władz sowieckich na powrót rodziny do Polski, co nastąpiło pod koniec 1927 r.

Pięć lat dłużej w Związku Sowieckim przebywał Tadeusz Borowski, późniejszy więzień Auschwitz i znakomity prozaik. Urodził się w Żytomierzu w 1922 r. Cztery lata później jego ojciec został aresztowany za działalność w Polskiej Organizacji Wojskowej i zesłany na budowę Biełomorkanału. Udało mu się przeżyć tę katorgę i w 1932 r. został wymieniony wraz z synem na polskich komunistów. Dwa lata później dołączyła do rodziny matka, którą zesłano na Sybir.



Maria Glinczanka, członkini POW, skazana na karę śmierci, wróciła do Polski dzięki wymianie więźniów politycznych

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wymiana więźniów politycznych pomiędzy Polską a ZSRS trwała do połowy lat 30. Strona polska wydawała komunistów skazanych na więzienie; wśród nich największą grupę stanowili Żydzi. Komuniści kupili sobie wolność, ale w znakomitej większości zostali rozstrzelani w latach wielkiej czystki (1937–1938) jako rzekomi szpiedzy polscy oraz kontrrewolucjoniści. Strona polska zabiegała natomiast o wydanie polskich agentów w Kraju Rad, a także członków Polskiej Organizacji Wojskowej działającej do 1921 r. jako ekspozytura polskiego wywiadu, ratując wielu z nich przed niechybną egzekucją.

W 1922 r. na śmierć została skazana, urodzona w Kamieńcu Podolskim, 22-letnia Maria Glinczanka, sekretarka POW w Humaniu, która zatrudniła się w radiostacji czerezwyczajki i przekazywała uzyskane tam informację do Polski. Pewnego dnia wywołano z cel 20 Polaków i Polek skazanych na karę śmierci. Przeżyli wtedy chwilę grozy. Cała grupa została przewieziona do Mińska, gdzie powiedziano tym ludziom, że trwają pertraktacje i jeśli zostaną zerwane, to wszyscy wrócą do Moskwy na rozstrzelanie. Szczęśliwie negocjacje się udały. Na granicznym punkcie Niegorełoje-Stołpce „żołnierze zapalili pochodnie, bo wieczór był ciemny, płomienie miotały się na wietrze i wszystko wokoło nabrało krwawego blasku, jak wspomnienie o Rosji... Staliśmy tak długą chwilę, wpatrzeni w bramę, którą mieliśmy przejść. Zabrzmiały nazwiska do wymiany – przechodziliśmy kolejno. A w tej chwili ułani polscy zagrali »Jeszcze Polska nie zginęła« – i nareszcie, nareszcie stanęliśmy na polskiej ziemi" (M. Rose, „Oko w oko ze śmiercią: wspomnienia śp. Marii z Glinków Rose z kaźni bolszewickiej").



Ksiądz Teofil Skalski (w środku) i ks. Kazimierz Naskręcki w Stołpcach po powrocie do Polski, 1932 r. FOT. NAC

Sporą grupę wśród wymienionych na komunistów stanowili polscy księża, represjonowani w ZSRS. Głośny był w 1923 r. proces kilkunastu księży z abp. Janem Cieplakiem na czele. Wraz z nim na śmierć został skazany ks. Konstanty Budkiewicz. Dzięki dyplomatycznym interwencjom Sowieci uwolnili arcybiskupa, ale ks. Budkiewicz został rozstrzelany. Komentując jego egzekucję ks. Jan Urban pisał o Sowietach: „Chodziło im o to, aby krwawym czynem sterroryzować do reszty pozostałe jeszcze w Rosji duchowieństwo katolickie, jak skazanie przed rokiem kilku biskupów prawosławnych i niższych duchownych sterroryzowało i rozbiło cerkiew prawosławną" („Wymiana więźniów politycznych między II Rzecząpospolitą a Sowietami w okresie międzywojennym. Dokumenty i materiały", oprac. W. Materski).

Strona polska wpisała na listę osób do wymiany ks. Andrzeja Fedukowicza z Żytomierza, jednak nie udało się go uwolnić. Los księdza był tragiczny. Dwukrotnie aresztowany i torturowany zgodził się napisać list do papieża, oskarżając w nim polskich księży w ZSRS o działalność szpiegowską. Złamany psychicznie, targany wyrzutami sumienia, w geście dramatycznego protestu przeciw prześladowaniu go dokonał w 1925 r. samospalenia.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Bolszewicka milicja obywatelska w Białymstoku, 1920 r.

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W BIAŁYMSTOKU

Lata 1918–1921 / Menora między orłem a czerwoną gwiazdą

Żydzi Lenina i Piłsudskiego



Jakub Ostromęcki

Postawy Żydów w czasie wojny polsko-bolszewickiej były bardzo zróżnicowane. Obok ochotników do Wojska Polskiego działali Żydzi komuniści, którzy robili wszystko, by Armia Czerwona pokonała Polskę

Na obszarze, na którym toczyła się wojna z bolszewikami, żyło ok. 1,5 mln Żydów. Na tzw. ziemiach zabranych, czyli terenach od Wileńszczyzny do Wołynia, żyło ich ponad 370 tys., w Galicji Wschodniej – 660 tys., w Kongresówce – aż 1,5 mln, ale z najazdem bolszewickim do czynienia mieli głównie ci z Mazowsza, Podlasia i Lubelszczyzny.

Charakterystyka postaw politycznych Żydów na terenie Rzeczypospolitej to prawdziwa socjologiczna łamigłówka. W miastach i miasteczkach między Wisłą a Berezyną, od Wilna do Lwowa, żyli religijni chasydzi w charakterystycznych chałatach i lisiurkach. Byli oni częścią ortodoksyjnego nurtu żydostwa (każdy chasyd jest ortodoksyjny, ale nie każdy ortodoks jest chasydem). Ortodoksi przerażeni byli faktem, że w „raju robotników i chłopów" miejsca na religię nie będzie. Byli więc wrogami bolszewizmu. Chociaż chasydzi i ortodoksi obyczajowo i językowo separowali się od reszty społeczeństwa polskiego, to jednak głosili lojalność wobec państwa, w którym mieszkają.

Obok nich mieszkali Żydzi mający bardziej nowoczesne podejście do wiary, uznający siebie nie tylko za wspólnotę religijną, lecz także za odrębny naród. Byli to syjoniści głoszący emigrację do Palestyny i fołkiści, którzy chcieli pozostać na ziemi swoich przodków. Syjonistom i fołkistom nie wystarczało równouprawnienie. Dążyli do jak najszerszej autonomii narodowościowej. Znali doskonale język narodu, wśród którego mieszkali, i nosili się jak europejska klasa średnia. Wśród nich byli jednak też tacy, którzy nad polski przedkładali język jednego z zaborców. Przykładowo tzw. litwacy z Kresów Wschodnich byli zrusyfikowani.

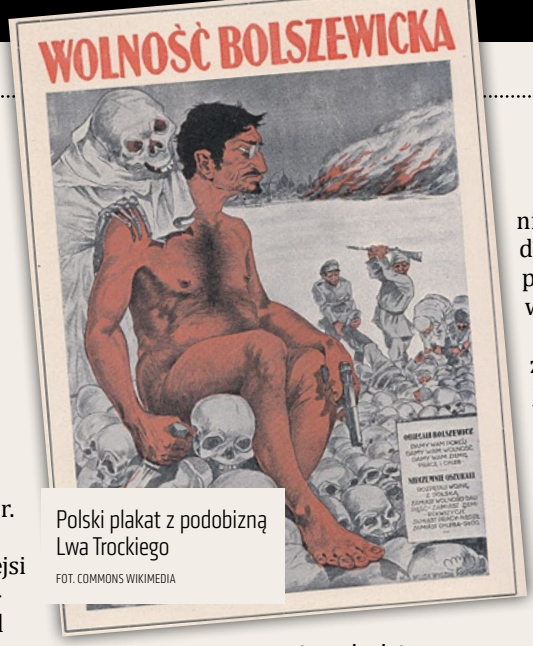
Trzecia grupa to poddani akulturacji drobni rzemieślnicy i inteligencja, przeważnie młodzi i spauperyzowani, wśród których było wielu zwolenników komunizmu. Ich głos reprezentowany był przez partie Bund i Poalej Syjon-Lewica. Czwarta grupa, najmniej liczna, to tzw. asymilatorzy – choć wobec siebie takiej nazwy nie używali. Byli to Żydzi uznający się za Polaków wyznania mojżeszowego lub w ogóle bezwyznaniowi. Żydostwo było dla nich jedynie kwestią pochodzenia. Ludzie ci chętnie wkładali polski mundur. Asymilatorzy uważali, że podnoszenie sprawy autonomii przez żydowskich nacjonalistów poróżni Polaków i Żydów. Ta część Żydów witana była z otwartymi ramionami wśród polskich socjalistów czy piłsudczyków, ale endecy i duża część duchowieństwa traktowali ich podejrzliwie, jako „kryptożydów" zatruwających podstępem zdrową tkankę narodu polskiego. W opinii przeciętnego endeka najlepiej byłoby, gdyby Żyd dalej chodził w chałacie, kiwał się nad Torą i trzymał się z dala od polityki.

O rozkładzie sympatii politycznych wśród Żydów wiele mówią wyniki wyborów do Sejmu w 1919 r. Wśród partii żydowskich ponad połowę zdobyli syjoniści i fołkiści, a na drugim miejscu uplasowali się ortodoksi. Jeden mandat przypadł komunizującemu Poalej Syjon, natomiast Bundowi nie udało się dostać do Sejmu.

Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich w swoim raporcie z 1920 r. dzielił Żydów na dwie grupy: „Pokolenie starsze w niczym nie wykazuje swego względem polskości złego usposobienia, natomiast pokolenie młodsze widocznie tęskni do Sowietów".

Polacy i Żydzi poróżnili się już w 1918 r. Zaczęło się w Galicji Wschod-

eprasa.pl dc2966a19e



Polski plakat z podobizną Lwa Trockiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

niej, jeszcze zanim dotarła tu Armia Czerwona. Zachodnioukraińska Republika Ludowa bez mrugnięcia okiem dała Żydom szeroką autonomię narodowościową. Tamtejsi fołkiści i syjoniści, otrzymawszy to, co chcieli, poparli w 1919 r. nowo powstałe państwo, tworząc nawet żydowskie jednostki wojskowe w ramach Ukraińskiej Armii Halickiej.

W samym Lwowie pod koniec 1918 r. sytuacja wyglądała nieco inaczej. W konflikcie polsko-ukraińskim tamtejsi Żydzi ogłosili neutralność, tworząc milicję do obrony własnej dzielnicy przed napadami band rabunkowych, często mieszanych narodowościowo. 22 grudnia Ukraińcy wycofali się z miasta, nie informując jednak o tym fakcie Żydów. Ci, widząc wojsko polskie i towarzyszące mu oddziały paramilitarne, zaczęli do nich strzelać. Mający przewagę, Polacy szybko zajęli żydowską dzielnicę. O tym, że skład naszych jednostek bywał pod względem moralnym dość marny, mówili sami polscy żołnierze: „Brano do obrony każdego, kto się zgłosił. Sprawą wówczas jedyną było wyzwolić Lwów za wszelką cenę. Żywioły przestępcze dawały pomoc istotną".

Uzbrojone męty społeczne i część żołnierzy rozpoczęły mordy i grabieże. Dowództwo zaprowadziło w końcu porządek, Lwów przeszedł pod polską kontrolę, ale ceną za jego zdobycie był wzrost niechęci Żydów, i to nie tylko galicyjskich, do nowo powstałego państwa.

Żydokomuna w akcji

Z naszego punktu widzenia najbardziej kłopotliwi byli Żydzi komuniści. W 1918 r. wśród bolszewickiej wierchuszki Żydzi stanowili ok. 30 proc., będąc jednocześnie niewielką mniejszością w całym imperium. Nadreprezentacja ta kazała Polakom utożsamić wszystkich Żydów z komunistami. Rychło więc na naszych plakatach propagandowych lucyfer komunista otrzymał zagięty nos, pełne usta, mięsiste uszy i ciemne, kędzierzawe włosy. Żydowski historyk Józef Schatz celnie puentował: „Wśród Żydów niewielu było komunistów, ale wśród komunistów było wielu Żydów". Jedni liczyli na to, że w Sowietach, które podobno miały nie dzielić ludzi według narodowości, nie będą szykanowani ze względu na swoje pochodzenie. Inni twierdzili natomiast, że komunizm wyciągnie ich z nędzy.

W styczniu rozpoczęła się wojna z bolszewikami na terenie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, czyli na Wileńszczyźnie i Białorusi. Kluczowym miastem dla tego frontu było oczywiście Wilno, które kilkukrotnie przechodziło z rąk do rąk. W kwietniu 1919 r. miasto było nasze. Żydzi bolszewicy, jak wynika z raportów Wojska Polskiego, otworzyli w czasie walk ogień do nacierających. Sprawy potoczyły więc jak we Lwowie – doszło do grabieży, samosądów i dzikich, niekontrolowanych egzekucji na kilkudziesięciu Żydach (nikt nie sprawdzał, czy są oni bolszewikami czy nie). Dowództwo polskie zakazało takich działań, starając się stawiać wrogów przed sądem wojskowym, a nie linczować ich w zaułkach.

Współpraca żydowskiej młodzieży z bolszewikami nie ograniczała się jedynie do Wilna, ale była plagą całego teatru działań wojennych. Potwierdzają to raporty wywiadu wojskowego czy władz cywilnych. O sytuacji w Galicji Wschodniej w przededniu wyprawy kijowskiej pisano: „Ludność żydowska wobec wojska i wobec władz polskich, o ile nie zachowuje się pasywnie, to zachowuje się wprost wrogo […]. Cieszyła się z niepowodzeń wojsk polskich, a niepowodzenia bolszewickie oddziaływały na nią przygnębiająco". W odległym o setki kilometrów Gąbinie w styczniu 1920 r. radni z Bundu odmówili płacenia składek na dofinansowanie 13. Pułku Ułanów Wileńskich.

Oprócz jawnej współpracy z Armią Czerwoną podczas walk i udzielanej bolszewikom pomocy w rozpoznaniu i zaopatrzeniu żydowscy komuniści prowadzili też agitację za linią frontu, judząc chłopów: „Wy sobie tam rady z panami nie dacie, ale przyjdą tacy, co wam pomogą".

Przyszli latem 1920 r. Wielka była wówczas radość żydowskich komunistów. Białystok, Łuków, Hrubieszów, Mińsk Mazowiecki, Lubartów. Wszędzie te same obrazki. Otwieranie sklepów, które dla wycofującego się Wojska Polskiego były zamknięte, stoły zastawione wszelkimi dobrami, rzucanie w górę czapek, wiwaty, kwiaty, zamalowywanie polskich napisów, denuncjowanie ukrywających się oddziałów. Na terenach opanowanych przez bolszewików Żydzi zdominowali aparat przemocy, czyli lokalne rewkomy. Najsilniej w Zambrowie, Wyszkowie, galicyjskim Tarnopolu, Makowie Mazowieckim. W Różanie, Terespolu, Wyszkowie i Siedlcach stanowili większość w lokalnej czerwonej milicji, która denuncjowała bogatych mieszkańców, ułatwiając bolszewikom rabunek mienia. Tworzyli listy proskrypcyjne, na których widniały nazwiska polskich działaczy, przedsiębiorców,



Członkowie Poalej-Syjon z podobizną Bera Borochowa, ideologa marksistowskiego syjonizmu, Grajewo, 1920 r. FOT. JEWISHBIALYSTOK.PL

eprasa.pl dc2966a19e

ziemian, księży, urzędników czy w ogóle osób nastawionych antykomunistycznie. Listy te natychmiast wędrowały do Czeka. Stanisław Grabski tak wspominał przejazd na rozmowy pokojowe do Mińska: „W Siedlcach i Białej Podlaskiej […] tłumy ludności żydowskiej tych miast otaczały nasze samochody, wznosząc wrogie Polsce okrzyki".

„Samoobrona ekonomiczna"

Słabo wyglądał udział Żydów z kresów północno-wschodnich w oddziałach ochotniczych Wojska Polskiego. Odnotowano tylko jednego ochotnika z tego obszaru. W oddziałach ochotniczych utworzonych w 1920 r. niechrześcijanie, czyli w przeważającej większości Żydzi, bo muzułmanów nie było u nas wielu, stanowili 3 proc. chętnych. Odwracając rachunek, wśród całej ludności niechrześcijańskiej ochotnicy stanowili 0,04 proc. Dla porównania: wśród ludności chrześcijańskiej odsetek ten wynosił 0,78 proc.



Kapitan Filip Śmiłowski, Polak pochodzenia żydowskiego, poległ w kwietniu 1920 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

Do Wrocławia, Gdańska i Katowic przed poborem uciekło w sumie 30 tys. Żydów. Co ciekawe, choć żydowscy komuniści chętnie tworzyli lokalne milicje współpracujące z najeźdźcą, to niespecjalnie garnęli się do służby w regularnych oddziałach Armii Czerwonej. Były jednak wyjątki. W Siedlcach, Białymstoku i Wyszkowie powstały żydowskie kompanie. W sumie na Mazowszu i Podlasiu liczba Żydów idących na ochotnika do Armii Czerwonej sięgnęła prawie 1,2 tys. osób.

Cenną analizę motywów współpracy Żydów z bolszewikami zamieścił wywiad 5. Armii WP: „W pewnym odcieniu uważana być może za apolityczną; działalność samoobrony ekonomicznej". Część z Żydów myślała zatem, że przystając do bolszewików, uchroni się przed grabieżą. Bardzo ciekawy w tym kontekście jest przypadek Mławy. Otóż w mieście tym lokalny rewkom został zdominowany przez rodowitych Polaków, którzy natychmiast przystąpili do… grabieży Żydów. Bywały też miasta, takie jak Łomża, gdzie według relacji biskupa tamtejszej diecezji większość bolszewickich więźniów stanowili Żydzi – ortodoksi lub przedstawiciele burżuazji.

Reakcja Polaków na działania żydowskich komunistów była często ślepa i przypominała przysłowiowe wylewanie dziecka z kąpielą. Aresztowania bundowców były krokiem słusznym, ale latem 1920 r. Żydów ochotników do Wojska Polskiego zamiast na front posłano do obozu internowania w Jabłonnie. Dowództwo bało się, że zdradzą lub zdezerterują. Obóz szybko zlikwidowano, ale społeczeństwo dalej domagało się „odżydzenia wojska". Usuwano więc Żydów z lokalnych Komitetów Obrony Państwa. Z mieszkań wokół Twierdzy Modlin wyrzucono nawet ortodoksów i rabinów. W Płocku na śmierć skazano rabina za to, że na balkonie „dawał znaki bolszewikom". Zrehabilitowano go pośmiertnie, bo okazało się później, że człowiek ten po prostu się modlił. Na kresowych stacjach kolejowych żołnierze, najczęściej z pułków wielkopolskich, gdzie najwięcej było sympatyków endecji, napadali na Żydów, bijąc ich, szydząc, grabiąc i obcinając im brody. Generał Sosnkowski wydał rozkaz o surowym karaniu takich ekscesów. Posypały się wyroki śmierci. Skalą antyżydowskiego odwetu przerażony był nawet antysemita Adolf Nowaczyński: „Należy skończyć z obcinaniem bród Żydom w chałatach, szabasującym, nabożnym, konserwatywnym, niepolitykującym". Kim był Żyd „politykujący" i dlaczego można było obcinać mu brodę – to wiedział tylko Nowaczyński.

W oczach Żydów najgorzej zapisały się sprzymierzone z Polską oddziały Ochotniczej Sprzymierzonej Armii Stanisława Bułaka-Bałachowicza. W Kamieniu Koszyrskim Bałachowscy mieli zamordować 63 Żydów. Generał bronił się, twierdząc, że zabijał jedynie Żydów komunistów, a swoich żołnierzy, którzy mordowali niewinnych, karał na gardle. Stanisław Lis-Błoński, oficer łącznikowy WP przy oddziałach Bułaka-Bałachowicza, komentował jednak szczerze: „Wojna to nie parlament, to nie konferencja przedstawicieli dyplomatycznych! Elementami wojny są brutalność i okrucieństwo oraz zasada »ząb za ząb«. Lecz jakże często niewinni cierpią za grzechy swoich współplemieńców".

Autonomiści i asymilanci

Syjoniści i fołkiści trzymali się od bolszewizmu z daleka. Nie oznacza to jednak, że zawsze działali zgodnie z polską racją stanu. Realizowali po prostu swoje interesy, które nie zawsze były tożsame z polskimi. Autonomia według syjonistów i fołkistów miała polegać na czymś więcej niż równouprawnieniu. W jej myśl państwo polskie miało np. finansować podstawówki, w których językiem wykładowym byłby jidysz, a młodzi Żydzi w szabas i w czasie świąt żydowskich nie musieliby prowadzić notatek czy pisać klasówek. Zasad autonomii miały strzec instytucje międzynarodowe, co według Żydów miało zapobiec pogromom.

Dążenia autonomiczne budziły alergiczną reakcję wśród Polaków, choć nie tak ostrą jak bolszewizm. Polaków drażnił też fakt, że syjoniści i fołkiści nie zamierzali poprzeć naszych aspiracji w kwestii granic tak długo, jak nie otrzymają autonomii.

Autonomiści kresowi byli w dużej części zrusyfikowani. Nie podobało im się np., że odezwy i obwieszczenia nie

eprasa.pl dc2966a19e



Józef Piłsudski witany przez Żydów w Dęblinie, 1920 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

JÓZEF PIŁSUDSKI O POSTAWIE ŻYDÓW PODCZAS WOJNY Z BOLSZEWICKĄ ROSJĄ

Największymi agitatorami komunistycznymi są Żydzi, to też ich propaganda nie wywiera wśród ludu tego wpływu, jakiego należałoby się obawiać, gdyby agitatorami byli rdzenni Polscy. *Wywiad dla „Journal de Genève", 18 maja 1920 r.*

Żydzi nie wszędzie zachowywali się źle. W Łomży i Mazowiecku dzielny stawiali opór bolszewikom. W Mazowiecku rozstrzelali kilku. W Łomży bolszewicy osadzili biskupa w więzieniu wśród samych Żydów, których aresztowali. Natomiast rzecz dziwna, jak wiele zresztą rzeczy w Polsce – tuż obok, w sąsiedztwie: w Łukowie, w Siedlcach, w Kałuszynie, w Białymstoku, dalej – we Włodawie, miały miejsce liczne, czasem nawet masowe, ze strony Żydów wypadki zdrady stanu. *Wywiad dla „Kuriera Polskiego", 26 sierpnia 1920 r.*

są już drukowane w języku Puszkina. Chcieli też, by w urzędach pracowała odpowiednia liczba Żydów, a jidysz był językiem urzędowym. Latem 1920 r., gdy bolszewicy po raz drugi w czasie tej wojny podchodzili pod Wilno, autonomiści wstrzymali się od głosu w czasie głosowania rady miasta nad dodatkowym poborem. Okazali natomiast radość, gdy miasto przejęli współpracujący wówczas z bolszewikami Litwini. Ci bowiem bez żadnych warunków gotowi byli nadać Żydom jak najszerszą autonomię.

Działania te obudziły rozgoryczenie wśród Polaków, pogłębiając wzajemną nieufność, która trwała aż do końca wojny. Gdy gen. Lucjan Żeligowski „samowolnie" tworzył Republikę Litwy Środkowej, Żydzi nie kandydowali do jej władz, choć mieli prawa wyborcze. Delegat rządu polskiego na ziemię wileńską tak podsumował żydowskich autonomistów: „Społeczeństwo żydowskie w swej masie na ogół nie ujawnia jakiejkolwiek bądź nowej orientacji politycznej, która byłaby niezgodna z interesami państwowości polskiej, zasadniczy jednak kierunek myśli politycznej żydostwa jest dla Polski nieprzychylny".

W zupełnie innym duchu działali asymilatorzy. „Śladami Berka Joselewicza kroczcie!" – nawoływał Żydów jeszcze w czasie Wielkiej Wojny Jakub Szackin, żołnierz legionów, potem historyk. W 1919 r. odezwy tej posłuchali wchodzący na ścieżkę asymilacji Żydzi, przeważnie z Galicji Zachodniej i ze Lwowa. Jeden z Lwowiaków, Tadeusz Feldstein, nazwał swoich współwyznawców „najgroźniejszymi wrogami Polski" z tego powodu, że w 1918 r. opierali się w czasie walk o Lwów naszemu wojsku.

Wielu asymilatorów miało już za sobą służbę w Legionach i w czasie wojny bolszewickiej dosłużyło się stopni oficerskich. Salomon Weinreb został ciężko ranny w walce z bolszewikami pod Grodkiem na Białorusi. Filip Śmiłowski wsławił się obroną pozycji polskich pod Stodoliczami. Dwa miesiące później, pod Mozyrzem, ranny w obie nogi, widząc, że próbujący go ratować żołnierze zginęli lub zostali ranni, odebrał sobie życie, unikając tym samym tortur, które oficerom gotowali bolszewicy. Dowódcą artylerii pociągu pancernego „Zagończyk" był Walter Munk, ciężko ranny pod Zamościem. Znakomitymi artylerzystami byli też Konrad Unger i Dawid Kelhofer. Inni oficerowie pochodzenia żydowskiego to Maurycy Hirschhorn, Herman Lewinger, Adolf Schildhaus-Rappaport czy Ludwik Schimek.

W uzasadnieniu nadania Krzyża Niepodległości nie omieszkano określić jednak Weinreba jako „dziw natury", czyli „wybitnie ideowego, nader dzielnego podoficera, który mimo pochodzenia z drobnomieszczańskiej rodziny żydowskiej przejął się hasłami niepodległościowymi". Dowódcy Konrada Ungera, odmawiając mu przydziału frontowego, pisali: „Wobec tego, że jest mojżeszowego wyznania, zły wpływ wywiera na subordynację w żołnierzach". To enigmatycznie zdanie wyjaśniono ostatecznie faktem, że podwładnymi Ungera zostaliby żołnierze z Pomorza, którzy czuli antypatię do Żydów. Według przełożonych problem miał więc Unger, a nie antysemici. Ostatecznie w obliczu zasług i ofiarności na froncie Unger dostał jednak awans.

Bardzo ofiarnie zachowali się też Żydzi z Łomży i Wysokiego Mazowieckiego. Stworzyli oni 300-osobowy oddział partyzancki, który w walkach z bolszewikami stracił 18 zabitych. Znane są również przypadki ukrywania przed bolszewikami przez Żydów – głównie ortodoksów – księży katolickich i polskich działaczy.

W 1920 r. Żydzi byli widoczni również w lokalnych Komitetach Obrony Narodowej – pionierami tej działalności byli mieszkańcy Sosnowca. W Indurze pod Grodnem Żydzi stanowili połowę składu Komitetu Propagandy Pożyczki Odrodzenia Polski. Najdziwniejszym jednak odziałem był 300-osobowy „pułk" żydowski wchodzący w skład grupy samego gen. Bułaka-Bałachowicza, który przecież w oczach swoich przeciwników był dzikim żydożercą. W latach 1918–1921 wachlarz żydowskich postaw rozwarty był więc bardzo szeroko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e

Wywiad / Z ks. Andrzejem Sochalem, autorem książek o św. Szarbelu



rozmawia Piotr Włoczyk

Cuda libańskiego pustelnika

– Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego. Niestety, niektórzy traktują olej św. Szarbela jako magię, jakiś cudowny olejek, który ma uzdrawiać na pstryknięcie palców. To tak nie działa – mówi duchowny

PIOTR WŁOCZYK: Święty Szarbel dbał o to, by nikt nie zrobił mu zdjęcia za życia, ale mimo to dysponujemy jedną jedyną fotografią tego słynnego świętego. Choć pewnie niejeden sceptyk powie, że to się po prostu nie miało prawa zdarzyć...

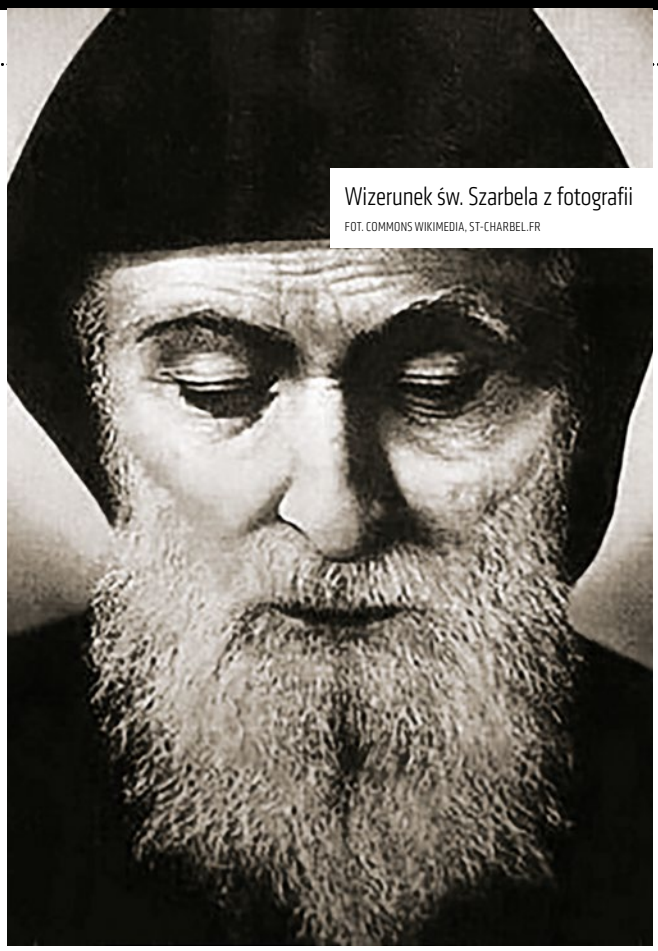
KS. ANDRZEJ SOCHAL: To słynne zdjęcie powstało w 1950 r., podczas pielgrzymki czterech maronickich zakonników do klasztoru w libańskiej Annai, gdzie żył św. Szarbel. Po wywołaniu zdjęcia okazało się, że obok nich stoi ktoś jeszcze. Wiadomo, że nie jest to fotomontaż. Misjonarze zachodzili w głowę, kto to mógł być. Najstarsi zakonnicy z tego klasztoru nie mieli żadnych wątpliwości. Powiedzieli swoim młodym współbraciom, że to słynny zakonnik. Od śmierci św. Szarbela minęły wtedy 52 lata, więc żyli jeszcze ci, którzy pamiętali jego twarz. Ważna rzecz: na tym zdjęciu libański święty ma zamknięte oczy, jak każdy człowiek skupiony na modlitwie. Jeżeli więc zobaczymy gdzieś portrecik św. Szarbela z otwartymi oczami, to wiadomo, że nie jest on wzorowany na oryginalnym zdjęciu, które wystawione jest sanktuarium w Annai.

W przeciwieństwie do choćby św. o. Pio skromny zakonnik z Libanu był za życia praktycznie szerzej nieznany. Oczywiście okoliczni mieszkańcy słyszeli o niezwykłym, oddanym Bogu człowieku żyjącym w pustelni przy klasztorze, ale szeroki świat chrześcijański usłyszał o nim dopiero wiele lat po jego śmierci.

Statua św. Szarbela w Farai (Liban)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA-FOSS-ŚWIAT

eprasa.pl dc2966a19e



Wizerunek św. Szarbela z fotografii
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ST-CHARBEL.FR

Stały za tym trzy podstawowe powody. Rzecz działa się w egzotycznym Libanie, który część ludzi wciąż myli z Libią, św. Szarbel żył w XIX w., więc siłą rzeczy media były wtedy mało rozwinięte, ale bodaj najważniejsza jest właśnie kwestia jego sposobu życia – był to zakonnik, który ostatnie 23 lata życia spędził w pustelni. Niechętnie spotykał się z ludźmi, wliczając w to własną rodzinę, ponieważ chciał żyć tylko dla Boga.

Mimo to sporo jednak wiemy na temat jego życia. Dobrym źródłem informacji na temat św. Szarbela są dokumenty z jego procesu beatyfikacyjnego, który rozpoczął się w 1926 r. Brali w nim udział zakonnicy, którzy znali św. Szarbela, ale swoje świadectwa zostawili także członkowie jego rodziny.

Chociaż ich relacje stały się bardzo trudne.

Mówiąc wprost: św. Szarbel praktycznie zerwał kontakty ze swoją rodziną. Miał dwóch wujków pustelników i wszystko wskazuje na to, że ich życie było dla niego jakąś inspiracją do wstąpienia do zakonu. Ale przecież od najmłodszych lat ciągnęło go do modlitwy i poszczenia. Dlatego jego rówieśnicy nazywali go jeszcze w dziecięcych latach „świętym".

Gdy jednak postanowił wstąpić do Zakonu Libańskich Maronitów, jego matka nie wyraziła na to zgody. Potrzebowała jego rąk do pracy, a poza tym wyobrażała sobie, że syn założy rodzinę.

Jego ojciec od dawna już nie żył.

Święty Szarbel miał trzy lata, gdy został półsierotą. Ponieważ matka widziała dla niego inną przyszłość, jej syn właściwie uciekł z domu. Gdy matka znalazła go w końcu w jednym z klasztorów, św. Szarbel nie chciał z nią rozmawiać. Jednak posłuszny nakazowi przełożonego, wyszedł do niej. I wtedy padły słynne słowa, które tak często są przywoływane: „Mamo, zobaczymy się w niebie". Niektórzy powiedzą być może: wyrodny syn. Jeżeli jednak spojrzymy na to z perspektywy wiary, to dostrzeżemy, jak bardzo św. Szarbel chciał żyć tylko dla Boga.

W klasztorze był bardzo przykładnym mnichem. Niektórzy mówią o „trio św. Szarbela": milczenie, modlitwa i praca. Wokół tych spraw kręciło się całe jego życie.

Jeżeli chodzi o pracę, to zakonnicy albo budowali tarasy uprawne na wzgórzach, albo pracowali przy uprawie różnych roślin, np. morwy, którą karmione są jedwabniki. Właśnie przy tej pracy doszło do zdarzenia, które bardzo zabolało zakonnika. Pewnego dnia jedna z kobiet rzuciła w niego w trakcie pracy jedwabnikiem, wytrącając go ze skupienia. Jeszcze tego samego dnia św. Szarbel uciekł do innego klasztoru.

Świętemu Szarbelowi przyświecała chęć życia dla Boga, bez żadnych ziemskich rozproszeń. W klasztorze był niedoścignionym wzorem dla współbraci

Bardziej odizolowanego od ludzi...

Tak. Cały czas św. Szarbelowi przyświecała chęć życia dla Boga, bez żadnych ziemskich rozproszeń. W klasztorze był niedoścignionym wzorem dla współbraci. Do tego stopnia, że gdy zakonnicy dostawali trudne zadania, zdarzało się, iż mówili: „Przecież ja nie jestem Szarbelem".

Jednak nie wszyscy go szanowali.

Niektórzy wręcz wykorzystywali jego pokorę, a nawet wyśmiewali się z niego. Przykładem było choćby obciążanie go narzędziami w drodze powrotnej z pracy. Święty Szarbel potrafił wtedy jednak trafić do ich sumień, przypominając słowa o ludziach, którzy nakładają na innych ciężary nie do udźwignięcia, a sami nie chcą ruszyć palcem...

Podobna sytuacja miała miejsce w czasie, kiedy przełożony św. Szarbela rozeznawał, czy warto pozwolić temu zakonnikowi przejść do życia pustelniczego. Gdy pewnego dnia św. Szarbel wrócił późno z pracy, jeden ze współbraci postanowił sobie z niego zażartować, wlewając do jego lampy oliwnej wodę. Jednak mimo to lampa się zapaliła... O tej sytuacji zrobiło się głośno w klasztorze i przełożony zrozumiał wtedy, że za decyzją tego pokornego zakonnika o rozpoczęciu życia pustelnika stoi wszechmogący Bóg, który łamie prawa natury. I w związku z tym wyraził zgodę na przejście św. Szarbela do pustelni.

Zwyczajowo pustelnik nie powinien spać więcej niż pięć godzin. Święty Szarbel kładł się o godz. 20, a już o 1 czuwał. Mszę Świętą odprawiał zazwyczaj w południe – długo się do niej przygotowywał – a dziękczynienie po niej trwało nieraz nawet dwie godziny. Święty

eprasa.pl dc2966a19e



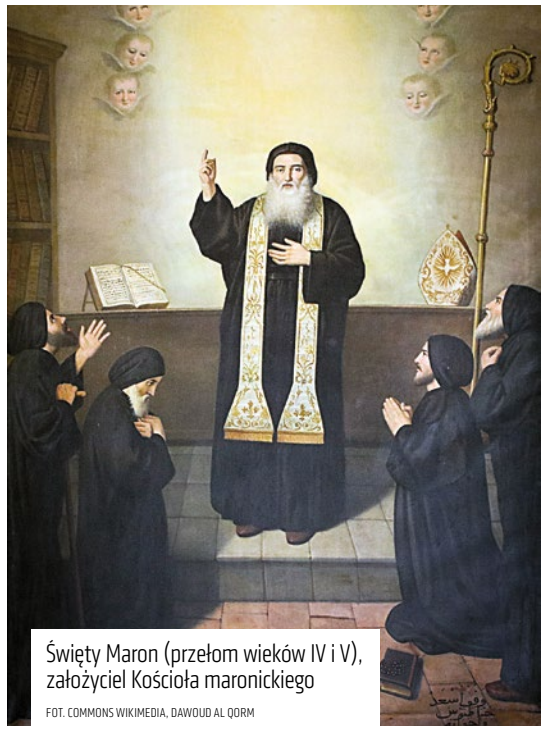
Wykonane w 1950 r. zdjęcie w klasztorze w Annai, na którym pojawiła się postać nieżyjącego od lat Szarbela Makhloufa (na pierwszym planie) FOT. SZAERBEL.WORDPRESS.COM

Szarbel jadł o godz. 15 swój jedyny posiłek, oczywiście bezmięsny. Nawiasem mówiąc, kiedyś miałem zabawną sytuację związaną z godziną posiłku tego świętego. Podeszła do mnie pewna pani, kręcąc głową i mówiąc, że nie podoba jej się ten święty, bo jadł posiłek w momencie, gdy odmawia się Koronkę do Miłosierdzia Bożego. Oczywiście wyjaśniłem tej pani, że niepotrzebnie się gniewa na tego świętego, bo zmarł on, zanim św. Faustyna Kowalska przyszła na świat. A gdyby w jego czasach odmawiano koronkę, to bez wątpienia też by to robił.

Kościół maronicki to bardzo egzotyczny temat dla większości polskich katolików. Jaką rolę odgrywały tamtejsze zakony w życiu ówczesnych Libańczyków?

Trzeba pamiętać, że Kościół w Libanie sięga właściwie czasów Pana Jezusa. Marek Ewangelista był pierwszym biskupem Byblos. Ten Kościół był bardzo mocno związany ze stolicą apostolską. Centrum życia społecznego na libańskiej ziemi – i to w każdym wymiarze – były klasztory. Przełożony klasztoru rozsądzał spory między chłopami, mnisi współpracowali z nimi, pomagając im zarabiać pieniądze, m.in. przy sprzedaży ich dóbr. A przypomnę tylko, że to Fenicjanie wymyślili pieniądze. A także alfabet i szkło.

Istniała symbioza między życiem duchowym zakonników a codziennym życiem ludzi świeckich mieszkających w okolicy klasztorów. To były dwa uzupełniające się światy. Do tego stopnia, że nierzadko mówi się, iż Libańczycy to ludność mnisia. I tak jest do dziś. Gdy w Libanie pojawiają się poważne problemy, kard. Béchara Boutros Raï, głowa Kościoła maronickiego, musi wyrazić swoją opinię, gdyż w Libanie chrześcijanie stanowią ponad jedną trzecią ludności. To jest ewenement, ponieważ na całym Bliskim Wschodzie chrześcijanie stanowią dziś być może zaledwie 1 proc. ludności. A jeszcze na początku poprzedniego wieku było to 22 proc...



Święty Maron (przełom wieków IV i V), założyciel Kościoła maronickiego FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DAWOUD AL QORM

Kościół maronicki nie zerwał nigdy łączności z Rzymem. Kiedyś kard. Raï zażartował: „Zawsze będziemy z papieżem. Nawet jeżeli papież będzie nas prowadził do piekła, to my z nim pójdziemy, mając nadzieją, że przed piekłem odbije do nieba".

Gdy w drugiej połowie pierwszego tysiąclecia n.e. doszło do prześladowań ze strony muzułmanów, maronici uciekli w góry. Budowali tam na nowo swoje życie. W Rzymie myślano już, że ta piękna wspólnota została unicestwiona przez wyznawców islamu, tymczasem odizolowani maronici, nie znając

eprasa.pl dc2966a19e

imienia aktualnego papieża, w kanonie Mszy św. używali następującej formuły: „[…] w jedności z papieżem, który teraz jest w Rzymie…”. Dopiero w XI w. krzyżowcy odkryli, że wspólnota maronicka przetrwała!

Chyba niezbyt często zdarza się, że zakonnik do końca życia zachowuje się wobec innych braci jak w czasie nowicjatu, gdy oczekiwano od niego maksymalnej pokory?

To prawda. Można powiedzieć, że św. Szarbel był wiecznym klerykiem. Duch posłuszeństwa i uniżenia był u niego widoczny do końca. Całe życie był ostatni i dzięki temu dziś jest – jeżeli weźmiemy pod uwagę powszechność jego kultu – pierwszy.

Patrząc na jego sposób życia i przystawiając to do naszych obecnych realiów, można by powiedzieć, że św. Szarbel był… antycelebrytą.

Ale można się też pokusić o stwierdzenie, że po śmierci stał się jednak swego rodzaju celebrytą. I to

> Smarowanie ciała chorego olejem św. Szarbela musi być połączone ze szczerą modlitwą. **Tu nie ma żadnej magii**

bardzo szybko. Święty Szarbel zmarł w 1898 r., w Wigilię Bożego Narodzenia. Najpierw pojawiła się potężna łuna światła, która wydobywała się nocami z miejsca, gdzie złożono jego ciało. To zjawisko trwało ponad miesiąc i spowodowało, że ludzie z całej okolicy, muzułmanie, druzowie i chrześcijanie, przyjeżdżali do klasztoru w Annai, by zobaczyć, co tam się dzieje.

Kolejnym cudem była krwista ciecz, która latami wypływała z ciała św. Szarbela. To zjawisko również sprawiało, że o zakonniku z Annai było bardzo głośno. W trakcie procesu beatyfikacyjnego ustalono, że z jego ciała wypłynęło w sumie ok. 100 litrów tej substancji. Ojcowie z klasztoru zbierali tę ciecz. Pojawiła się tradycja dodawania niewielkiej jej ilości do oliwy z oliwek. W ten sposób pielgrzymi przyjeżdżający do Annai mogli dostać fiolkę z olejem św. Szarbela. Wciąż jest taka możliwość, ale teraz już nie dodaje się do oliwy tej krwistej cieczy, ale błogosławi się ją relikwiami św. Szarbela. Muszę tu podkreślić jedną bardzo ważną rzecz. Niestety, niektórzy traktują olej św. Szarbela jako magię, jakiś cudowny olejek, który ma uzdrawiać na pstryknięcie palców. To tak nie działa. Smarowanie ciała chorego olejem św. Szarbela musi być połączone ze szczerą modlitwą. Tu nie ma żadnej magii. Uzdrowienia są zewnętrznym znakiem działania Wszechmogącego Boga przez wstawiennictwo św. Szarbela.

Jednak według mnie najważniejsze w kulcie św. Szarbela nie są cuda. Najważniejsze jest doprowadzenie człowieka do intymnej relacji z Jezusem Eucharystycznym. To stało bowiem w centrum życia św. Szarbela.

ŚWIADECTWO Z POLSKI

W Polsce było wiele cudów, większość dotyczyła nowotworów trzustki i jamy brzusznej. Młoda dziewczyna wyszła za mąż i po miesiącu jej brzuch znacznie się powiększył. Badania przeprowadzone w szpitalu wykazały w jamie brzusznej cystę wypełnioną czterema litrami płynu. Był to nowotwór. Lekarze chcieli wykonać operację, aby usunąć cystę. Matka dziewczyny martwiła się o życie córki i poprosiła księdza z parafii o udzielenie sakramentu namaszczenia chorych. Na zakończenie obrzędu podała księdzu olej św. Szarbela i poprosiła, aby namaścił nim ciało córki. Dziewczyna zaraz potem przewieziona została na salę operacyjną. Lekarze nie znaleźli jednak dużej cysty, tylko mały ślad po niej. Nie było również wspomnianego wcześniej płynu.

ŚWIADECTWO Z FRANCJI

U młodego Francuza zdiagnozowano guz w nodze, który okazał się nowotworem. Badania wykazały, że choroba zaatakowała kości. Groziła mu amputacja. Chłopak miał kolegę z Libanu, chrześcijanina maronitę, który na wieść o jego ciężkim stanie odwiedził go w szpitalu. Przyniósł ze sobą olej św. Szarbela.

Zaczęli modlić się razem do świętego, pocierając równocześnie chorą nogę olejem. Miało to miejsce dzień przed operacją. W nocy ból ustał i chłopak mógł poruszać nogą, która była do tej pory nieruchoma.

Następnego dnia wykonano badania, które potwierdziły, że noga jest w bardzo dobrym stanie. Dzięki interwencji św. Szarbela bez operacji i amputacji chłopak opuścił szpital. Niedługo potem pojechał do Libanu z kolegą Libańczykiem, który zawiózł go do sanktuarium w Annai, aby podziękować świętemu i złożyć osobiście świadectwo cudownego uzdrowienia za wstawiennictwem św. Szarbela.

ŚWIADECTWO Z BRAZYLII

Libańczyk z miejscowości Aqoura w Libanie wyjechał do Brazylii, gdzie ożenił się z Brazylijką. Byli małżeństwem siedem lat i nie doczekali się jeszcze potomstwa. Z inicjatywy męża zdecydowali się na wykonanie badań specjalistycznych, które wykazały, że oboje są bezpłodni.

Wiadomość ta była dla nich wielkim szokiem. Zrozpaczeni dotarli do mieszkającego w okolicy księdza maronickiego, który przekazał im specjalne słowa modlitwy do św. Szarbela w języku hiszpańskim. Modlitwę mieli odmawiać przez dziewięć dni z przesłaniem, aby byli dobrej myśli. Po dziewięciu dniach św. Szarbel ukazał się kobiecie i powiedział, że urodzi chłopca i nada mu imię Szarbel George. Kobieta zaszła w ciążę i urodziła syna, nadając mu imię Szarbel George. Rodzice byli bardzo szczęśliwi, że wreszcie doczekali się potomka, mimo że oboje byli bezpłodni.

Po trzech miesiącach od urodzenia chłopca św. Szarbel ukazał się mężczyźnie i zapowiedział, że urodzi się im drugi syn, który otrzyma imię Jezus Emanuel (w nawiązaniu do biblijnych słów „Bóg z nami”). Urodził się zdrowy chłopiec. Rodzice z dwoma synami przyjechali do Libanu, aby podziękować św. Szarbelowi za dar posiadania potomstwa, mimo że oboje byli bezpłodni, i zostawić w klasztorze całą dokumentację medyczną.

eprasa.pl dc2966a19e

Ale jednak cuda dokonane za wstawiennictwem św. Szarbela siłą rzeczy przykuwają uwagę wiernych. W swoich książkach opisuje ksiądz wiele takich niewytłumaczalnych z punktu widzenia medycyny zdarzeń. Które z nich najbardziej poruszyło księdza?

Dla mnie najbardziej niesamowity jest cud z „górnej półki", czyli ożywienie dziecka w łonie matki. Ten cud zdarzył się całkiem niedawno w Libanie. Lekarz stwierdził, że dziecko, które miało niedługo przyjść na świat, jest martwe. Następnego dnia miała się odbyć operacja wyjęcia zwłok – to był dziewiąty miesiąc ciąży. Lekarz powiedział ojcu, żeby przyniósł małą trumienkę... Gdy przekazał on tę tragiczną informację swoim bliskim, kobiety z jego rodziny całą noc modliły się do św. Szarbela. Na drugi dzień okazało się, że to dziecko żyje...

Ksiądz profesor Waldemar Chrostowski zapytany został kiedyś, dlaczego św. Szarbel stał się tak znany na świecie. Odpowiedział krótko: „Bo jest skuteczny". Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego, ale wiadomo też, że informacje o wielu takich niezwykłych interwencjach nie dotarły do Libanu do o. Louisa Matara. Ten zakonnik odpowiada za weryfikację cudów. Stawia on trzy warunki, które trzeba spełnić, by cud został uznany za potwierdzony. Pierwszy: dokumentacja medyczna potwierdzająca tragiczny stan zdrowia. Drugi: deklaracja, że dana osoba wzywała wstawiennictwa tego świętego, np. poprzez użycie oleju św. Szarbela, czy też odmówiła nowennę do niego. Trzeci: dokumentacja potwierdzająca pełne wyzdrowienie. I nie mówimy tu o poprawie stanu zdrowia, lecz o całkowitym uzdrowieniu z danego schorzenia. Bo tak działa św. Szarbel. Ojciec Matar na oficjalnej stronie internetowej sanktuarium w Annai praktycznie każdego dnia umieszcza informacje o kolejnym spektakularnym ozdrowieniu. W mojej książce „Światowe cuda Świętego Szarbela" o. Matar opowiada o kilkunastu najciekawszych cudach.

Dlaczego św. Szarbel tak wyspecjalizował się w cudach medycznych?

Ja bym to ujął inaczej: św. Szarbel przede wszystkim wyspecjalizował się w przypominaniu współczesnemu człowiekowi, że istnieje świat nadprzyrodzony, który przekracza nasz rozum. Wyrazem tego są cuda, zresztą nie tylko związane z medycyną. Wiadomo przecież, że św. Szarbel nierzadko pomaga biednym Libańczykom w zapewnianiu bytu ich rodzinom.

Jednym z najbardziej znanych cudów dokonanych za wstawiennictwem św. Szarbela jest uzdrowienie Libanki Nouhad Al-Chami, która miała niedrożne tętnice szyjne i lekarze rozkłada-

ŚWIADECTWO Z SUDANU

Muzułmanin sunnita pochodzący z Sudanu mieszkał w Bejrucie od 17 lat i pracował jako dozorca w jednym z budynków przy ul. Hamra. Osobą zarządzającą tym kompleksem budynków był Libańczyk Fares Deeb, chrześcijanin maronita, który pochodził z miejscowości położonej na południu Libanu.

Sudańczyk Mohamed Saleh Saddic zachorował i udał się na badania do amerykańskiego szpitala w Bejrucie. Przeprowadzone badania wykazały nowotwór wątroby. Wszystkie żyły biegnące do wątroby również były objęte zmianami nowotworowymi. Właściciele budynków lubili swojego pracownika i zaoferowali mu pomoc w podjęciu leczenia. Po wielu konsultacjach z lekarzami specjalistami w Libanie, a także za granicą diagnoza była jednoznaczna – nie ma szans na wyleczenie i uratowanie życia mężczyzny. Jedyną podjętą formą terapii było podawanie co pięć dni leków przeciwbólowych w formie kroplówek.

Po jakimś czasie leki te także przestały działać i skuteczna była już tylko morfina. Szef mężczyzny wiedział, że pozostały dwie drogi: albo czekanie na rychłą śmierć, albo wizyta u św. Szarbela. Maronita zabrał pracownika do sanktuarium św. Szarbela, o którym Sudańczyk nigdy wcześniej nie słyszał.

Skierowali się najpierw do Kościoła pw. św. Marona. Sudańczyk wedle wskazówek swojego szefa podał wodę święconą na czoło i pierś. Przy grobie przez ponad pół godziny prosił św. Szarbela o wszystko, czego teraz najbardziej pragnie, a więc powrót do zdrowia. Libańczyk dodał, że ten święty nie patrzy na wyznanie – pomaga zarówno chrześcijanom, jak i muzułmanom. Otrzymanymi w sanktuarium olejami chory posmarował twarz i piersi, a przy wyjściu zabrał trochę ziemi z grobu świętego.

Libańczyk prosił go dalej, aby w domu zagotował wodę z ziemią i wypił ją tak jak herbatę. Kiedy wsiadali do samochodu, Sudańczyk poczuł nagłe uczucie głodu. Poszli do restauracji rybnej, w której chory zjadł bardzo obfity posiłek. Nie czuł jednak, jak było to do tej pory, zawrotów głowy ani nie miał torsji. W ciągu następnych pięciu dni jadł normalnie, nie odczuwając bólu ani innych związanych z chorobą dolegliwości. Jego sytuacja zdrowotna zmieniła się całkowicie.

Udał się do amerykańskiego szpitala w Bejrucie na oddział onkologiczny. Pracownica oddziału wykonała potrzebne badania, które tym razem nie potwierdziły obecności nowotworu. Zapytała Libańczyka, co zrobił, że jego pracownik ozdrowiał. Ten odpowiedział, że zabrał go do św. Szarbela, i pokazał kobiecie krótki film w telefonie o cudach świętego. Kobieta była zaskoczona, a jednocześnie nie kryła wzruszenia. Zebrała całą dokumentację medyczną pacjenta, którą przedstawili w klasztorze w Annai. Sudańczyk do tej pory często odwiedza sanktuarium, dziękując św. Szarbelowi za cud uzdrowienia.

ŚWIADECTWO Z AUSTRII

Kobieta, żona Libańczyka, piastująca ważne stanowisko w administracji rządowej, zachorowała na nowotwór. Przeszła leczenie, ale rak nie ustąpił i czekała ją kolejna seria zabiegów. Mąż wierzył, że jedyna nadzieja jest w św. Szarbelu. Przywiózł z sanktuarium świętego z Libanu trzy fiolki oleju i prosił żonę, aby modliła się do św. Szarbela. Mimo że jako ewangeliczka nie uznawała istnienia świętych i Matki Bożej, spełniła wolę męża.

Cierpienie spowodowało, że modliła się gorąco do św. Szarbela i piła olej. Miała rozpocząć się druga tura leczenia, którą poprzedziły badania. Okazało się, że rak zniknął. Lekarze przedłużyli jednak leczenie jeszcze o tydzień. Ponowne badania wykazały, że kobieta jest zdrowa i nie potrzebuje operacji ani dalszego leczenia. Mąż zabrał ją do Libanu, aby podziękować za cudowny dar uzdrowienia.

eprasa.pl dc2966a19e



Klasztor maronicki we wsi Annaja

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAWEŁ SAAD

li w tej sprawie bezradnie ręce. A jednak pewnej nocy „ktoś" wykonał operację, która udrożniła jej tętnice...

W roku 1993, bo wtedy doszło do tego zdarzenia, media były już mocno rozwinięte i dziennikarze nie dawali tej kobiecie spokoju. W związku z tym podjęła ona wraz z mężem decyzję o przeprowadzce, co było jednak bardzo trudne z uwagi na wielkość jej rodziny. Jednak nie doszło do zmiany miejsca zamieszkania, bo – jak Nouhad Al-Chami sama mówiła – św. Szarbel ukazał się jej i powiedział, żeby została tam, gdzie mieszka. Święty poprosił ją dodatkowo, by co miesiąc odbywała pielgrzymkę do klasztoru. A na pamiątkę jej cudownego uzdrowienia w każdy piątek miesiąca i każdego 22. dnia miesiąca te dwie blizny krwawiły (ta pani zmarła niedawno).

Ojczyzna św. Szarbela krwawi od dekad, targana kolejnymi konfliktami. A jednak wciąż, mimo dużego zagrożenia, do sanktuarium w Annai jeżdżą pielgrzymi z całego świata.

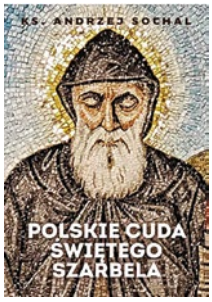
W spokojniejszych czasach, jeżeli nie ma tam wojny tak jak teraz, sanktuarium św. Szarbela odwiedza rocznie ok. 5 mln ludzi, czyli mniej więcej tyle, ilu mieszkańców liczy sobie Liban.

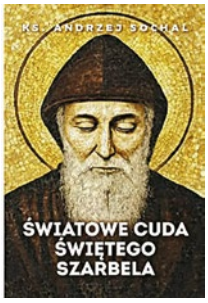
W grudniu zeszłego roku grób św. Szarbela odwiedził Leon XIV. Ta wizyta miała bardzo konkretne przesłanie

W grudniu zeszłego roku grób św. Szarbela odwiedził Leon XIV. Ta wizyta miała bardzo konkretne przesłanie: jeżeli chcemy uratować świat, to na wzór św. Szarbela chrześcijanie muszą się stać ludźmi Eucharystii. Leon XIV podkreślał wtedy w swoim przemówieniu, że Duch Święty tak ukształtował św. Szarbela, by tych, którzy żyją bez Boga, nauczył modlitwy, tych, którzy żyją w hałasie, nauczył ciszy, tych, którzy żyją dla pozorów, nauczył skromności, a tych, którzy żyją dla bogactwa, nauczył ubóstwa. To są rzeczy przeciwne dzisiejszemu światu, ale – jak podkreślał papież – są potrzebne człowiekowi jak łyk wody na pustyni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przytoczone świadectwa pochodzą z książki „Światowe cuda Świętego Szarbela" ks. Andrzeja Sochala i zostały opowiedziane Kazimierzowi Gajowemu przez o. Louisa Matara, który dokumentuje przypadki cudownego uzdrowienia za wstawiennictwem tego libańskiego świętego.







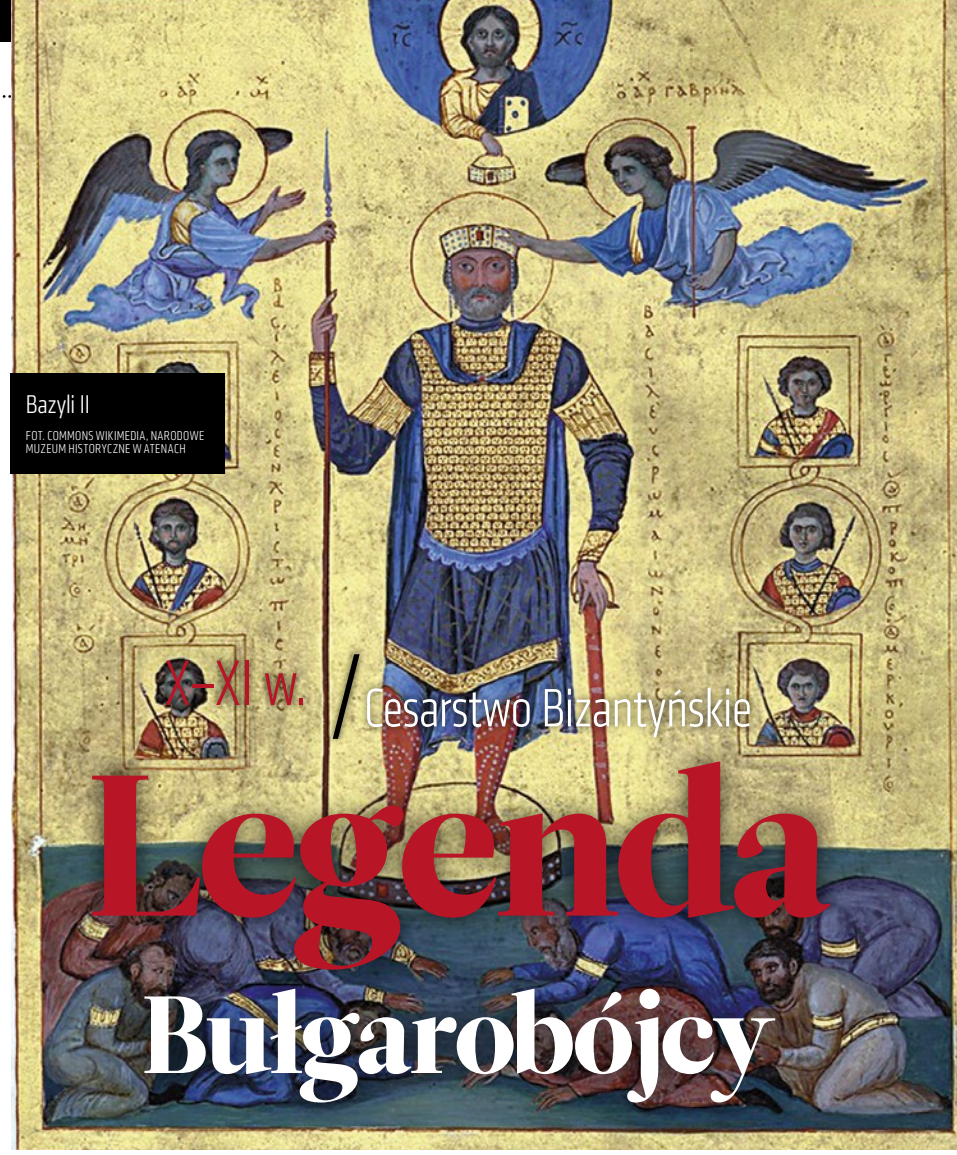
Ksiądz Andrzej Sochal jest autorem książek „Polskie cuda Świętego Szarbela" i „Światowe cuda Świętego Szarbela".

eprasa.pl dc2966a19e



Anna Szczepańska

Bazyli II uważany jest za jednego z największych władców w dziejach Bizancjum. Surowy, zdyscyplinowany cesarz żołnierz, który zasłynął tym, że wszystkie wojenne trudy dzielił ze swoim wojskiem



Bazyli II

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NARODOWE MUZEUM HISTORYCZNE W ATENACH

X–XI w. / Cesarstwo Bizantyńskie

Legenda Bułgarobójcy

Klidion, czyli klucz. Kto kontrolował tę ciasną, duszną dolinę między stromymi górami Bełasica i Ograżden, ten trzymał w rękach bramę do serca Bułgarii. Dobrze wiedział o tym bizantyński cesarz Bazyli II, który od kilku lat próbował ostatecznie podporządkować sobie ten kraj.

Nie mniej hardy i opierający się Bizancjum car bułgarski Samuel Komitopul doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne jest to miejsce. W tym wąskim wąwozie zbudował prawdziwą fortecę: wały z drewna i kamienia, palisady i rowy. Wszystko po to, by odeprzeć powtarzające się ataki Bizantyńczyków. Samuel liczył na to, że przy kolejnej próbie wdarcia się do centrum Bułgarii bizantyńskie wojska rozbiją się o Klidion jak o skałę.

W połowie 1014 r. Bazyli II poprowadził kolejną wyprawę na Bułgarię. Gdy dotarł do wrogich umocnień, nie dał się zaskoczyć. Od razu obmyślił odpowiednią strategię. Nie bez podziwu pisał o tym kilka lat później kronikarz Jan Skylitzes:

„Cesarz nadal co roku bez przerwy najeżdżał Bułgarię, niszcząc wszystko, co wpadło mu w ręce. Samuel nie mógł nic zrobić na otwartym terenie ani przeciwstawić się cesarzowi w otwartej bitwie. Był rozbity na wszystkich frontach, a jego własne siły malały, więc zdecydował zamknąć drogę do Bułgarii rowami i płotami. Wiedział, że cesarz zawsze miał zwyczaj przychodzić drogą zwaną Kiava Longos i Kleidion, więc postanowił zablokować tę przełęcz i w ten sposób uniemożliwić cesarzowi wejście. Zbudował bardzo szerokie umocnienie, rozmieścił tam odpowiednią straż i czekał na cesarza, który przybył i próbował się przebić siłą. Ale obrońcy bułgarscy dzielnie stawiali opór, zabijając napastników i raniąc ich, atakując ich z góry.

[Bazyli] już porzucił próbę przejścia, gdy Nicefor Ksifias, wówczas dowódca Filipopolis, porozumiał się z cesarzem. [Uzgodniono, że Bazyli] będzie dokonywał ataków na linię wroga, podczas gdy Ksifias sprawdzi, czy nie zdoła zrobić czegoś korzystnego [...]. Poprowadził zatem [Ksifias] swoich ludzi z powrotem drogą, którą przyszli. Następnie, wędrując wokół bardzo wysokiej góry, która leży na południe od Kleidionu i którą nazywa się Valasitza, przechodząc ścieżkami kozimi i przez bezdroża, 29 lipca, dwunastego roku indykcji [1014 r.], nagle pojawił się nad Bułgarami i spadł na ich tyły z wielkimi okrzykami i grzmotem stóp. Zupełnie zaskoczeni niespodziewanym charakterem tego ataku Bułgarzy odwrócili się i uciekli [...], wielu padło, a jeszcze więcej wzięto do niewoli. Samuel ledwie zdołał ujść niebezpieczeństwu dzięki pomocy własnego syna, który dzielnie opierał się napastnikom [...]".

Manewr Ksifiasa przyniósł oszałamiający efekt. Gdy cesarz wciąż frontalnie uderzał na Bułgarów, nagle za ich plecami wyrośli bizantyńscy piechurzy. Obrona poszła w rozsypkę, uciekał także sam car.

Po bitwie Bizantyńczycy ścigali przeciwnika, aż tysiące żołnierzy dostało się do niewoli. Bazyli kazał oślepić wszystkich jeńców i tylko co setnemu zostawić jedno oko. Z perspektywy wieków

eprasa.pl dc2966a19e



Porażka Bułgarów pod Kleidion. Z kroniki Jana Skylitzesa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MADRID SKYLITZES

czyn ten uznać można za barbarzyński i niegodny chrześcijańskiego władcy, lecz w tamtym czasie uchodził on za wyraz miłosierdzia wobec wroga. Cesarz mógł bowiem rozkazać, aby wszystkich wziętych do niewoli Bułgarów zabić, nawet w tak hańbiący dla nich sposób jak poprzez wbicie na pal. Oślepienie było oczywiście karą, ale dla ówczesnych ludzi był to raczej symbol: oślepieni, kalecy wrogowie nie mieli już moralnego prawa przeciwstawiać się bizantyńskiemu cesarzowi. Wiedział o tym car Samuel, który na widok swej „armii ślepców" z poczucia bezsilności dostał ataku serca.

W związku z tymi wydarzeniami po latach do Bazylego II przylgnęło miano Boulgaroktónos – Bułgarobójcy. Kiedy pod koniec XII w. wybuchło kolejne powstanie bułgarskie, jego postać przypomniał dziejopis Niketas Choniates. Potrzebował on legendy Bazylego, aby przeciwstawić ją bezsilności kolejnych władców bizantyńskich, którzy nie potrafili sobie poradzić z kolejnym buntem Bułgarów. Bazyli II od tamtej pory traktowany jest jako symbol surowego, choć sprawiedliwego władcy, przykład wielkiego dowódcy wojskowego.

Jego początki nie były jednak łatwe. Młodość przeżył na dworze pełnym dworskich intryg, plotek i skandali. Pewnie dlatego z tak wielką niechęcią podchodził do arystokracji.

Gry dworskie

Przyszły cesarz Bazyli II przyszedł na świat w roku 958 jako dziecko urodzone w purpurze (porfirogennetos), czyli prawowity syn panującego basileusa. Bazyli był synem Romana II i jego żony Teofano, pochodzącej z nizin społecznych. Został koronowany na współcesarza już w wieku pięciu lat. Była to praktyka powszechna w Bizancjum, mająca zabezpieczyć tron (a czasem i pozycję matki dziecka) na wypadek śmierci władcy. Koronacja odbyła się w tym przypadku w samą porę, gdyż Roman zmarł trzy lata później (jak plotkowano, w wyniku otrucia przez żonę).

Po śmierci Romana II w 963 r. cesarzem został dowódca wojskowy Nicefor Fokas, który po koronacji pojął za żonę cesarzową wdowę i otoczył opieką jej małoletnich synów – Bazylego i Konstantyna. Nicefor Fokas był zdolnym dowódcą, ale miernym administratorem. Nie cieszył się też popularnością na dworze. Po kilku latach Teofano postanowiła pozbyć się go, knując spisek z siostrzeńcem męża, a zarazem innym wojskowym, Janem Tzimiskesem. Ten osobiście zabił śpiącego Nicefora, wpuszczony do cesarskiej sypialni przez Teofano. Nazajutrz rano, 11 grudnia 969 r., sam ogłosił się cesarzem. Jego pierwszą decyzją było pozbycie się skompromitowanej, oskarżanej o mężobójstwo cesarzowej, którą skazał na zesłanie.

Jan nie pozbył się jednak jej dzieci, wiedząc, że państwo potrzebuje uporządkowanej sukcesji, a obaj synowie Teofano byli przecież „rodzeni w purpurze". Jan zmarł (najprawdopodobniej) z powodów naturalnych 10 stycznia 976 r., a na cesarza koronowany został Bazyli II, któremu pola ustąpił jego brat Konstantyn. Choć władza należała mu się w tym samym stopniu, to zrezygnował on ze swych praw, oddając tron bratu. „Podczas gdy Bazyli, starszy z nich, zawsze sprawiał wrażenie bystrego, inteligentnego i rozważnego, jego brat był apatyczny, wiódł leniwe życie i oddawał się życiu w luksusie. Naturalne było zatem, że porzucili ideę diarchii. Za obopólną zgodą cała realna władza przypadła Bazylemu […]. Jest coś godnego podziwu w tym, że Konstantyn zrzekł się przy tej okazji większości swoich przywilejów, ponieważ mógł dzielić dziedzictwo ojca na równych prawach z bratem" – pisał historyk Michał Psellos.

Bazyli od pierwszych chwil na tronie mierzył się z licznymi problemami, m.in. z niezadowoleniem poddanych, którzy obawiali się wrogów zewnętrznych i nie chcieli niedoświadczonego młodzieńca. Bazyli znosił to z trudem, lecz wciąż miał w sobie pewną ufność i nadzieję na poprawę pozycji na dworze. Wkrótce to wszystko runęło.



Moneta Jana I Tzimiskesa, obok niego Matka Boska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLASSICAL NUMISMATIC GROUP

Żołnierz i cesarz

„Dla wielu spośród nam współczesnych, którzy widzieli cesarza Bazylego, wydawał się on szorstki i surowy w obejściu, skory do gniewu i niełatwo zmieniający zdanie, umiarkowany w jedzeniu i piciu, w ogóle daleki od jakiejkolwiek miękkości. Lecz jeśli mam wierzyć historykom z tamtego okresu, którzy o nim pisali, nie był taki na początku panowania. Zmiana w jego charakterze nastąpiła po wstąpieniu na tron […]. To presja wydarzeń spowodowała

eprasa.pl dc2966a19e



Śmierć bułgarskiego cara Samuela I Komitopula wśród jego oślepionych żołnierzy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KRONIKA MANASSESA

tę całkowitą zmianę w jego życiu. Jego charakter, że tak powiem, zesztywniał. Słabość ustąpiła miejsca sile, a dawne rozleniwienie zniknęło wobec nowej stałości celu […]. Całkowita zmiana jego stylu życia nastąpiła wraz z próbami rewolucji osławionego [Bardasa] Sklerosa i [Bardasa] Fokasa" – pisał Psellos.

Wstępując na tron w wieku 18 lat, Bazyli już wykazywał się niemałą roztropnością, ale jednak był bardzo młody i czuł, że brakuje mu doświadczenia. Dlatego w większości spraw szukał rady wysokiego ministra w randze parakoimomenosa, Bazylego Lekapena (był on nieślubnym synem cesarza Romana I; w dzieciństwie uczyniono go eunuchem, aby nie mógł pretendować do tronu). Ten sojusz trwał dość krótko, gdyż Bazylemu Lekapenowi zarzucono sprzyjanie rebelii wszczętej przez Bardasa Fokasa. Wkrótce wybuchł kolejny bunt, na czele którego stanął Fokas. Walki trwały wiele lat. Doświadczeni dowódcy wojskowi sądzili, że zdołają pokonać niedoświadczonego bazyleusa i sami sięgną po cesarską koronę, lecz Bazyli już na początku swej kariery wykazał się ponadprzeciętnymi zdolnościami przywódczymi.

„Bazyli osobiście brał udział w tych operacjach z armią rzymską. Dopiero zaczynał zapuszczać brodę i uczył się sztuki wojennej. Nawet jego brat Konstantyn stanął obok niego w szeregu, uzbrojony w napierśnik i długą włócznię […]. Podczas gdy Fokas tak śmiało nacierał na niego, Bazyli również wyruszył na czele swojej armii. Zajął pozycję z mieczem w dłoni. W lewej ręce ściskał wizerunek Matki Zbawiciela, uważając tę ikonę za najpewniejszą ochronę przed straszliwym atakiem przeciwnika" – pisał Psellos.

Obydwa bunty zostały krwawo stłumione, a ostatecznie zawiedziony swym otoczeniem Bazyli – jak konstatował Psellos – „postanowił, że nie będzie miał żadnego zausznika, z którym mógłby się dzielić swymi myślami, ani doradcy w kierowaniu sprawami publicznymi […]. Całkowita zmiana charakteru cesarza nastąpiła właśnie od tego czasu. Choć cieszył się ze śmierci wroga, nie mniej smucił go opłakany stan własnego cesarstwa, w rezultacie czego stał się podejrzliwy wobec wszystkich, [stał się] człowiekiem wyniosłym i skrytym, porywczym i wściekłym na tych, którzy nie spełniali jego życzeń".

Wojna przeciwko własnym dowódcom „usztywniła" jego charakter i wykształciła nawyki, które towarzyszyły mu przez resztę życia. Bazyli poświęcił się walce, wojsku i swoim żołnierzom. Jadł to, co oni, spał na takich samych posłaniach. Stronił od zbytku i specjalnego traktowania, dzieląc ze zwykłymi żołnierzami trudy wojny. „Podczas wyprawy przeciwko barbarzyńcom Bazyli nie postępował zgodnie ze zwyczajem innych cesarzy, wyruszając w środku wiosny i wracając do domu pod koniec lata. Dla niego powrót następował wtedy, gdy zadanie zostało wykonane. Z równą obojętnością znosił surowość zimy i letni upał. Dyscyplinował się, by stłumić pragnienie. W istocie wszystkie jego naturalne pragnienia były pod ścisłą kontrolą" – pisał Psellos.

To jednak powodowało, że wśród arystokracji ten władca nie cieszył się popularnością. Był szorstki, nieufny, gardził luksusem i ucztami, które lubił w młodzieńczych latach, zanim wstąpił na tron (według Psellosa „jego szyja była pozbawiona kołnierzy, a głowa diademów. Nie chciał się wyróżniać w purpurowych płaszczach. Odrzucił zbędne pierścienie, a nawet różnokolorowe szaty").

Bazylego odrzucały pogoń za dobrami, zdobywanie urzędów. Bez skrupułów ściągał z arystokratów podatki, kładąc jednocześnie kres ich wpływom na rządy w cesarstwie. „Cesarz wydał prawo, które powstrzymywało możnych od powiększania swoich ziem przez skupianie wiosek. Podobnie czynił jego poprzednik i dziad Konstantyn Porfirogeneta, a także teść tegoż, Roman" – pisał Jan Skylitzes.

Na nic zdały się próby omijania praw narzuconych przez Bazylego. Po buntach Bardasów nie miał wobec elit i możnych, nawet najbardziej zasłużonych rodów, żadnych skrupułów. Jego ambicją



Triumfujący Bazyli II na Forum Konstantyna

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl dc2966a19e

stało się wyłącznie „całkowite oczyszczenie cesarstwa ze wszystkich barbarzyńców, którzy nas otaczają i oblegają nasze granice, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie" – podsumowywał Psellos.

Wojna z Bułgarią

Pod koniec lat 80. X w. Bazyli zawarł sojusz z wielkim księciem kijowskim, Włodzimierzem I Wielkim. W zamian za pomoc Rusinów w walkach u boku cesarza Bazylego Włodzimierz zażądał ręki jego siostry, Anny. Początkowo cesarz nie chciał się na to zgodzić, lecz ostatecznie uległ, pod warunkiem że Włodzimierz przyjmie chrzest. Książę wahał się, ale przyjął warunki. Ślub z Anną odbył się na Krymie w 989 r. Ruś znalazła się odtąd w kręgu chrześcijaństwa wschodniego, a wojska Włodzimierza Wielkiego nieraz stawały u boku armii Bazylego, pomagając mu m.in. w tłumieniu buntów na peryferiach cesarstwa, które za jego panowania osiągnęło zresztą imponujące rozmiary.



Bazyli II (z lewej) i Konstantyn VIII

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Bazyli II zasłynął przede wszystkim z wojen z Bułgarią. Konflikt bizantyńsko-bułgarski trwał już kilka dekad. Bazyli był kolejnym władcą, który próbował uporać się z podnoszonymi co rusz przez Bułgarów buntami (choć formalnie było to samodzielne państwo, gdzie rządzili carowie, to bizantyńscy władcy rościli sobie prawa do kontroli nad ich sprawami wewnętrznymi i polityką zagraniczną).

Początkowo nie odnosił sukcesów w walkach z Bułgarami. Sytuacja zmieniła się ok. roku 1000. Wojska bizantyńskie zajęły wówczas Wielki Presław i Pliskę, a potem oblegały Widyń, który w końcu padł po długim oporze. W odpowiedzi na ataki Bazylego na ziemie bizantyńskie weszły siły bułgarskie, które prowadził car Samuel Komitopul. Bułgarzy najechali Trację i doszli aż do Adrianopola, po czym wycofali się, zdobywając liczne łupy.

Nie trzeba było długo czekać na bizantyńską odpowiedź na tę zuchwałość. Bazyli przejął inicjatywę. Bułgarzy zostali zmuszeni do obrony swoich terytoriów przed coraz bardziej agresywnymi atakami Bizantyńczyków; do 1004 r. stracili niemal połowę swojego terytorium. Walki toczyły się wiele lat, do potyczek dochodziło coraz częściej i były one coraz bardziej zażarte. W końcu w 1014 r. Bazyli był gotowy zadać Bułgarom ostateczny, jak sądził, cios.

Samuel przeczuwał kolejny bizantyński atak. Drogę, którą wojska bizantyńskie najczęściej wlewały się na teren Bułgarii, zamienił w fortecę. Klidion miało być miejscem, które zatrzyma siły Bazylego. Nie udało się. Dzięki sprytnemu, choć znanemu dobrze z historii fortelowi wojska bizantyńskie zaatakowały Bułgarów od tyłu. Ci, zmuszeni bronić się z dwóch stron, wpadli w popłoch. Jak już wiemy, po bitwie Bazyli kazał oślepić niemal wszystkich bułgarskich jeńców i odesłał ich Samuelowi. Kiedy w październiku 1014 r. okaleczona armia dotarła do Prespy, siedziby cara, ten na jej widok doznał ataku serca i zmarł dwa dni później. Władzę objął jego syn, Gabriel Radomir, który pod Klidion wyciągnął ojca z opresji.

Bazyli II tymczasem kontynuował działania wojenne w Bułgarii, zajmując zamki i potężną twierdzę Melnik. Wojna trwała wiele miesięcy – dopóty, dopóki Bułgaria ostatecznie się nie poddała. Później Bazyli podporządkował sobie Serbię, a Cesarstwo Bizantyńskie sięgnęło Dunaju. Ci, którzy poddawali się cesarzowi dobrowolnie, mogli liczyć na dobre traktowanie: otrzymywali tytuły dworskie, stopnie wojskowe oraz nadania.

W kolejnych latach Bazyli Bułgarobójca prowadził kampanię przeciwko resztkom kaganatu chazarskiego, co skutkowało zajęciem południowej części Krymu w roku 1016. Później walczył z Gruzją, której część zajął w 1022 r.

Bazyli Bułgarobójca zmarł 15 grudnia 1025 r., kiedy szykował się do kolejnej kampanii wojennej, tym razem na Sycylii. W chwili jego śmierci Cesarstwo Bizantyńskie rozciągało się od południowych Włoch po Kaukaz i od Dunaju po Lewant. Zamieszkiwało je ok. 12 mln ludzi.

Pochowano go, zgodnie z jego życzeniem, w Kościele św. Jana Teologa w dzielnicy Hebdomon pod murami Konstantynopola. Epitafium umieszczone na jego nagrobku głosiło: „Od dnia, w którym Król Niebios wezwał mnie do bycia cesarzem, wielkim władcą świata, nikt nie widział, jak moja włócznia leży bezczynnie. Przez całe życie byłem czujny i chroniłem dzieci Nowego Rzymu, dzielnie walczące zarówno na Zachodzie, jak i na wysuniętych placówkach Wschodu. O człowieku, widząc teraz mój grób tutaj, wynagrodź mnie za moje kampanie swoimi modlitwami".

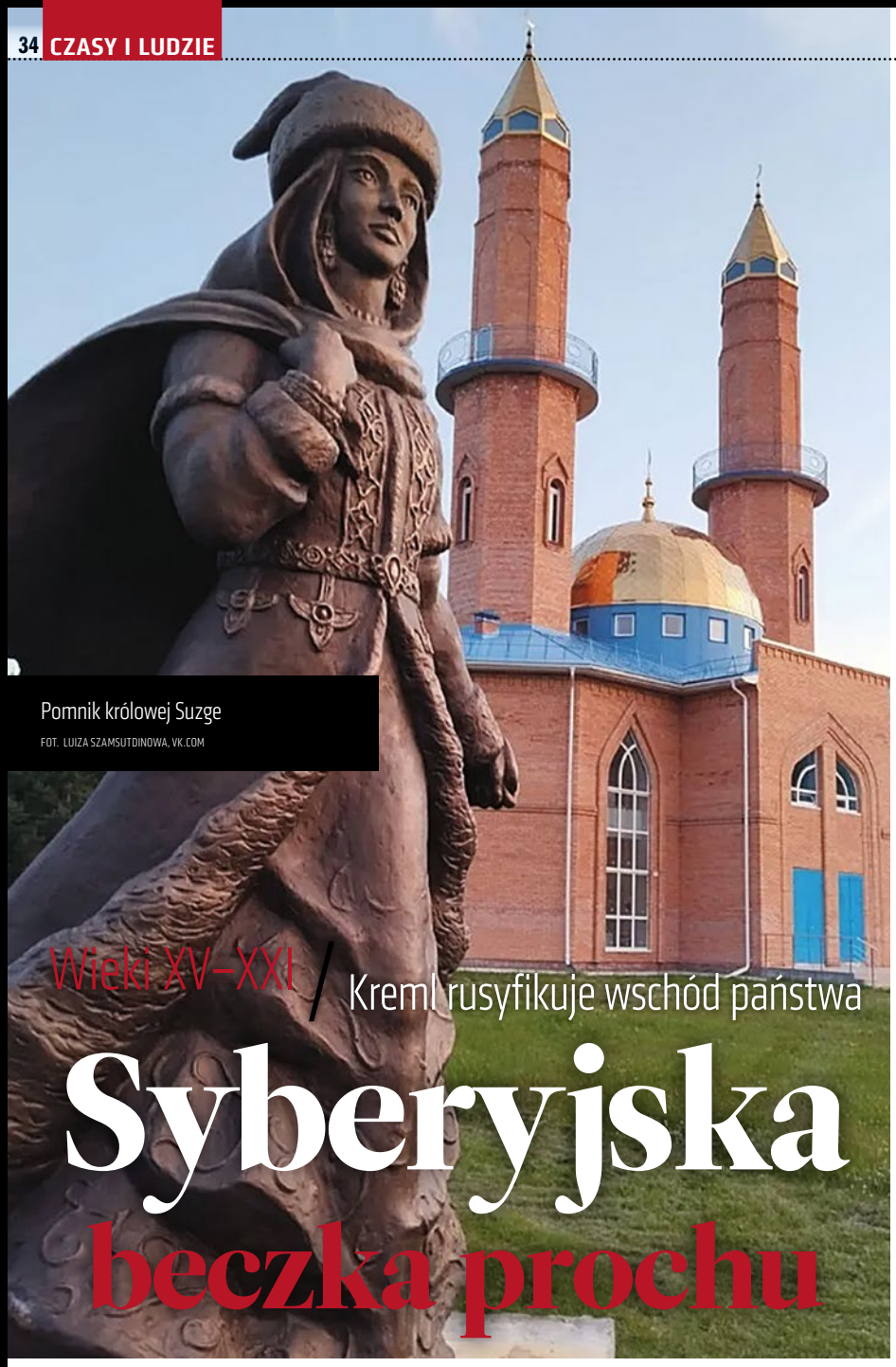
Bazyli II panował nad Bizancjum pół wieku. Był to jeden z najciekawszych i najbardziej znaczących epizodów w ponadtysiącletniej historii cesarstwa nad Bosforem. Bazyli nie zostawił potomka. Tron przejął po nim jego brat, Konstantyn VIII.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Choniates N., ***„Historia"***; *Psellos M.*, ***„Kronika, czyli historia jednego stulecia Bizancjum (976–1077)"***; *Skylitzes J.*, ***„A Synopsis of Byzantine History (811–1057)".***

eprasa.pl dc2966a19e



Pomnik królowej Suzge

FOT. LUIZA SZAMSUTDINOWA, VK.COM

Wieki XV–XXI / Kreml rusyfikuje wschód państwa

Syberyjska beczka prochu



Mikołaj Iwanow

Kreml zaostrza kurs wobec mniejszości zamieszkujących Syberię. Putinowska Rosja boi się, że narodowe sentymenty, wciąż żywe wśród tamtejszych mniejszości, mogą doprowadzić do rozerwania państwa

Podbita przez Rosję prawie 500 lat temu Syberia ma potencjał, by stać się najbogatszym regionem świata, ale jednocześnie jest ona bardzo słabo zaludniona. Spośród 140 mln mieszkańców dzisiejszej Federacji Rosyjskiej za Uralem mieszka mniej więcej 37 mln ludzi, co stanowi ok. 25 proc. całkowitej populacji tego państwa. Ten region jest bogaty zarówno w najrozmaitsze cenne surowce, jak i w „kapitał ludzki" – potomków wielu pokoleń zesłańców, katorżników i innych przeciwników rosyjskiego („białego" i „czerwonego") imperium.

Powierzchnia Syberii wynosi ok. 13,5 mln km kw. Na tak olbrzymim terytorium można byłoby umieścić co najmniej 40 państw wielkości Polski. Ten region świata rozciąga się na długości 7500 km z zachodu na wschód i 3500 km z północy na południe.

Według opinii niektórych naukowców podbój Syberii, który trwał aż do początków XX w., oznaczał dla historii Rosji mniej więcej to samo, co podbój Nowego Świata dla dziejów Europy. Różnica polega jednak na tym, że nie powstał żaden nowy naród „syberyjski", lecz naród rosyjski po prostu poszerzył swoją przestrzeń życiową.

Podbój Syberii przez państwo moskiewskie rozpoczął się pod koniec XV stulecia. W 1483 r., na rozkaz Iwana III, wojska rosyjskie rozpoczęły wielką wyprawę na Syberię Zachodnią. Jednak dopiero w 1555 r. Jediger, władca Chanatu Syberyjskiego, ogłosił się wasalem cara Rosji. Jediger i jego brat Bekbułat zaczęli w związku z tym płacić daninę Iwanowi Groźnemu.

W 1581 r. oddział kozacki liczący ok. 800 ludzi pod dowództwem atamana Jermaka rozpoczął wyprawę w celu ostatecznego podporządkowania Syberii. Co ciekawe, prawie połowę żołnierzy Jermaka stanowili jeńcy polscy i litewscy, którzy trafili do niewoli w czasie wojny polsko-rosyjskiej i wyrazili zgodę na uczestniczenie w wyprawie na wschód. W 1582 r. oddział Jermaka zdobył stolicę Chanatu Syberyjskiego – miasto Isker – ale dopiero w 1598 r. książę Kolcow-Mosalski ostatecznie pokonał wojska kolejnego syberyjskiego chana Kuczuma.

eprasa.pl dc2966a19e



Wasilij Surikow, „Kozacy pod wodzą Jermaka zdobywają Syberię"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM ROSYJSKIE W PETERSBURGU

Podbój Syberii był ze strony Rosji wojną kolonialną, charakteryzującą się okrutnym traktowaniem rdzennej ludności. Zamordowano wówczas tysiące tubylców próbujących stawiać opór przybyszom z zachodu. Liczba rdzennej ludności Syberii zmniejszyła się również z powodu rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych przyniesionych przez wojska rosyjskie. Szczególnie wielkie żniwo śmierć zebrała za sprawą ospy, która po raz pierwszy dotarła do zachodniej Syberii w 1630 r. W latach 50. XVII w. epidemia zabiła do 80 proc. populacji Tungusów i Jakutów. W latach 90. XVII stulecia epidemie ospy zmniejszyły populację Jukagirów o ok. 44 proc. Natomiast po ciężkich walkach z wojskami rosyjskimi liczba Koriaków do połowy XVIII w. spadła o połowę w porównaniu z początkiem stulecia.

W wyniku wypraw zbrojnych prowadzonych nad Amurem w latach 40. XVII w. lewy brzeg tej wielkiej rzeki został praktycznie całkowicie wyludniony. Miejscowi Daurowie masowo migrowali do Mandżurii. Czukcze wykazali się szczególną determinacją w obronie swoich ziem, stawiając do końca zacięty opór. Ostatnie walki na Czukotce ustały dopiero na początku... XX stulecia.

Dziś skład etniczny ludności Syberii to istna mozaika. Rosjanie stanowią mniej więcej 74 proc. populacji i są większością w praktycznie wszystkich regionach Syberii (z wyjątkiem Tuwy, która stała się częścią ZSRS dopiero w 1944 r.). Jedynie trzy rdzenne narody przekraczają liczbę 100 tys. osób – Jakuci, Buriaci i Tuwińcy (łącznie jest ich ok. 1,2 mln). Oprócz nich na Syberii mieszkają też Ukraińcy (do 3 mln), Białorusini (1 mln), przedstawiciele niemal wszystkich narodowości byłego Związku Sowieckiego, a także Polacy. Co ciekawe, Żydzi mają tu swój obwód autonomiczny ze stolicą w Birobidżanie, ale stanowią w nim mniej niż 1 proc. populacji.

Problemy Dziedzictwa

Setki lat rosyjskiego prześladowania rdzennej ludności Syberii, dławienie w zarodku każdej próby obrony swej tożsamości, języka i kultury nie doprowadziły jednak do całkowitej asymilacji tubylców, nie przerwały ich dążenia do wolności. Świadczy o tym pewne niezwykłe wydarzenie w życiu jednej z mniejszości – Tatarów syberyjskich, zamieszkałych głównie na Syberii Zachodniej.

Tatarska organizacja Dziedzictwo zamówiła na własny koszt pomnik królowej Suzge Chanum, która stanowi dla tej społeczności symbol walki o niepodległość przeciwko rosyjskim najeźdźcom.

Królowa Suzge była córką kazachskiego chana Szigaja. Według legendy Suzge była ukochaną żoną potężnego i sławnego władcy Chanatu Syberyjskiego, Kuczuma. „Tylko gwiazda poranna Szolpan może dorównać jej pięknu", „W całej Syberii nie ma nikogo piękniejszego niż Suzge Chanum" – tak opisywały ją wiersze i legendy. Dla swojej ukochanej młodej żony Kuczum zbudował miasteczko Isker w pobliżu ówczesnej stolicy Chanatu Syberyjskiego, z liczną służbą i strażą. Miejscowi nazywali je Suzge-tura (dziś w tej okolicy leży miasto Tobolsk). Według legendy w każdy piątek chan Kuczum odwiedzał ukochaną żonę, przywożąc jej drogie orientalne stroje, biżuterię i słodycze. Podczas inwazji atamana Jermaka jego wojsko oblegało Suzge-turę przez kilka tygodni. Legenda głosi, że podczas zdobywania miasta Suzge popełniła samobójstwo, dźgając się sztyletem podarowanym jej przez Kuczuma, ponieważ nie zamierzała poddać się zdobywcom.

Wykonaną z brązu, ważącą tonę i mierzącą prawie trzy metry wysokości rzeźbę królowej ustawiono na prywatnej posesji we wsi niedaleko Tobolska. W krótkim czasie stała się ona sporą atrakcją turystyczną i miejscem „pielgrzymek" Tatarów.

Tatarzy syberyjscy od lat domagali się od miejscowych władz pozwolenia na wzniesienie pomnika królowej Suzge. Planowano również zbudować wokół niego kompleks historyczno-pomnikowy upamiętniający historię i kulturę Tatarów oraz innych rdzennych

eprasa.pl dc2966a19e



Kuczum, ostatni władca Chanatu Syberyjskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RUSNEB.RU

mieszkańców zachodniej Syberii. Proponowano też władzom organizowanie festiwali upamiętniających historyczne i kulturowe dziedzictwo Tatarów syberyjskich oraz rdzennej ludności Eurazji.

Centrum historyczno-pomnikowe Isker otwarto wreszcie w roku 2008. Znajdują się w nim meczet, muzeum historii i życia codziennego Tatarów syberyjskich, herbaciarnia oraz mauzoleum z grobami ważnych przedstawicieli tatarskiej elity. Do 2022 r. rosyjskie władze pozytywnie odnosiły się do działalności tego centrum. Czasem nawet wydarzenia kulturalne organizowane przez Tatarów były szeroko opisywane w lokalnych mediach.

Miejscowi urzędnicy początkowo aktywnie popierali tę politykę, uznając ją za linię polityczną Kremla. Sam Putin nieraz twierdził, że „siła Rosji tkwi w jej wielonarodowym społeczeństwie, a zatem zainteresowanie kulturą, tradycjami i językiem narodowym jest kamieniem węgielnym potęgi naszego państwa". Prawdopodobnie dlatego pozwolono na wzniesienie pomnika królowej Suzge. Co więcej, postawiono go w ramach rządowego programu rozwoju sztuki monumentalnej. Jednak wraz z wybuchem wojny na Ukrainie sytuacja zasadniczo się zmieniła. Widmo rozpadu kraju w wyniku samobójczej polityki Kremla zmusiło lokalne władze na Syberii do zaprzestania popierania lokalnych inicjatyw, które podkreślały różnice narodowościowe.

Niespodziewanie latem ubiegłego roku pomnik królowej zniknął. Jak się okazało, został on po prostu skradziony. Co istotne, przestępstwa tego dokonano przy pełnym wsparciu władz lokalnych. Świadkiem zdarzenia była Luiza Szamsutdinowa, przewodnicząca opiekującej się rzeźbą tatarskiej organizacji Dziedzictwo. Sześćdziesięciojednolatka spisała numery rejestracyjne samochodów złodziei i wezwała policję. Funkcjonariusze bardzo szybko zatrzymali podejrzanych, ale po konsultacji z przełożonymi jeszcze tego samego dnia ich wypuścili.

Do wniosku o ściganie sprawców zuchwałej kradzieży Szamsutdinowa załączyła zdjęcia pojazdów użytych do wywiezienia pomnika królowej. Jednak w ciągu trzech miesięcy nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Nadal nie było wiadomo, co się stało z pomnikiem. W sprawie szybko doszło jednak do zwrotu – prokuratura oskarżyła... samą Szamsutdinową, zarzucając jej nielegalne wzniesienie pomnika i znieważenie uczuć narodowych Rosjan. Oskarżono ją również o zniesławienie głównego zdobywcy Syberii, kozackiego atamana Jermaka, który znany jest z nieludzkiego traktowania miejscowej ludności.

Skonfiskowana rzeźba

Na wniosek prokuratury sąd uznał Szamsutdinową winną wzniecenia nastrojów nacjonalistycznych. Ukarano ją grzywną w wysokości 17,5 tys. rubli. Zgodnie z wyrokiem sądu „odnaleziona" rzeźba królowej Suzge, wykonana w całości ze środków prywatnych, została skonfiskowana i przekazana państwu. Walkę o prawdę Tatarzy syberyjscy kontynuowali w sądzie apelacyjnym, argumentując, że rzeźba nie została zainstalowana na stałe, lecz była jedynie czasowo przechowywana na wynajętej działce. Szamsutdinowa złożyła również pozew przeciwko administracji rejonu tobolskiego, zarzucając urzędnikom bezprawne przejęcie rzeźby królowej i stanowczo domagając się jej zwrotu. Szefowa Dziedzictwa odwołała się również od zarzutu zniesławienia Jermaka. Wszystko na nic.



Żółtym kolorem zaznaczono okręg Sibier. Na mapie zaznaczono miasto Sibier (Kaszłyk). Obecnie nazywa się ono Isker

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAPA MERKATORA Z 1595 R., BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU NAUKI I TECHNOLOGII W HONGKONGU

W czasie procesu Szamsutdinowa udzieliła wywiadu jednemu z niezależnych portali internetowych, przekonując: „W moich publikacjach nie ma żadnych nawoływań do przemocy, nienawiści ani dyskryminacji poszczególnych narodowości, ani też nawoływań do uwłaczania czyjejkolwiek godności... Brak jest też przesłanek świadczących o jakimkolwiek podżeganiu do nienawiści, o fałszowaniu procesu włączenia Syberii do państwa rosyjskiego. Jeżeli zaś chodzi o pomnik królowej Suzge, to uważamy, że sam fakt wzniesienia takiego pomnika średniowiecznej postaci historycznej nie stanowi podżegania do nienawiści. Kwestia, czy zachowano wszystkie procedury związane z jego montażem, nie ma znaczenia dla przepisów antyekstremistycznych".

Równocześnie 126 aktywistów ruchu Tatarów syberyjskich zwróciło się do Władimira Putina z prośbą o obronę pomnika królowej Suzge. „Uczczenie pamięci i szacunku dla naszych przodków, pielęgnowanie pamięci historycznej – czytamy w petycji – to jedyne, co



Flaga Tatarów syberyjskich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARATAA

eprasa.pl dc2966a19e



motywuje nas w realizacji tego ważnego przedsięwzięcia. Królowa syberyjska Suzge, wielka kobieta w historii naszego regionu, zasługuje na uwiecznienie na terenie Kompleksu Historyczno-Pomnikowego »Isker«. Jej wkładu w rozwój i w ochronę ojczyzny nie da się przecenić. Suzge była zarówno wybitną władczynią, jak i symbolem silnej kobiety, która broniła interesów swojego ludu w trudnych czasach. Przez wiele lat jej wkład w dziedzictwo kulturowe naszego regionu pozostawał w cieniu. Nadszedł czas, aby naprawić to niesprawiedliwe zaniedbanie". Nadawcy nie doczekali się odpowiedzi na swoje pismo.

Stanowisko władz w sprawie pomnika królowej Suzge określił wyraźnie Kirył Kabanow, członek Rady Praw Człowieka przy Prezydencie Federacji Rosyjskiej. Według niego był to przejaw „separatyzmu" na Syberii. „Ci ludzie – argumentował Kabanow – chcą przedstawiać wrogów Rusi, Imperium Rosyjskiego czy Związku Sowieckiego jako bohaterów narodowych, a wszystko to pokazywane jest przez pryzmat walki narodowowyzwoleńczej". Według Kabanowa „proces ten jest najbardziej widoczny w historii narodów tureckich i ich relacji z Rosją". Jego zdaniem wszystko, co się dzieje wokół pomnika królowej Suzge, jest „oczywistym sabotażem ideologicznym", „celowym fałszerstwem historii", „historycznym ekstremizmem, od którego rozpoczął się proces rozpadu Związku Sowieckiego".

„Antyrosyjski separatyzm wkrada się do odległej, lecz drogiej nam Syberii. Ten separatyzm jest podsycany z zagranicy. Celem strategicznym jest stworzenie warunków dla przyszłego odłączenia Syberii od Rosji. Nie pozwolimy na to!" – napisał prokremlowski politolog Siergiej Markow na swojej stronie internetowej Logika Markowa.

Jaśniej nie da się przedstawić tego podejścia. W czasie wojny na Ukrainie władze bardzo ostro reagują na każde, nawet najbardziej niewinne przejawy regionalnych nacjonalizmów, dopatrując się w nich realnego zagrożenia dla jedności państwa. Wolą „dmuchać na zimne", aby w zarodku zdławić każdy przejaw lokalnego patriotyzmu, a jednocześnie nie szczędzą wysiłków w celu podkreślenia „historycznej jedności" narodów dzisiejszej Federacji Rosyjskiej.

A jak to wygląda w przypadku samych etnicznych Rosjan? W 2025 r. na głównym placu Wołogdy odsłonięto pomnik Iwana Groźnego. Rzeźba przedstawiająca tego najokrutniejszego z carów rosyjskich, który rzekomo dbał pieczołowicie o jedność kraju, pojawiła się również w centrum Astrachania. Pomniki Stalina i Dzierżyńskiego, jako prywatne inicjatywy, powstały w wielu miastach rosyjskich. W centrum Kazania trwa natomiast budowa cerkwi-pomnika ku czci żołnierzy rosyjskich poległych podczas zdobywania Kazania w 1552 r. Te gesty pokazują, jak wygląda podejście do historii w dzisiejszej Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Chór Tatarek syberyjskich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JAIMERIMUMMI

eprasa.pl dc2966a19e



Demonstrujący robotnicy na ul. Armii Czerwonej (dziś: Święty Marcin)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IPN

Zemsta komunistów / Procesy po Czerwcu '56

Nieudolna pokazówa sądowa



Piotr Semka

Władze postanowiły surowo ukarać uczestników antykomunistycznych zajść. Procesy pokazowe okazały się jednak kompletną „klapą" i ośmieszyły aparat państwowy

Dziś nie potrafimy sobie wyobrazić, jak wielkim szokiem dla komunistów był w czerwcu 1956 r. wybuch, do którego doszło wśród robotników z Poznania. Po pierwsze, zryw ten zdemaskował kłamstwo władzy o robotniczym charakterze nowego państwa. Po drugie, w trakcie zajść demonstranci z bronią w ręku zaatakowali ośrodki komunistycznej władzy. Po trzecie wreszcie, rewolta poznańska pokazała, że kruszącego się monolitu polskiego stalinizmu nie da się niczym zaklajstrować.

Odpowiedzią władz PRL najpierw była furia, a potem brutalna zemsta. Komuniści kazali strzelać do ludzi, potem nadeszła fala aresztowań i wreszcie władze wzięły się do przygotowywania procesów pokazowych, które miały udowodnić, że rewolta była inspirowana przez obce siły.

Liczbę demonstrujących ocenia się na 100 tys. osób, przeciwko którym rzucono 10 tys. żołnierzy i 400 czołgów. Według najnowszych ustaleń Instytutu Pamięci Narodowej w trakcie tłumienia protestów zginęło co najmniej 58 osób (ujęci są w tej liczbie również ranni, którzy zmarli potem w następstwie odniesionych obrażeń). O skali reakcji władz na bunt świadczą proporcje wśród osób, które poniosły śmierć. Zginęło aż 50 cywilów, a po drugiej stronie tylko czterech żołnierzy, jeden milicjant i trzech funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki. Co najmniej 239 osób zostało rannych.

Prokuratorski kij

Tylko dzięki zachowanym archiwom UB wiemy, jak szeroka była skala rozmaitych wystąpień solidarnościowych z Poznaniem na terenie całej Polski. Biuletyny Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, sporządzone dla członków elity władzy PRL, uwieczniły liczne takie wydarzenia. Przykładowo: w nieodległym od Poznania Kościanie wykryto napis: „Poznań 28 VI 1956 – Niech żyje rewolucja". Raport z 16 lipca 1956 r. informował, że na terenie jednej z kopalni w ówczesnym Stalinogrodzie ktoś wykonał napis o treści: „Powtórzymy wam Poznań".

Z kolei notatka z 19 lipca 1956 r. powiadamiała, że Komitet Miejski w Ostrowie Wielkopolskim otrzymał anonim, którego autor pisał, iż w imieniu robotników Zakładów Naprawczych Taboru Ko-

eprasa.pl dc2966a19e

lejowego solidaryzuje się z uczestnikami zajść w Poznaniu. Tuż obok znajdziemy informację z 19 lipca z Bytomia o aresztowaniu pracownika Kopalni „Łagiewniki". Pod wpływem wypadków poznańskich miał on rozpocząć w Domu Młodego Górnika akcję werbunkową do organizacji, która miała podjąć walkę przy użyciu broni palnej.

Na adres KW PZPR w Bydgoszczy wpłynął natomiast list, którego autor w imieniu pracowników Zakładów Naprawy Taboru Kolejowego zapowiadał wywołanie rozruchów na wzór Poznania. Ulotki deklarujące solidarność z ofiarami Czerwca '56 rozklejono w Pilchowie koło Rozwadowa.

Wszystkie te sygnały wywoływały nastrój paniki w ekipie skupionej wokół nowego I sekretarza KC PZPR, Edwarda Ochaba. Niepewność wśród ówczesnych czerwonych władców Polski wzmagały szybkie procesy liberalizacyjne w Moskwie, gdzie Nikita Chruszczow rozpoczął destalinizację. Twardogłowi z PZPR czuli się tym bardziej zagubieni, że od śmierci Bolesława Bieruta w marcu 1956 r. nie widać było żadnej silnej osobowości, która mogłaby umocnić autorytet partii. Frakcja twardogłowych, zwanych potocznie Natolinem, skupiała kilku dogmatyków, jak choćby Franciszka Mazura czy Hilarego Chełchowskiego, ale nie były to postacie na tyle wyraziste, by zatrzymać narastający w partii nawrót kultu Władysława Gomułki odsuniętego od władzy osiem lat wcześniej pod zarzutem odchylenia nacjonalistycznego.

A jednak mimo wyraźnego osłabienia staliniści postanowili wykorzystać rewoltę poznańską do przeprowadzenia serii procesów pokazowych. Mieli zresztą w tej kwestii wprawę. W latach 50. odbyły się liczne takie spektakle, np. proces działaczy PPS WRN w listopadzie 1948 r., który miał zastraszyć polskich socjalistów przed planowaną przymusową unifikacją z PPR. Kolejne dwa głośne procesy wymierzone były w tych oficerów przybyłych z Zachodu, którzy naiwnie uznali, że mogą się przydać w powojennej Polsce. Taki charakter miał słynny proces TUN, w którym na ławie oskarżonych zasiadło trzech wyższych dowódców: gen. Stanisław Tatar, płk Marian Utnik i płk Stanisław Nowicki. Również dużo wysiłku włożono w inny proces przeciwko czterem generałom: Stanisławowi Tatarowi, Jerzemu Kirchmayerowi, Stefanowi Mossorowi, Franciszkowi Hermanowi i wreszcie płk. Marianowi Utnikowi.

Wszystkie te procesy w myśl stalinowskiej logiki miały udowadniać tzw. prostemu obywatelowi, że jeżeli coś w realnym socjalizmie nie działa, to nie może to być skutek błędnych decyzji partii, lecz musi to być efekt akcji opłacanych przez Zachód dywersantów lub prowokatorów. W logice marksizmu robotnicy nie mogli występować przeciwko partii, która reprezentowała ich interesy najlepiej, jak to możliwe. Pokazowy charakter procesów miał z jednej strony przekonać mieszkańców PRL, że państwo w pełni kontroluje sytuację i potrafi „wbić w ziemię" swoich wrogów, a z drugiej pokazać, że wszelkie konflikty to jedynie efekt dywersji z zewnątrz.



Pogrzeb zabitego robotnika
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wróg na celowniku

Wstępną selekcję kandydatów do procesów pokazowych śledczy przeprowadzali już w trakcie pierwszych przesłuchań i podczas ustalania przebiegu wydarzeń. Prokuratorzy otrzymali rozkaz udowodnienia przyjętej przez PZPR tezy wyrażonej najostrzej w słynnym radiowym przemówieniu premiera Józefa Cyrankiewicza.

Według niej tzw. wydarzenia czerwcowe były efektem prowokacji przygotowanej i przeprowadzonej przez wywiady USA i RFN. Już w czasie przesłuchań, podczas których stosowano bicie, maltretowanie i tortury, prowadzący śledztwo wywierali nacisk na swoje ofiary, sugerując im, że dręczenie się skończy, jeśli przyznają się do swoich kontaktów czy to z zachodnim wywiadem, czy też z krajowym „reakcyjnym" podziemiem. Paradoksalnie ci, którzy byli najbrutalniej bici podczas śledztwa, a niekiedy nawet trwale okaleczeni, zostali potem wyłączani z listy „kandydatów" na oskarżonych w procesach pokazowych, gdyż trudno było ich pokazać publicznie w sądzie.

Śledczy bardzo szybko zorientowali się, że brak było dowodów na jakiekolwiek wcześniejsze powiązania między ludźmi złapanymi w trakcie ataków na ośrodki władzy. Dotyczyło to również tych, którym udowodniono używanie broni przeciwko siłom pacyfikacyjnym. Aż 80 proc. zatrzymanych stanowili robotnicy, co już było nieprzyjemnym zaskoczeniem dla kierujących się ideologicznymi dogmatami oficerów

eprasa.pl dc2966a19e

śledczych. Naciski z Warszawy zmusiły tych funkcjonariuszy reżimu do karkołomnego budowania opowieści o rzekomych sprzysiężeniach i wyznaczania kandydatów na organizatorów prowokacji. Przez pewien czas władze wahały się jeszcze, czy bardziej podkreślać „zagraniczne" podglebie rewolty czy też raczej pójść w kierunku udowadniania chuligańskiego i kryminalnego charakteru zajść.

Ostatecznie zdecydowano się na zorganizowanie trzech procesów pokazowych. W literaturze na temat represji po czerwcu 1956 r. noszą one umowne nazwy: „proces trzech", „proces dziewięciu" i wreszcie tzw. „proces Kulasa i innych", nazywany też niekiedy „procesem dziesięciu".

O tym, jak trudno było sklecić teorie o agenturalnym charakterze działań podsądnych, świadczy fakt, że kilkukrotnie przesuwano terminy rozpraw. W wywiadzie prasowym z 22 września 1956 r. prokurator generalny Marian Rybicki jednoznacznie stwierdził, że śledztwo w pełni wykazało winę podejrzanych i „dowody są niezbite". Ale nawet w środowisku prokuratorskim istniało już poczucie, że zmiany polityczne są nieuchronne i lepiej nie angażować się w taką pokazową szopkę. Efektem były problemy ze skompletowaniem zespołu oskarżycieli. Nagle doszło bowiem do istnej „epidemii" wśród śledczych – kolejni wyznaczani prokuratorzy przynosili zwolnienia lekarskie udowadniające, że nie są w stanie występować w procesie.

W rezultacie Rybicki musiał sięgnąć po najbardziej tępych (ale też najbardziej posłusznych) prokuratorów, co jednak miało swoje konsekwencje. Wybrani oskarżyciele byli niedouczeni, mało inteligentni i dawali się przyłapywać na oczywistych brakach wiedzy jurystycznej. To znacznie ułatwiło zadanie zespołowi adwokackiemu, który bronił zastraszanych oskarżonych.

Należeli do niego m.in. mecenasi Stanisław Hejmowski, Michał Grzegorzewicz, Gerard Kujanek, Witold Trojanowski i Seweryn Szelejak. Wszyscy oni obrony podjęli się albo bezpłatnie, albo za niewielkie, wręcz symboliczne wynagrodzenie. Aby ułatwić pracę niezbyt rozgarniętym prokuratorom, obrońcom dano na przejrzenie akt i zbudowanie linii obrony jedynie siedem dni. Pokazuje to, jaką fikcją był wymiar sprawiedliwości w stalinowskiej Polsce. Jednak adwokaci byli pewni siebie, co szybko dało o sobie znać podczas pierwszych starć na sali sądowej.


GŁOS PRACY

ORGAN CENTRALNEJ RADY ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

ROK VI Nr 232 (1764) WARSZAWA, SOBOTA-NIEDZIELA — 29-30 WRZEŚNIA 1956 ROKU B Cena 20 gr

Rozpoczęły się procesy w Poznaniu

przeciwko oskarżonym o morderstwa i rozbój

„Głos Pracy" z 29–30 września 1956 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

27 września 1956 r. w Poznaniu ruszyły dwa procesy – „trzech" i „dziewięciu". Tydzień później rozpoczął się trzeci proces. Władze próbowały jeszcze zastraszyć obrońców, ale te działania okazały się całkowicie nieskuteczne. Na dodatek obrońców bardzo ośmielała obecność korespondentów zagranicznych z państw zachodnich, którzy byli akredytowani w Polsce. Nienadążające za zmianą politycznych nastrojów władze Ministerstwa Sprawiedliwości zgodziły się początkowo na udział korespondentów w rozprawach, ponieważ były przekonane, że proces będzie przypominał perfekcyjnie zakłamane widowiska z poprzednich lat. Nie przewidzieli, że właśnie obecność dziennikarzy z Zachodu wzmocni u obrońców poczucie pewności siebie.

Pojedynek na sali sądowej

Adwokaci zaskoczyli stalinowskich prokuratorów zupełnie nową linią obrony. Odwoływali się do złych warunków ekonomicznych klasy robotniczej, do wpływu psychologii tłumu na oskarżonych, a także podkreślali ich robotnicze pochodzenie. Historyk prof. Andrzej Paczkowski, odnosząc się po latach do tego pojedynku między komunistyczną władzą a odważnymi adwokatami, wskazywał: „Niesłychanie skuteczną formą obrony było powołanie przez obrońców ekspertów od socjologii, szczególnie prof. Tadeusza Szczurkiewicza i prof. Jana


Ława oskarżonych w jednym z procesów FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl dc2966a19e

Szczepańskiego. Wyjaśniali oni, że wina indywidualna w wypadku ruchów masowych się zmniejsza, że człowiek częściowo traci odpowiedzialność za swoje czyny wobec klasycznej psychologii tłumu".

Bardzo szybko wiadomości o nieoczekiwanym dla władz rozwoju wydarzeń na sali sądowej przedostały się do Poznaniaków i podawane z ust do ust uskrzydlały przeciwników systemu. Procesom chciały się przysłuchiwać tłumy i władze zaczęły się obawiać ewentualnych ponownych wystąpień ludności. Miejscowe organy musiały więc przygotować specjalny plan zabezpieczenia budynku sądu przed ewentualną próbą odbicia oskarżonych. Aby ograniczyć do minimum ryzyko realizacji takiego scenariusza, między sądem a więzieniem przy ul. Młyńskiej wykuto w ekspresowym tempie specjalne przejście, które pozwoliło uniknąć przewożenia oskarżonych samochodami.

Wysiłek obrońców oraz szybko zmieniająca się atmosfera społeczna uratowały grupę oskarżonych przed wyrokami śmierci lub długoletnim więzieniem. Procesy poznańskie zakończyły się stosunkowo łagodnymi jak na tamte czasy wyrokami. Obrońcom udało się wywalczyć lżejszą kwalifikację wielu zarzucanych czynów. Po 1956 r. zarządzono rewizję w części spraw i doszło do uniewinnień oraz dalszego złagodzenia werdyktów.

Legenda o odważnych mecenasach była wtedy elementem oddolnej tradycji poznańskiej. Najwięcej takich wspomnień dotyczy mecenasa Stanisława Hejmowskiego (1900–1969), obrońcy jeszcze z przedwojenną praktyką, który wykazał się największą odwagą przed sądem. Adwokaci stali się rozpoznawalni i nierzadko przechodnie zatrzymywali ich na ulicach i gratulowali im. Jeden z taksówkarzy, któremu zdarzyło się przewozić mecenasa Hejmowskiego, gdy ten chciał płacić, odparł z uśmiechem: „Pan już za wszystko nam zapłacił".

Zemsta po latach

Władze, a dokładnie aparat bezpieki, nie zapomniały jednak mecenasowi Hejmowskiemu jego niezłomnej postawy w trakcie procesów poznańskich. Uderzenie przyszło sześć lat później i było charakterystycznym elementem ówczesnej „rekonkwisty" wpływów starych stalinowskich działaczy, którzy przystąpili do wyrównywania rachunków z krótkiego okresu, kiedy to oni musieli się bać. W 1961 r. rozpoczęto przesłuchiwanie większości dotychczasowych klientów mecenasa Hejmowskiego w poszukiwaniu jakichkolwiek niedociągnięć mogących przyczynić się do zanegowania jego dobrej reputacji. To „szukanie haków" na Hejmowskiego znalazło puentę w postaci decyzji ministra sprawiedliwości Mariana Rybickiego o zawieszeniu jego prawa do wykonywania zawodu adwokata. Rybicki po odzyskaniu wpływów mścił się w ten sposób po latach za zniweczenie pieczołowicie zaplanowanych przez niego procesów pokazowych uczestników Czerwca '56.



Mural upamiętniający Poznański Czerwiec 1956 przy ul. Górna Wilda w Poznaniu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SKELANARD

O tym, że operacja była przygotowana na najwyższym szczeblu, świadczy to, że wraz z zawieszeniem Hejmowskiego ruszyła nagonka na niego na łamach poznańskich gazet. Publikowano oskarżenia, że zawyżał on opłaty adwokackie, i twierdzono, że przyjmował łapówki. Kolejnym etapem esbeckiej zemsty była operacja wydziału finansowego Miejskiej Rady Narodowej, który wymierzył adwokatowi domiar podatkowy i grzywnę w wysokości 400 tys. zł. Była to suma, która całkowicie zrujnowała adwokata. Dodatkowo jeszcze zadbano, aby nie miał on możliwości uczenia aplikantów i nie mógł uczestniczyć w egzaminach adwokackich. Zawieszenie w czynnościach adwokata wygasło wprawdzie 29 maja 1963 r., ale te dwa lata szykan doprowadziły do całkowitego zniszczenia odważnego mecenasa. Hejmowski nigdy już nie powrócił do czynnej pracy adwokackiej, zresztą reputacja człowieka na celowniku władz komunistycznych w naturalny sposób odstręczała klientów. W środowisku poznańskiej adwokatury przetrwała pamięć o wypowiedzi jednego z klientów adwokata, który z brutalną szczerością tłumaczył wycofanie pełnomocnictwa: „Ja chcę w sądzie wygrać, a nie zostać ukaranym za to, że to akurat panu dałem swoją sprawę".

Swoją rolę w skłóceniu Hejmowskiego z jego kolegami z Zespołu Adwokackiego nr 5 mogli też odegrać dwaj tajni współpracownicy SB działający wśród adwokatów. Znamy jedynie ich pseudonimy: Sobkowski i Janusz. Mecenas Hejmowski zaczął podupadać na zdrowiu. 15 grudnia 1967 r. odważny adwokat doznał wylewu krwi do mózgu. W związku z chorobą zmuszony był zaniechać wszelkiej pracy i w końcu zmarł w 1969 r.

Dopiero 32 lata później tej ofierze komunistycznej prowokacji zwrócono dobre imię. W 2001 r. prezydium Naczelnej Rady Adwokackiej zaliczyło Hejmowskiego pośmiertnie do osób, którym przyznano odznakę „Adwokatura Zasłużonym". W 2006 r. władze Poznania nazwały imieniem mecenasa jedną z ulic, a przed budynkiem prokuratury wojewódzkiej odsłonięto tablicę ku czci bohaterskich obrońców, którzy bronili ofiar sfingowanego procesu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e

Pierwsza wojna światowa / Wyścig zbrojeń na Adriatyku



Tonący, storpedowany pancernik „Szent István” FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Debiut żywych torped



Sławomir Koper

Chociaż monarchia austro-węgierska miała dostęp do morza na niemałym odcinku, to dzieje jej ciężkich okrętów przypominały wręcz tragikomedię. Ta historia to znakomita ilustracja tezy, że państwo typowo lądowe nie powinno bez odpowiednich doświadczeń zaczynać poważnych zbrojeń morskich

Główną bazą powstającej floty była chorwacka Pula. Gdy po wojnach napoleońskich przeszła pod panowanie Habsburgów, liczyła zaledwie tysiąc mieszkańców. To dawne antyczne miasto przypominało ruinę. Dopiero w latach 50. XIX stulecia rząd wiedeński przypomniał sobie, że należy do niego znaczna część wybrzeża adriatyckiego, a rozwijająca się flota potrzebuje portu. Wybór był niewielki, gdyż Pula leżała stosunkowo blisko centrum monarchii, co zapewniało dobrą komunikację ze stolicą, a znikoma liczba mieszkańców gwarantowała brak utrudnień podczas budowy bazy morskiej i zasiedlania jej nowym żywiołem.

Dzięki temu Pula przestała być zapomnianą wsią na krańcach imperium, stając się najważniejszym portem monarchii. Do dzisiaj można tam oglądać pozostałości cesarsko-królewskiej zabudowy miasta, a niedaleko portu zachował się budynek kasyna, gdzie przed laty bawili się oficerowie marynarki. Jakie to były zabawy, możemy się tylko domyślać, ponieważ gmach przywołuje filmowe skojarzenia („C.K. Dezerterzy”). W 1891 r. cesarz Franciszek Józef położył kamień węgielny pod budowę Kościoła pw. Madonny del Mare. Utrzymana w stylu neobizantyjskim budowla wznosi się tuż nad morzem, przypominając, że marynarze mieli nie tylko beztrosko się bawić, lecz także musieli być gotowi oddać życie na wojnie.

Austriackie pancerniki

Cesarsko-królewscy marynarze mieli powody, by szukać pojednania z Bogiem. Na początku XX w. świat ogarnęło szaleństwo zbrojeń – Europa zmierzała do konfliktu mającego objąć cały kontynent. Austria tradycyjnie zaniedbywała flotę morską i dopiero pojawienie się drednotów (nowego rodzaju pancerników) spowodowało reakcję wiedeńskiej admiralicji. Gdy w 1909 r. do budowy podobnych okrętów przystąpiły Włochy, Austro-Węgry nie mogły pozostać w tyle. Humorystycznym elementem rywalizacji morskiej z Włochami był fakt, że od kilku lat oba państwa pozostawały w sojuszu, tworząc wraz z Niemcami blok polityczny nazywany trójprzymierzem. Sojusze sojuszami, ale praktyka życiowa bywa z reguły inna. Na Adriatyku jedynym rywalem Wiednia pozostawała Italia i o tym rząd cesarsko-królewski nigdy nie zapominał. Gdy Włosi rozpoczęli budowę sześciu drednotów, Austriacy

eprasa.pl dc2966a19e

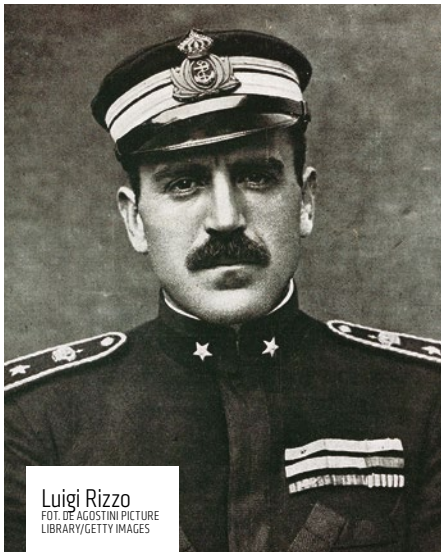


Port wojenny w Puli
FOT. MUZEUM MORSKIE W PULI

odpowiedzieli trzema pancernikami. Mając znacznie krótsze wybrzeże od rywala, uznali taką liczbę okrętów za wystarczającą.

Konstrukcja i budowa okrętów pokazały, jak bardzo Austro-Węgry nie są przystosowane do prowadzenia nowoczesnej wojny morskiej. W rządzie nie było nawet odpowiedniego ministerstwa, a jego funkcję pełniła sekcja morska przy Ministerstwie Wojny. Budowę pancerników rozpoczęto na prywatne zlecenie dowódcy floty (!), bez wiedzy rządu i jakichkolwiek gwarancji kredytowych. Gdy wreszcie w budżecie na 1911 r. uwzględniono fundusze na trzy okręty, ostro zaprotestowali Węgrzy. Jako współgospodarze państwa nie zamierzali pozostać wyłącznie dostarczycielami środków finansowych. Uznali, że stać ich na własny, wyłącznie węgierski pancernik. I podczas gdy monarchia borykała się z problemami finansowymi, Węgrzy błyskawicznie wygospodarowali fundusze na budowę okrętu („Szent István"). Zlecenie realizacji jednostki otrzymała stocznia w Rijece bez doświadczenia w tego rodzaju pracach, co w przyszłości miało przynieść fatalne skutki.

Warto przyjrzeć się bliżej kosztownemu problemowi, jaki sprawił sobie rząd cesarsko-królewski. Cztery wybudowane okręty reprezentowały jeden typ i mimo potężnego uzbrojenia (12 dział kalibru 305 mm) były nieudanymi konstrukcjami. Ze względów oszczędnościowych zaprojektowano stosunkowo niewielki kadłub, a ograniczenia te osłabiły odporność jednostek na uszkodzenia. Pancerz był znacznie słabszy niż na ówczesnych okrętach niemieckich czy brytyjskich, jeszcze gorzej przedstawiało się zabezpieczenie przeciwko eksplozjom podwodnym. I chociaż Niemcy dostarczyli sojusznikom wyniki testów wskazujące na niedopracowanie projektów, rząd austro-węgierski nie zmienił decyzji. Pancerniki podwójnej monarchii bardziej przypominały jednostki budowane dla krajów Ameryki Łacińskiej (Brazylia, Chile) niż okręty europejskie. Wygórowane ambicje przy ograniczonych funduszach zaowocowały silnym uzbrojeniem i słabą odpornością na pociski przeciwnika.



Luigi Rizzo
FOT. DE AGOSTINI PICTURE LIBRARY/GETTY IMAGES

Wojna nieudaczników

28 czerwca 1914 r. w Sarajewie zginął w zamachu arcyksiążę Franciszek Ferdynand i rozpoczęła się najkrwawsza z dotychczasowych wojen. Miesiąc później Austro-Węgry prowadziły już walki na dwóch frontach. Na północy przeciwnikiem monarchii była carska Rosja, a na Bałkanach – Serbia i Czarnogóra. Włochy – główny rywal do panowania na Adriatyku – początkowo pozostawały neutralne. Jednak dyplomacje angielska oraz francuska nie próżnowały i Włosi zgodzili się przystąpić do wojny po stronie aliantów. Italii obiecano Istrię, Triest i Dalmację wraz z wyspami. W maju 1915 r. Austriakom przybył więc jeszcze jeden przeciwnik.

Włosi okazali się fatalnymi żołnierzami. Mimo że w obiegowej opinii armia austro-węgierska uchodziła za wyjątkowo nieudolną („Przygody dobrego wojaka Szwejka" Jaroslava Haška), to Włosi zdecydowanie przewyższali przeciwnika w tej niechlubnej sztuce. Ujmujący literacki opis włoskiej klęski pod Caporetto przedstawił Ernest Hemingway w swoim „Pożegnaniu z bronią". Narracja autora jest żywa, pełna sugestywnych obrazów. Przebywając na froncie włosko-austriackim, pisarz miał okazję przyjrzeć się z bliska beznadziejnym poczynaniom generalicji włoskiej, a talent literacki umożliwił mu przekazanie sugestywnych obrazów klęski.

Zdecydowanie lepiej wiodło się jednak Włochom na Adriatyku, gdzie wraz ze sprzymierzeńcami zablokowali flotę austro-węgierską. W cieśninie Otranto między wybrzeżem włoskim a albańskim utworzono barierę złożoną z lekkich jednostek, których głównym zadaniem było niedopuszczenie do przedarcia się okrętów podwodnych na Morze Śródziemne. Większymi jednostkami nawodnymi Włosi właściwie w ogóle nie musieli się przejmować; przez cały okres wojny austriackie pancerniki odbywały niemal wyłącznie kilkugodzinne rejsy. Zaledwie dwukrotnie wyszły one w morze na dłużej niż jeden dzień! Okręty przeznaczone do ofensywy spędziły całą wojnę w porcie w Puli...

Admiralicja austriacka miała swoje zdanie na temat prowadzenia wojny morskiej. Lekkie jednostki (niszczyciele, torpedowce, okręty podwodne) wykonywały regularne rejsy, często i skutecznie walcząc z wrogiem, natomiast do wyeliminowania pancerników przeciwnika wymyślono inny sposób. Kilka miesięcy po rozpoczęciu wojny w Brindisi wyleciał w powietrze włoski okręt liniowy „Benedetto Brin". Eksplozja komór amunicyjnych spowodowała natych-

eprasa.pl dc2966a19e



Włoski kuter MAS, uzbrojony w torpedy 1917 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

miastowe zatonięcie okrętu wraz z 272 marynarzami. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że eksplozję spowodowali austriaccy sabotażyści. Nie minął rok, gdy w Tarencie doszło do kolejnej tragedii. Nocą dostrzeżono dym wydobywający się z przewodów wentylacyjnych komór amunicyjnych pancernika „Leonardo da Vinci". Błyskawicznie podjęta akcja ratunkowa nic nie dała. Po kwadransie okręt eksplodował, a pół godziny później przewrócił się do góry dnem i zatonął, pociągając za sobą 248 członków załogi. Trzeba przyznać, że austriaccy dywersanci działali niezwykle skutecznie.

Włosi nie pozostali im jednak dłużni. W nocy z 1 na 2 grudnia 1916 r. przeprowadzili śmiałą akcję przeciwko okrętom austriackim stacjonującym w Puli. Główną rolę odegrał specjalnie przygotowany do akcji kuter torpedowy. Dzięki zamontowaniu silników elektrycznych jednostka dyskretnie wpłynęła do portu, a zestaw sieci blokujących wejście pokonano w wyjątkowo oryginalny sposób: pod osłoną nocy włoski torpedowiec za pomocą żurawików opuścił na zaporę dwutonową bryłę ołowiu. Pod jej ciężarem sieci opadły o półtora metra, umożliwiając wpłynięcie kutra. Salwa torped okazała się jednak niecelna.

Rok później, nocą z 9 na 10 grudnia 1917 r., Włosi przeprowadzili kolejny atak, tym razem na port w Trieście. Do akcji wyznaczono dwa kutry torpedowe, a operacją dowodził kpt. Luigi Rizzo. Włoskie okręciki brawurowo przedarły się przez zapory portowe i odpaliły torpedy do starych pancerników obrony wybrzeża – „Budapest" i „Wien". Pociski wystrzelone w stronę pierwszego okrętu chybiły, natomiast „Wien" został trafiony i natychmiast zatonął. W ogólnym zamieszaniu oba kutry uszły cało.

W czerwcu 1918 r. włoski wywiad ustalił, że pancerniki stacjonujące w Puli przeprowadzą akcję w cieśninie Otranto. Przeciwko zespołowi austro-węgierskiemu wyszły dwa kutry torpedowe, ponownie pod dowództwem kapitana Rizza. Do spotkania doszło o godz. 3 w nocy 9 czerwca. Ścigacze przedarły się na odległość kilkuset metrów od liniowców i dwie torpedy trafiły w pancernik „Szent István". Więcej szczęścia miał jego bliźniak „Tegetthoff", ponieważ przeznaczone dla niego torpedy z niewiadomych przyczyn zatonęły 100 metrów przed jego burtą.

Mocno uszkodzony „Szent István" zawrócił do bazy. Przez dłuższy czas trwała walka o uratowanie jednostki, ale fatalne wykonanie okrętu przez stocznię w Rijece przypieczętowało jego los. Pękały nity, wypaczały się grodzie wodoszczelne, fale zalewały kolejne pomieszczenia. Dwie i pół godziny po ataku „Szent István" przewrócił się i zatonął. Zginęło 89 marynarzy. Agonia okrętu została sfilmowana i jest dostępna w Internecie.

Utrata liniowca miała znaleźć swój epilog w sądzie. Na ławie oskarżonych zasiedli konstruktor okrętu i główny inżynier floty. Zarzucono im wadliwe zaplanowanie jednostki, przez co zbyt łatwo poszła na dno. W rzeczywistości tragedię spowodowały oszczędności przy budowie, a przecież „Szent István" nie był statkiem wycieczkowym przeznaczonym do rejsów po Balatonie, lecz pancernikiem.



Raffaele Rossetti
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARINA.DIFESA.IT

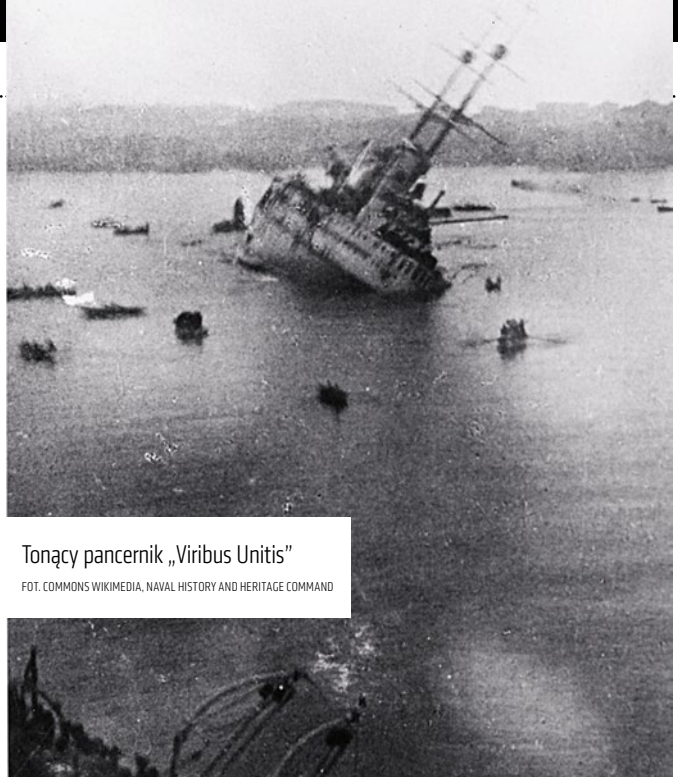
Nic zatem dziwnego, że oficerowie niemieckiej marynarki wojennej mawiali, iż Bóg upatrzył sobie flotę ich sojusznika jako cel dla włoskich ścigaczy...

Nowe formy walki

Jak powszechnie wiadomo, najwięcej wynalazków militarnych powstaje podczas wojen. Konstruktorzy pracują wówczas na najwyższych obrotach, a sytuacja często wymaga nowatorskich rozwiązań. Podobnie było w przypadku wojny na Adriatyku.

Sukces zmobilizował Włochów do ataku na pancerniki zacumowane w Puli. Nie powiodły się jednak próby z użyciem okrętów podwodnych, a lotnictwo było jeszcze zbyt słabe, by zadać decydujący cios ciężkim okrętom. Przedarcie się kutrów torpedowych również było wykluczone, ponieważ wejście do zatoki zamykały szeregi tratew z potężnych bali połączonych łańcuchami. Pod nimi wisiały stalowe sieci przeciwko okrętom podwodnym i torpedom, a na barierach umocowano sygnalizatory dźwiękowe uruchamiające się podczas próby forsowania. Akwen patrolowały okręty obrony wybrzeża, które nie żałowały pocisków w przypadku najmniejszego alarmu. W tej sytuacji dowództwo włoskie przyjęło do realizacji projekt przygotowany przez kmdr. Maria Pellegriniego. Opracował on rodzaj amfibii wyposażonej w śrubę napędową i gąsienice, której uzbrojenie stanowiły dwie torpedy. Pojazd miał zostać przywieziony w pobliże portu, po czym samodzielnie ruszyłby do ataku. Dzięki gąsienicom amfibia mogła pokonać zapory, a następnie miała wykonać atak torpedowy. Pierwszą próbę podjęto nocą z 6 na 7 maja 1918 r., wykorzystując do ataku pojazd o nazwie „Grillo". Akcję odwołano jednak z powodu uszkodzenia wyrzutni torpedowych. Tydzień później atak ponowiono, a jednostkę prowadził osobiście jej konstruktor. Napastnikom udało się dopłynąć do zapór zamykających port, po czym amfibia zaczęła je sprawnie pokonywać. Włosi zostali dostrzeżeni dopiero na czwartej barierze – oświetleni reflektorami stali się celem zmasowanego ostrzału. Mimo to „Grillo" posuwał się naprzód, a Pellegrini miał nadzieję,

eprasa.pl dc2966a19e



Tonący pancernik „Viribus Unitis”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NAVAL HISTORY AND HERITAGE COMMAND

że uda mu się przedostać na wody portu. Wkrótce jednak pociski trafiły bezpośrednio w amfibię, jednostka została zniszczona, a jej załoga trafiła do niewoli. Pancerniki austriackie miały tym razem szczęście.

Z powodu utraty „Grilla” i modernizacji zapór Włosi nie ponawiali już ataków za pomocą amfibii. Tym razem pokładali nadzieje w projekcie autorstwa oficerów Paoluccio i Rossettiego. Skonstruowali oni pojazd podwodny przy wykorzystaniu zwykłej torpedy napędzanej sprężonym powietrzem, do której boków przyspawano uchwyty umożliwiające nurkom podróż pod wodą. Torpedę opróżniono z materiału wybuchowego, a uzbrojenie pojazdu stanowiły dwie miny (po 170 kg każda) zaopatrzone w zapalniki czasowe i zaczepy magnetyczne. Pojazd nazwany „Mignatta” (pijawka) miał zasięg kilkunastu kilometrów i mógł się poruszać z prędkością 7 km/h. Atak wyznaczono na noc z 31 października na 1 listopada. Osobiście mieli go wykonać obaj konstruktorzy.

Na własne życzenie

W październiku 1918 r. monarchia austro-węgierska rozpadała się w szybkim tempie. Powstanie własnych państw ogłosili Czesi i Polacy, Słowianie południowi dążyli do zjednoczenia. W obliczu ostatecznej klęski cesarz Karol II wydał manifest, przekazując flotę adriatycką w ręce Jugosłowiańskiej Rady Narodowej. 31 października na okrętach opuszczono flagi cesarsko-królewskie i zastąpiono je symbolami państwowymi Słowian południowych. W Puli na pancerniku „Viribus Unitis” zaokrętował się nowy dowódca floty, Janko Vuković de Podkapelski. Na okrętach floty zapanowała zupełna anarchia – Słowianie południowi świętowali przejęcie jednostek i utworzenie własnego państwa. Członkowie załóg pochodzący z innych regionów monarchii szykowali się do powrotu w rodzinne strony i hucznie świętowali bliskie zakończenie wojny. Rakija lała się strumieniami...

Tymczasem „Mignatta” opuszczona na wodę przez włoski ścigacz ruszyła do ataku. Pierwszą zaporę nurkowie pokonali na powierzchni, gorzej było z następnymi. Kolejne blokady miały po kilkadziesiąt metrów szerokości i Włosi musieli przepychać swój pojazd górą. W pewnym momencie chcieli już zawrócić, ale zużyli zbyt wiele sprężonego powietrza i pozostało im tylko płynąć do przodu. Po sześciu godzinach szarpaniny weszli do portu, gdzie jako cel ataku wybrali flagowy pancernik. Umocowali ładunek wybuchowy pod okrętem, dziwiąc się odgłosom hucznej zabawy dobiegającym z pokładu. Zaraz jednak zostali odkryci. Poddali się od razu, a ich pojazd (wraz z drugą miną!) został podniesiony na pokład parowca „Wien”. Po kilkunastu minutach przekazano ich załodze pancernika. Nie przyznali się do założenia miny, a skierowani do wody nurkowie nie wykryli ładunku wybuchowego. Gdy do eksplozji pozostał tylko kwadrans, Włosi zaproponowali ewakuację okrętu. Na pijanej załodze nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia – nie zamknięto nawet grodzi wodoszczelnych. Wybuch nastąpił z pewnym opóźnieniem, a po 15 minutach pancernik przewrócił się do góry dnem, grzebiąc w swoich czeluściach 300 członków załogi. Nieszczęsny chorwacki dowódca floty do końca pozostał na pomoście flagowca i podzielił los okrętu.

W zamieszaniu nikt nie pamiętał o drugiej minie pozostawionej na pokładzie parowca. Po chwili doszło więc do kolejnej eksplozji – „Wien” natychmiast zatonął, a dwóch włoskich szturmowców ledwo uniknęło linczu. Po zakończeniu wojny wrócili do kraju, gdzie zostali przyjęci jak bohaterowie narodowi. Tak zwane żywe torpedy miały przed sobą interesującą przyszłość – podczas drugiej wojny światowej tego rodzaju broń wykorzystywali bowiem nie tylko Włosi, lecz także Anglicy.

Na dnie bazy

„Viribus Unitis” wciąż spoczywa do góry dnem 15 metrów pod powierzchnią wody w porcie wojennym w Puli. W okresie międzywojennym włoscy nurkowie (Pula należała wówczas do Królestwa Włoch) spenetrowali wrak, wydobyli na powierzchnię elementy uzbrojenia oraz dzwon okrętowy. Ponieważ były flagowiec nie stanowi zagrożenia nawigacyjnego, pozostawiono go na zawsze na dnie bazy. Wyjaśniły się również przyczyny szybkiego zatonięcia okrętu po wybuchu stosunkowo niewielkiego ładunku. Włosi umieścili minę w wyjątkowo niefortunnym miejscu. Do eksplozji doszło bezpośrednio pod zasobnią węgla, pustą podczas postoju flagowca w porcie. Podczas rejsów morskich okręt miał wypełnione bunkry na węgiel, co stanowiło ważny element obrony przeciwko podwodnym eksplozjom. W chwili projektowania pancernika nikt jednak nie przewidywał ataków żywych torped w porcie. Niezamknięcie grodzi wodoszczelnych przez pijaną i zdemoralizowaną załogę dokończyło dzieła włoskich szturmowców.

Po zawarciu traktatu pokojowego okazało się, że radość marynarzy południowosłowiańskich była przedwczesna. Okręty austro-węgierskie rozdzielono między zwycięskie mocarstwa, a flota Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców otrzymała zaledwie kilka lekkich jednostek. Zadar i port w Puli wraz z Istrią zostały zajęte przez Włochów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Generał Aleksiej Brusiłow na dworcu w Równem, październik 1915 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŃSTWOWE ARCHIWUM KINOFOTODUKUMENTÓW KRASNOGORSK

Lato 1916 r. / 110. rocznica rosyjskiego uderzenia

Gasnący impet ofensywy Brusiłowa



Grzegorz Janiszewski

W połowie 1916 r. nokautowana uderzaniami państw centralnych Rosja stała przed diabelską alternatywą. Zebrać siły do decydującej ofensywy, która mogła skończyć się totalnym załamaniem państwa, albo bronić się, wyczerpując zasoby

Rok 1916 od samego początku nie był szczęśliwy dla ententy. W styczniu trzeba było wycofać korpus ekspedycyjny spod Gallipoli. W lutym z Albanii ewakuowano resztki armii serbskiej, cofającej się od kilku miesięcy spod Belgradu. W tym samym miesiącu rozpoczęła się wielka niemiecka ofensywa pod Verdun. W maju Austriacy, wykorzystując klęski Włochów w pięciu kolejnych bitwach nad Isonzo, rozpoczęli kontrofensywę pod Asiago, wchodząc na kilkadziesiąt kilometrów w pozycje przeciwnika i grożąc okrążeniem włoskich sił. Załamanie Włoch mogło pociągnąć za sobą kapitulację Francji. A wtedy, jeszcze w tym samym roku, można się też było spodziewać upadku Rosji.

Potrzebna była natychmiastowa akcja odciążająca na froncie wschodnim. Nie było to proste zadanie. Po wielkiej letniej ofensywie państw centralnych, która w 1915 r. spod Łodzi i Krakowa ruszyła na wschód, jesienią tamtego roku linia frontu rozciągała się od Rygi, przez Baranowicze i Pińsk na Polesiu, Tarnopol i dalej grzbietem Karpat do granicy z Rumunią. Milion rosyjskich żołnierzy przebywało w niewoli, 13 proc. ludności dostało się pod władzę państw centralnych. Brakowało broni i amunicji, której nie mógł dostarczyć niewydolny rosyjski przemysł. Drogi zaopatrzenia przez Bałtyk i Morze Czarne były odcięte. Wiosną 1916 r. rosyjska ofensywa utknęła w błocie nad jeziorem Narocz, bo wiosennych roztopów nie przewidzieli nieudolni rosyjscy sztabowcy. Rosja stała przed wyborem: bronić się, wyczerpując zapasy, i czekać na zmianę sytuacji na froncie zachodnim albo resztkami sił zaatakować słabsze Austro-Węgry, których wyeliminowanie mogłoby zakończyć wojnę na wschodzie.

Mikołaj II – naczelny dowódca rosyjskiej armii – jak zwykle się wahał. Podczas narady z dowódcami frontów w kwietniu 1916 r. namawiał ich do letniej ofensywy. Pozbawiony autorytetu władca zostawił im ostateczną decyzję. Dwóch dowódców frontów opowiedziało się za pozostaniem w defensywie. Atakować chciał tylko dowodzący frontem połu-

eprasa.pl dc2966a19e

dniowo-zachodnim gen. Aleksiej Brusiłow. Naciskany przez aliantów car nakazał w końcu przeprowadzenie ofensyw na całej długości frontu wschodniego.

Od Prypeci do Karpat

Podczas pierwszej wojny światowej front wschodni nazywany był „manewrowym", ale nie do końca odpowiadało to prawdzie. Część frontu dowodzona przez Brusiłowa rozciągała się od Prypeci aż do Karpat. Po drugiej stronie cztery armie austro-węgierskie i jedna niemiecka wgryzły się głęboko w ziemię, tworząc – podobnie jak na zachodzie – wielowarstwowe systemy okopów i umocnień. Część z nich była wzmocniona betonem i stalowymi szynami, pozwalając na skuteczne ukrycie się żołnierzy podczas artyleryjskich ostrzałów. Przed pierwszą linią okopów ciągnęły się ziemno-drzewne wały, usiane stanowiskami karabinów maszynowych przykrytymi betonowymi kopułami. Były one rozmieszczone tak, żeby prowadzić amfiladowy ogień do atakujących Rosjan. Wśród zasieków z drutu kolczastego podwieszone były bomby, na atakujących czekały też ukryte fugasy i wilcze doły. Za pierwszą linią rozmieszczone były stanowiska artylerii polowej. Pozycje wydawały się nie do przełamania, podobnie jak na zachodzie.

Front stanął, austriaccy oficerowie spędzali czas na balach i polowaniach, szeregowcy do znudzenia ćwiczyli musztrę, uprawiali ogródki warzywne, a nawet siali i zbierali zboże. Szef sztabu generalnego c.k. armii, marsz. Franz Conrad von Hötzendorf, pisał, że Rosja jest „złamaną trzciną", ciągle zdolną do walki, ale nie stanowiącą już poważnego zagrożenia. Główny wysiłek miał być skupiony na walkach ze zdradzieckimi Włochami. Najlepsze austro-węgierskie oddziały i prawie cała ciężka artyleria zostały wysłane do Tyrolu. Na front rosyjski trafiały oddziały słabo wyszkolone i z kiepskim morale. Doświadczeni przedwojenni oficerowie, często potrafiący porozumieć się z podwładnymi w ich własnym języku, zostali zastąpieni szwargocącymi po niemiecku nauczycielami i urzędnikami, powołanymi z rezerwy.



Piechota rosyjska FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGE H. MEVES



Stanowisko artylerii austro-węgierskiej koło Szelwowa na Wołyniu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ÖSTERREICHISCHE NATIONALBIBLIOTHEK

Brusiłow postanowił to wykorzystać. Od dawna wyróżniał się wśród carskich generałów, w znacznej mierze miernot, zawdzięczających awanse rodzinnym i towarzyskim koneksjom. Był kawalerzystą i ryzykantem „skorym do wszelkiej awantury". Był też świetnym dowódcą. Studiował zachodnie doktryny militarne, starając się dostosować własne działania do przeciwnika, wykorzystując różnice w klimacie, geografii, a nawet w kulturze. Jego 8. Armia odegrała kluczową rolę w zdobyciu Lwowa w 1914 r. Jako jedyna nie wycofała się też jesienią 1914 r. z Karpat. Brusiłow walnie przyczynił się do upadku Twierdzy Przemyśl w marcu 1915 r., kiedy do rosyjskiej niewoli dostało się 150 tys. żołnierzy.

Brusiłow, nauczony wojennymi doświadczeniami ze wschodu i z zachodu, przygotowywał żołnierzy do zupełnie innych działań. Zamiast przełamywać front w jednym miejscu, postanowił zaatakować na całej jego długości. Miało to zapobiec przerzucaniu przez przeciwnika posiłków koleją. Żeby nie przemierzać szerokiej strefy śmierci między pozycjami, rosyjscy żołnierze przesuwali swoje pozycje coraz bliżej austro-węgierskich okopów. Często było to zaledwie kilkadziesiąt metrów. W kierunku pozycji przeciwnika kopano tunele. Podciągnięto też prawie 1,8 tys. dział polowych i 170 sztuk ciężkiej artylerii. Chociaż częściowo niwelowało to przewagę obrońców. Siły austro-węgiersko-niemieckie liczyły ok. 500 tys. żołnierzy, rosyjskie nieco więcej – ok. 600 tys. Jednak atakując dobrze przygotowane pozycje, Brusiłow powinien mieć nawet trzy razy więcej żołnierzy.

Ataki artyleryjskie miały być krótkie, ale gwałtowne, skierowane jednocześnie w wiele miejsc. Miało to zmylić przeciwnika co do prawdziwego punktu ciężkości ofensywy. Ćwiczono też współdziałanie piechoty z kawalerią i artylerią. Brusiłow na zapleczu kazał budować

eprasa.pl dc2966a19e



Rosyjska piechota atakuje, wspierana przez samochód pancerny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIGI.LANDESBIBLIOTHEK.AT, ARTUR HEYER

naturalnej wielkości atrapy umocnień austriackich, gdzie żołnierze mogli ćwiczyć ich zdobywanie. Rosyjskie pozycje były maskowane m.in. przez rozpylanie farby imitującej roślinność. Po raz pierwszy w historii cały front został dokładnie sfotografowany z powietrza. Uaktywniono agentów po drugiej stronie, prowadzono też nasłuch radiowy. Sformowano nawet specjalnie 15 batalionów płastunów – pieszych zwiadowców, którzy rozpoznawali c.k. pozycje.

Ofensywa miała uderzyć na całym froncie – od granicy rumuńskiej na południu do Styru na Wołyniu. Artyleria miała rozerwać 20 linii zasieków z drutu kolczastego. Jednocześnie ogień z dział miał wyeliminować rozpoznane stanowiska artylerii i gniazda karabinów maszynowych.

Następnie pierwsza fala żołnierzy, uzbrojona w karabiny i granaty, miała zdobyć pierwszą linię austriackich okopów, eliminując karabiny maszynowe i działa, które ocalały z ostrzału. Druga fala, idąca 200 kroków za pierwszą, miała zdobyć następną linię okopów. To tam zwykle chroniły się główne siły podczas przygotowania artyleryjskiego. Brusiłow wierzył, że po opanowaniu drugiej linii reszta obrony się rozpadnie. Trzecia fala, uzbrojona w ciężkie karabiny maszynowe, miała wykorzystać sukces, chroniąc zdobyte pozycje przed kontratakami. Czwarta, złożona z lekkiej jazdy, miała wedrzeć się na głębokie tyły, odcinając dopływ posiłków i dezorganizując logistykę i łączność. Piąta fala miała zająć ostatnią linię okopów przeciwnika.

Brusiłow zmodyfikował pierwszowojenne założenia przewidujące atak w celu przełamania frontu w jednym miejscu, przez które następnie miała wlać się masa rezerw. Chciał zaatakować jednocześnie w czterech takich punktach, po jednym dla każdej armii jego frontu. Głównym celem ofensywy było zdobycie Łucka i Kowla z ich węzłami kolejowymi. Generał zostawił jednak dowódcom swoich armii decyzję, na jakich konkretnie odcinkach będą atakować ich oddziały. Rosjanie wykorzystali pomysłowy fortel – większe siły kierowano w miejsca, gdzie stacjonowały słowiańskie oddziały c.k. armii. Czesi, Rusini i Chorwaci mieli być słabym punktem, który pozwoli na dokonanie przełamania. Polaków nie liczono w tych rachubach. Wiadomo było, że nie ustąpią łatwo pola Rosjanom, nawet broniąc Franciszka Józefa i jego walącą się monarchię.

Przygotowania udało się zachować w tajemnicy przed państwami centralnymi. Zaledwie dwa dni przed rozpoczęciem ofensywy szef sztabu Grupy Armii Linsingena, koordynującej działania przeciw frontowi Brusiłowa, stwierdził, że „Rosjanom brakuje wystarczających sił i polegają na głupiej taktyce, więc nie mają żadnych szans na sukces". Austriacy i Niemcy byli przekonani, że wróg nie będzie w stanie przełamać umocnionych linii bez podciągnięcia znaczących sił.

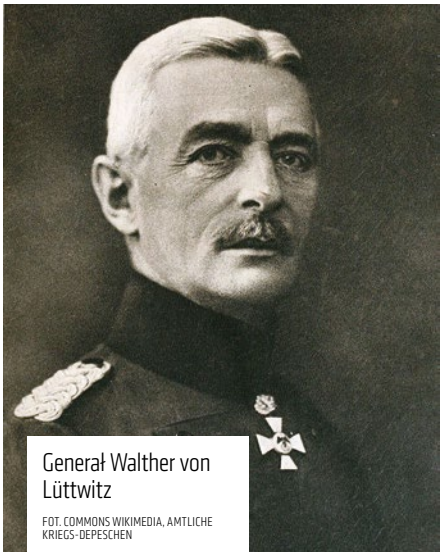
Strateg bez strategii

Życie szybko zweryfikowało te tezy. Ofensywa rozpoczęła się 4 czerwca 1916 r. O godz. 3 410 dział z 8. Armii gen. Aleksieja Kaledina rozpoczęło huraganowy ogień na c.k. pozycje, precyzyjnie niszcząc stanowiska dział, gniazda karabinów maszynowych i schrony. Ogień był kilkukrotnie przerywany. Kiedy żołnierze, myśląc, że to koniec, biegli na pozycje, Rosjanie wznawiali ostrzał, zadając kolejne straty.

Tak zapamiętał skutki artyleryjskiej nawały por. Fritz Leidolf z 22. bawarskiego pułku piechoty: „Granat uderzył dokładnie pod moją osłonę z trawy. Wyrzuciło mnie w gałęzie drzewa i spadłem z powrotem na ziemię. To najwyraźniej przerosło moje nerwy: rzuciłem się do ucieczki! Jak opętany biegłem z powrotem przez las, przewróciłem lekki miotacz min i wpadłem do przykrytego grubymi pniami drzew schronu naszego batalionowego sztabu. Trudno było ze mnie wyciągnąć cokolwiek, drżałem aż do szpiku kości. Kiedy na zewnątrz zabłąkana kula z głuchym buczeniem opadała na ziemię, składałem się w schronie jak scyzoryk".

Kanonada ustała po 26 godzinach. Potem ruszyła piechota. Pułkownik Borys Siergiejewski z 40. Korpusu tak wspominał rozpoczęcie ataku: „Dowódca korpusu przeżegnał się i powiedział »Paszli«. Z przodu w egipskich ciemnościach niczego nie widać. Równo po 40 sekundach z tych ciemności na całej linii frontu wyleciały w górę czerwone rakiety, wystrzeliwane z pistoletów – wołanie Austriaków o ogień zaporowy. Znaczyło to, że rosyjscy strzelcy w tym samym czasie pojawili się na przedpiersiach austriackich umocnień. Jeszcze minuta i grzechot wystrzałów jakby od razu się wzmógł – przeciwnik otworzył do nich ogień".

Tym razem jednak Austriacy nie zobaczyli zwykłego w takich przypadkach widoku – szaroburej, stłoczonej masy rosyjskich żołnierzy z bagnetami na karabinach, krzyczących swoje „Uraaa" i usiłujących przedrzeć się przez zasieki pod ogniem karabinów maszynowych. Rosjanie wyszli jakby spod ziemi – z roz-



Generał Walther von Lüttwitz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AMTLICHE KRIEGS-DEPESCHEN

eprasa.pl dc2966a19e



Kontratak niemiecki: Rosjanie wycofują się przez Stochód FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIGI.LANDESBIBLIOTHEK.AT, ARTUR HEYER

mieszczonych co 70–100 m transzei i podziemnych tuneli szturmowych, kończących się często zaledwie 100 m od austro-węgierskich pozycji. Na domiar złego ocalałe karabiny maszynowe nie działały. Ich zamki zasypał piach wzniesiony eksplozjami. Podobnie było z działami. Zamiast strzelać, ich załogi zaprzęgały je do przodków, uciekając przed szybko zbliżającymi się Rosjanami. Jak zapisał ówczesny dowódca 4. Dywizji Strzelców, gen. Anton Denikin: „Pierwszy raz nasza artyleria wypełniła zadanie, za wypełnienie którego dotychczas płaciliśmy mnóstwem krwi".

Główny wysiłek natarcia ponosiła 8. Armia gen. Kaledina, która odniosła też największe sukcesy. Sztab 4. c.k. armii z jej dowódcą, arcyksięciem Józefem Ferdynandem, musiał w pośpiechu ewakuować się przed nacierającymi Rosjanami. W ciągu kilku dni ofensywy Rosjanie przekroczyli Styr, a 8 czerwca zajęli Łuck, przebijając się następnie 30 km w głąb obrony.

Na południu mniejsze sukcesy osiągnęły 7. i 11. Armia. Zdołały przebić się przez linie umocnień, ale ich ataki, słabsze niż na północy, szybko zostały powstrzymane. Lepiej poszło 9. Armii atakującej na południowym brzegu Dniestru. W ciągu tygodnia przebiła się na głębokość od 15 do 50 km, odrzucając 7. c.k. armię w kierunku na Kołomyję i Kuty.

Państwa centralne szybko otrząsnęły się po pierwszym szoku spowodowanym sukcesem ofensywy. Niemcy w kierunku Kowla i Łucka ściągnęli z frontu zachodniego X Korpus. Na południe od Lwowa zmierzała w strefę walk 48. dywizja. Posiłki z frontu włoskiego zaczęli też ściągać Austriacy.

Teraz Brusiłow stanął przed głównym wyzwaniem, na które nie miał strategicznej odpowiedzi. Austro-węgierska obrona nie załamała się całkowicie. Kontynuowanie ofensywy na Kowel przy braku sukcesów na kierunku lwowskim groziło szybką likwidacją wybrzuszenia frontu. Na dalszy atak na oba miasta nie wystarczało już sił. Obrona państw centralnych krzepła. Niemcy ściągali posiłki z północy, zachęceni bezczynnością dowódców pozostałych rosyjskich frontów, pozbawionych amunicji i wsparcia inżynieryjnego. Niemal wszystko przeznaczono na ofensywę Brusiłowa.

Generał próbował jeszcze atakować w kierunku Kowla, licząc na przełamanie frontu. Główną rolę w powstrzymaniu jego zamiarów odegrała wtedy I Brygada Legionów. Na początku lipca pod Kostiuchnówką 5,5 tys. polskich żołnierzy stawiło zdecydowany opór 13 tys. Rosjan z 100. dywizji. Ostatecznie legioniści musieli się wycofać, ponosząc ogromne straty, ale impet Rosjan został powstrzymany.

Większe sukcesy carska armia odniosła na południu. Od końca lipca do drugiej połowy września Rosjanie zajęli prawie całą Bukowinę, większość Wołynia i część Podola, po Kołomyję i Stanisławów. Jednak wszystko to nie wystarczyło do osiągnięcia strategicznego przełomu. Jesienią ofensywa ugrzęzła w taktycznych walkach pozycyjnych, zmieniając się w walkę materiałową, w której Rosja jedynie traciła zasoby. Straty wyniosły ok. 1 mln rosyjskich i 600 tys. austro-węgierskich żołnierzy.

Ofensywa nie zmieniła bezpośrednio sytuacji strategicznej na froncie wschodnim, przesuwając go zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów. Na froncie zachodnim powstrzymała jednak niemieckie działania, dając oddech Francuzom i Brytyjczykom. Ocaliła też włoskie armie od zniszczenia na płaskowyżu Asiago. Pod wpływem sukcesów na Bukowinie do wojny po stronie ententy przystąpiła Rumunia. Szybko jednak została pokonana, co sprawiło, że rosyjski front południowy został wydłużony o kilkaset kilometrów.

Przełomowe skutki

Dalekosiężne efekty ofensywy były o wiele poważniejsze. Wojska Austro-Węgier zostały podporządkowane niemieckiemu dowództwu, a c.k. monarchia do końca wojny nie otrząsnęła się już po poniesionych stratach. Ofensywa wyczerpała i tak już mocno przetrzebione rosyjskie zapasy ludzkie i materiałowe, spychając kraj na skraj załamania i wpychając go na drogę do rewolucji. Profesor Piotr Szlanta stwierdził: „Gdyby Brusiłow odniósł pełny sukces, do rewolucji w 1917 r. by nie doszło".

Przyłączenie się Rumunii do państw ententy sprawiło, że znalazła się ona w gronie zwycięzców pierwszej wojny światowej, otrzymując spore zdobycze terytorialne, w tym Siedmiogród. Stało się to później jedną z przyczyn węgierskiego rewanżyzmu, destabilizującego Bałkany.

Olbrzymie straty poniesione przez Austro-Węgry skłoniły państwa centralne do poszukiwania źródeł rekruta. Między innymi z tego powodu jeszcze w 1916 r. wydany został Akt 5 listopada, w którym niemieckie i austro-węgierskie władze obiecywały stworzenie Królestwa Polskiego. Dokument ten, umniejszany przez piłsudczyków, pozwolił im jednak gładko przejąć władzę w 1918 r., będąc w istocie jednym z kamieni milowych na drodze do polskiej niepodległości.

Ofensywa Brusiłowa była niewątpliwie przełomem pod względem taktycznym. To z jej doświadczeń czerpali twórcy niemieckich Stoßtruppen – gen. Oskar von Hutier i kpt. Willy Rohr. Taktykę użycia małych grup wyszukujących słabych punktów i przenikających przez linie przeciwnika dopracowali właśnie na podstawie doświadczeń z ofensywy Brusiłowa. Użycie tej taktyki niemal doprowadziło do załamania frontu zachodniego podczas Kaiserschlacht – serii wiosennych ofensyw w 1918 r. Niemcy znaleźli się wówczas znowu na przedpolach Paryża, a ententę tym razem uratowała pomoc zza oceanu. Echa ofensywy Brusiłowa słychać też było w koncepcji blitzkriegu.

Sam Brusiłow w 1920 r. dobrowolnie wstąpił do Armii Czerwonej, wzywając innych oficerów do walki z Polską. Były carski generał ostatnie lata życia spędził, reformując sowiecką kawalerię i opracowując swoją koncepcję przełomowego „głębokiego uderzenia" dla armii państwa robotników i chłopów.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Monastyr Sołowiecki
FOT. ADAM HLEBOWICZ

1925 r. / Z „wzorcowego łagru" na wolność

Wielka ucieczka z Sołówek



Adam Hlebowicz

Polak, Rosjanin i Ingusz nie zamierzali gnić latami w sowieckim łagrze. Ich brawurowa ucieczka i nagłośnienie całej sprawy spowodowały, że władze bolszewickie postanowiły wysłać na Sołówki swojego czołowego propagandystę, by ratował wizerunek łagru

Gdy Iwan Bezdomny, jeden z bohaterów powieści Michaiła Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata", dowiaduje się z ust Wolanda o pięciu dowodach na nieistnienie Boga przedstawionych przez filozofa Immanuela Kanta, wypowiada słynne zdanie: „Najlepiej byłoby posłać tego Kanta na trzy lata na Sołówki za te jego dowody!". W momencie powstawania arcydzieła Bułhakowa – były to lata 30. XX w. – wzorcowy zespół łagrowy na Wyspach Sołowieckich uchodził za synonim okrutnej kary.

Na tym leżącym na Morzu Białym archipelagu w XV w. powstał monastyr. Władze bolszewickie w 1923 r. utworzyły w nim pierwszy w ZSRS obóz pracy. Początkowo miał być to jedynie obóz izolacyjny przeznaczony dla oponentów politycznych, socjalistów niezgadzających się z polityką Lenina. Szybko jednak szeregi uwięzionych na Sołówkach poszerzone zostały o „kontry" – oficerów Białej Armii, duchownych, przedstawicieli arystokracji i szlachty oraz innych wrogów komunistycznego porządku świata. Był to wstęp do zbudowania systemu Gułagu, złowrogiej machiny państwa sowieckiego, dla której człowiek był jedynie narzędziem do bezlitosnego wykorzystania w dziele budowy „ojczyzny proletariatu". Zespół łagrów pod nazwą Sołowiecki Obóz Specjalnego Przeznaczenia (ros. SŁON), przeznaczony początkowo dla 8 tys. więźniów, w 1930 r. osiągnął rekordową liczbę 72 tys. osadzonych.

Wyspy Sołowieckie znajdują się 150 km na południe od koła podbiegunowego. Archipelag liczy ok. 100 niewielkich wysp, z czego sześć największych (Wielka Sołowiecka, Wyspa Anzerska, dwie Wyspy Muksałmy i dwie Wyspy Zajęcze) było wówczas zamieszkanych przez ludzi. Zima jest tam długa i mroźna, lato – zwane polarnym – krótkie i chłodne. Latem do niekorzystnej aury pogodowej dochodzą jeszcze chmary owadów, które dosłownie oblepiają ludzi.

Układ wysp, surowy klimat, duża odległość od najbliższej większej miejscowości, skąd wyruszały wszystkie transporty z więźniami, a jeszcze dodatkowo leżące na drodze do granicy z Finlandią tajga i błota, powodowały, że władze bolszewickie uznawały, iż z takiego miejsca nie da się uciec. Wszystko zmienił 18 maja 1925 r., kiedy to pięciu śmiałków więzionych na Wyspach Sołowieckich postanowiło wywalczyć sobie wolność. Przypatrzmy się życiorysom trzech głównych pomysłodawców ucieczki: Inguszowi, Rosjaninowi i Polakowi.

Niepokorni

Ingusze to liczący ok. 400 tys. osób niewielki naród zamieszkujący północny Kaukaz. Są wyznawcami islamu i uchodzą za najbardziej religijną społeczność tego regionu. Pojawienie się w 1920 r.

eprasa.pl dc2966a19e



Przystań w Kiem. Stąd odchodziły trasporty z Popiej Wyspy na Sołówki FOT. ADAM HLEBOWICZ

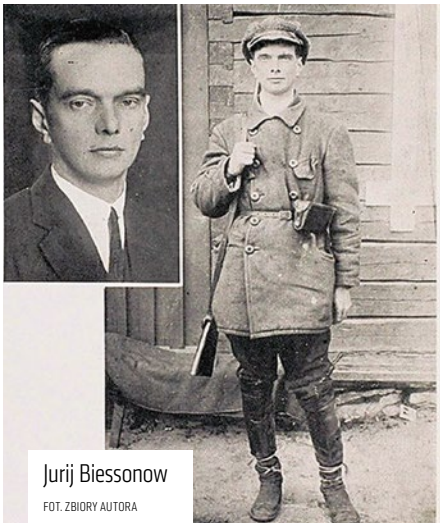
bolszewików uznali za agresję na swoje terytoria i zbrojnie stawili im opór. Z uwagi na ogromną dysproporcję sił nie mieli jednak szans. Wśród tych, którzy walczyli z bronią w ręku, był Sozerko Malsagow (niekiedy nazywany Malsagiem), urodzony w 1895 r. we wsi Ałtijewo.

Wychowany w rodzinie o tradycjach wojskowych ukończył carską szkołę oficerską. W czasie pierwszej wojny światowej służył jako oficer inguskiego pułku kawalerii i zdobył wówczas odznaczenia oraz nagrody. Po przewrocie bolszewickim walczył po stronie wojsk białych w tzw. Dzikiej Dywizji Kawalerii, która była częścią armii gen. Ławra Korniłowa. Umundurowaniem żołnierzy tej dywizji był kaukaski strój; słynęli z waleczności oraz nieustępliwości na polu walki. W 1920 r. wraz z częścią żołnierzy swojej brygady rtm. Malsagow został zmuszony do przemarszu na teren Gruzji. Po zajęciu na początku 1921 r. tego kaukaskiego kraju przez wojska bolszewickie nadal prowadził on działania partyzanckie. W kwietniu 1923 r., po ogłoszeniu przez bolszewików amnestii dla białogwardzistów, ujawnił się przed GPU w Batumi. Został jednak aresztowany, po czym po brutalnym śledztwie skazano go w styczniu 1924 r. na osadzenie w łagrze na Sołówkach. „Gdy powołałem się na oficjalne słowa amnestii, śledczy aż zatrząsł się od śmiechu – Zaprowadźcie go do celi i niech mu tam pokażą amnestię" – napisze potem w swoich wspomnieniach Malsagow.

Rosjanin Gieorgij Dymitrowicz Biessonow urodził się w Petersburgu w 1891 r. jako syn generała armii carskiej. Wszyscy mówili jednak na niego Jurij. Po ukończeniu gimnazjum przez dwa lata uczył się w szkole artystycznej w Paryżu. Po powrocie ze stolicy Francji w 1908 r. ukończył Kadecką Szkołę Wojskową w Petersburgu, a dwa lata później Mikołajewską Szkołę Kawaleryjską. Jako rotmistrz czerkieskiego pułku był zastępcą komendanta Pałacu Zimowego. Po przewrocie bolszewickim wstąpił do armii Korniłowa i uczestniczył w jej szeregach w kampanii mającej na celu zdobycie Piotrogrodu. Został aresztowany w 1918 r. W kolejnych latach uciekał z więzień, zaciągając się w szeregi różnych armii i oddziałów „białych". Po klęsce armii gen. Jewgienija Millera w 1920 r. Biessonow próbował uciec do Finlandii, ale razem z innymi białymi oficerami został schwytany i przewieziony do więzienia w Pietrozawodsku.

W wyniku kolejnych amnestii Biessonow wychodził na wolność, ale ponieważ był zagorzałym antybolszewikiem, wkrótce ponownie trafiał za kraty. W ten sposób zaliczył łącznie 25 więzień i obozów. Silna wiara w Boga pozwalała mu w nich przetrwać, nie tracić ducha i ciągle mieć nadzieję na odzyskanie wolności. Dwudziestym szóstym miejscem jego uwięzienia był obóz sołowiecki, do którego trafił z wyrokiem za działalność kontrrewolucyjną.

Edward Malbrocki miał bardzo interesujący życiorys i szkoda, że jest tak mało znany w Polsce. Urodzony w 1894 r. w Warszawie trudnił się handlem, ale był też nauczycielem. Od pierwszych dni działalności Polskiej Organizacji Wojskowej, powstałej na początku pierwszej wojny światowej, był zaangażowany w jej działalność. Jako członek POW został aresztowany przez Niemców i spędził w więzieniu 14 miesięcy. W czasie wojny polsko-bolszewickiej walczył w szeregach 28. Pułku Piechoty. 4 lipca 1920 r. w bitwie nad Autą został ranny w klatkę piersiową. Za odwagę i umiejętne dowodzenie plutonem został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Ponadto dwukrotnie był uhonorowany Krzyżem Walecznych.



Jurij Biessonow FOT. ZBIORY AUTORA

Jeszcze w 1920 r. został skierowany do Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Wysłany jako agent wywiadu do ZSRS został tam aresztowany 8 sierpnia 1924 r. i przetrzymywany był w więzieniu w Mińsku. Ponieważ GPU nie rozszyfrowała właściwej misji Malbrockiego, 28 listopada tamtego roku skazano go tylko na trzy lata łagru na Wyspach Sołowieckich. Przybył tam przez Leningrad 17 stycznia 1925 r.

Z łagru na wolność

Malsagow od początku planował ucieczkę z obozu. Umiłowanie wolności to jedno, a warunki, które zastał w obozie, to drugie. Pogarda wobec życia ludzkiego, zezwierzęcenie strażników i ich nadzorców, brutalne traktowanie kobiet, praca fizyczna po 14–16 godzin dziennie – to wszystko było dla niego nie do zniesienia. Oto jego opis warunków panujących w obozie: „Ściany baraków są wypełnione ziejącymi pęknięciami, a sufity podziurawione. To powoduje przeciągi, a w pomieszczeniach, wentylowanych ze wszystkich stron, panuje taki chłód, że wieczorami, gdy więźniowie wracają z pracy, ludzie drżą jak w gorączce. Szczególnie przerażający jest zmrok: okropny smród unoszący się w barakach dusi. W nocy sen jest niemożliwy z powodu duszności i ludzkich oparów". Ingusz zaczął wypatrywać wśród współwięźniów osób, które jego zdaniem miały odpowiedni charakter i umiejętności, aby podołać trudom ucieczki.

W lutym 1925 r. do obozu trafił Jurij Biessonow. On pierwszy zagadnął Malsagowa, czy nie myśli o ucieczce. Po bliższym zapoznaniu się obaj wojskowi

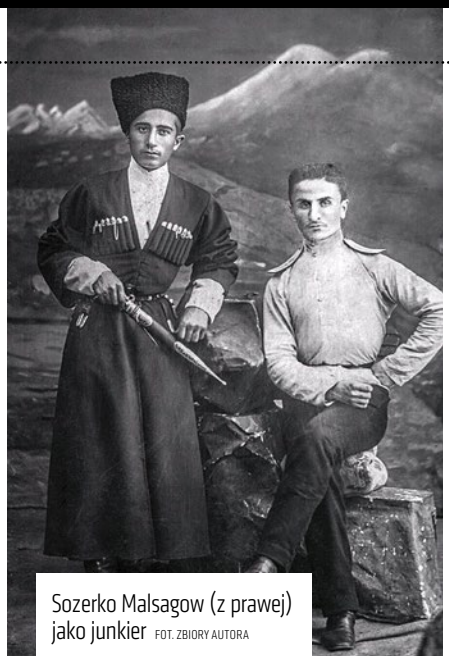
eprasa.pl dc2966a19e

wybrali spośród innych więźniów Edwarda Malbrockiego i Matwieja Sazonowa, syna popa pochodzącego z Wileńszczyzny. Malbrocki był cennym nabytkiem dla planujących ucieczkę, ponieważ udało mu się przemycić kompas ukryty w mydle. A przecież trudno było planować ucieczkę bez mapy lub kompasu, zważywszy na warunki terenowe: bezdroża Karelii, rzeki, jeziora, błota i torfowiska.

Dla jasności trzeba dodać, że wszyscy wymienieni nie przebywali na właściwych Wyspach Sołowieckich, dokąd nie zdążono ich wywieźć, lecz na tzw. Popiej Wyspie w miejscowości Kiem, kilkadziesiąt kilometrów od archipelagu. Ulokowany był tam nie tylko punkt przesyłowy, lecz także „normalny" obóz z barakami, wieżyczkami strażniczymi i całym systemem represji. Był to stały ląd, pierwszy etap katorgi sołowieckiej, skąd jednak nieporównywalnie łatwiej było uciec. Dzięki bardzo szczegółowym zapiskom Malsagowa znamy dokładny opis obozu i jego rozmieszczenie.

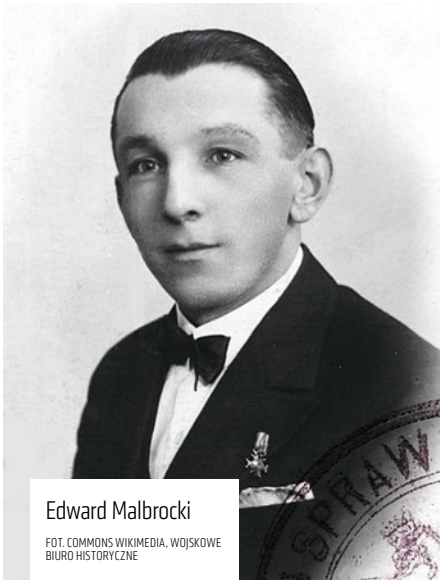
Grupa pod wodzą Biessonowa wiedziała doskonale, że szanse na ucieczkę mają tylko ci więźniowie, którzy wychodzą do pracy poza obóz. Najpierw należało więc umieścić potencjalnych zbiegów na liście pracujących – Malsagowowi udało się to załatwić. Gdy 18 maja znaleźli się w lesie pod konwojem dwóch strażników, na dany przez Biessonowa sygnał obezwładnili ich i rozbroili. Ponieważ grupa więźniów liczyła pięć osób, do uciekinierów dołączył kubański Kozak, Wasyl Pribłudin.

Przez pierwsze dni maszerowali niemal bez przerwy, również nocami. Szli bezdrożami, po wilgotnej, ciężkiej ziemi. Lider grupy Biessonow groził śmiercią każdemu, kto od marszu odstawał. Było to bezwzględne, ale konieczne, by ucieczka mogła się zakończyć sukcesem. Padał śnieg, który wprawdzie utrudniał marsz, ale równocześnie zacierał ślady. Po kilku dniach skończył się chleb. Idąc wzdłuż rzeki Kiem, uciekinierzy dotarli do wsi Poduziemje, gdzie natrafili na ślady żołnierzy z psami. Pościg był tuż za nimi. Po rzece Kiem pływał kuter z uzbrojonymi strażnikami. Malsagow w ciągu kilku dni odmroził sobie nogi, co znacznie spowolniło tempo ucieczki. Od przypadkowo spotkanych dwóch Karelów uciekinierzy kupili chleb i machorkę, co było ratunkiem na kilka kolejnych dni. Biessonow prowadził dziennik – zapisywał wewnętrzne strony Biblii, którą zabrał ze sobą. „12 czerwca. Wczesnym rankiem piliśmy wrzątek pod małą wiatą nad jeziorem. Ścieżki, jeziora, deszcz. Postój w rozpadającej się chacie. Nerwy. Nic do jedzenia. Boże, pomóż nam! Ruszyliśmy dalej. Szliśmy całą noc. Deszcz, rosa, zimno, ścieżka".



Sozerko Malsagow (z prawej) jako junkier FOT. ZBIORY AUTORA

Gdy natrafili na duże jezioro, Sazonow sklecił dwie tratwy, dzięki którym udało im się przepłynąć na drugi brzeg. Mieli wielkie szczęście, gdyż dotarli do opuszczonej chaty miejscowych kosiarzy, którzy na zimę przygotowali w niej duże zapasy pożywienia. Uciekinierzy spędzili tam kilka kolejnych dni, odpoczywając i najadając się do syta. Gdy zostało po pięć bochenków chleba dla każdego, wyruszyli w dalszą drogę. Gdzieś w pobliżu granicy wpadli pod ostrzał pograniczników. Szczęśliwie okoliczny las był gęsty, więc rozproszyli się i ponownie uszli pogoni. Następnie przekroczyli graniczną rzekę; ogromny Sazonow przenosił każdego na swoich plecach. Biessonowowi udało się upolować jelenia. Zjedli od razu prawie połowę tuszy, ugotowaną i bez chleba, lecz rezultatem tej obfitej uczty były rozstroje żołądka. Przez kilka dni byli tak osłabieni, że ledwie mogli się ruszać.



Edward Malbrocki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

Nie byli świadomi, że przekroczyli granicę w pobliżu Kuusamo. Aby dojść do celu, musieli przejść ok. 450 km. Ta epopeja trwała w sumie 35 długich dni. Gdy doszli do kolejnej wsi, napotkani ludzie nie odezwali się do nich ani po rosyjsku, ani po fińsku. Uciekinierzy wyglądali strasznie: zarośnięci, w łachmanach, brudni. Wygłodniali skazańcy zabrali chłopom jedzenie, co potem stało się okazją do oskarżenia ich o rozbój. Na szczęście wszystko udało się wyjaśnić. Komendant policji w Oulu nie tylko dostarczył im jedzenie i pieniądze do więzienia, lecz także sam zawiózł Malsagowa do lekarza, żeby opatrzył mu odmrożone stopy.

Prasa początkowo opisywała ich przybycie jako akcję bolszewickich bandytów, którzy napadli na fińską wioskę. Jednak po kilku dniach ton fińskiej prasy uległ zmianie. Uciekinierzy przetrzymywani byli w więzieniach w Oulu i Helsinkach, ale w jakże innych warunkach niż te, które przygotowali dla nich bolszewicy...

Malbrocki wrócił do ojczyzny dzięki pomocy polskiego konsulatu. Pozostali otrzymali tzw. paszporty nansenowskie – międzynarodowy dokument tożsamości i podróży, wydawany w okresie międzywojennym uchodźcom i bezpaństwowcom, dzięki którym mogli oni podróżować po wolnym świecie.

Dalsze losy zbiegów

Malbrocki znalazł zatrudnienie w polskim MSW, pracując m.in. na Kresach Wschodnich w starostwie w Kosowie na Polesiu i w Prużanie. W czasie drugiej

eprasa.pl dc2966a19e



Paszport nansenowski Malsagowa

FOT. ZBIORY AUTORA

wojny światowej był szefem wywiadu AK Obwodu Warszawa-Praga. Aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa 22 stycznia 1954 r., oskarżony o „faszyzację życia państwowego" w latach międzywojennych trafił do więzienia na Mokotowie z dwuipółrocznym wyrokiem (zwolniono go jednak przedterminowo 22 kwietnia 1955 r.). Był więc więziony w swoim życiu przez Niemców, Sowietów i polskich komunistów. Zmarł w Łodzi w 1969 r. i tam też został pochowany.

Biessonow wyemigrował do Paryża i otworzył galerię sztuki na Montmartre. W czasie drugiej wojny światowej wzywał świat prawosławny do zjednoczenia się w walce z Niemcami. Zmarł w stolicy Francji w 1969 r., został pochowany na podparyskim Cmentarzu Sainte-Geneviève-des-Bois. Biessonow spoczywa obok teologa Siergieja Bułgakowa, tancerza Rudolfa Nuriejewa, reżysera Andrieja Tarkowskiego i wielu innych znanych Rosjan, którzy znaleźli się na emigracji.

Malsagow za namową swego wuja, gen. Safarbeka Malsagowa, wstąpił do polskiej armii. Jako wybitny kawalerzysta i znawca koni cieszył się bardzo dobrą opinią wśród przełożonych. We wrześniu 1939 r., służąc w armii „Pomorze", walczył w obronie Polski. Trafił do niewoli. W 1941 r., za zgodą polskich przełożonych w oflagu, wyszedł na wolność, by tworzyć inguski oddział do walki z Sowietami. Najpewniej jednak był wywiadowcą aliantów. W 1944 r. trafił na swoją prośbę do szpitala w Bawarii, skąd zbiegł do okupowanej Polski i zaangażował się w walkę podziemną. Zagrożony aresztowaniem przez wkraczające na polskie ziemie oddziały Armii Czerwonej został przerzucony do Francji, gdzie jako „Kazbek" prowadził akcje dywersyjne. Po wojnie znalazł się w Wielkiej Brytanii i zaangażował się w emigracyjną walkę ludów Kaukazu z sowieckim reżimem. Blisko współpracował z Abdurachmanem Awtorchanowem, Czeczeńcem, historykiem i sowietologiem, autorem m.in. drukowanej w drugim obiegu w Polsce w latach 80. „Zagadki śmierci Stalina". Obaj publikowali w piśmie „Swobodny Kaukaz". Malsagow zmarł w 1976 r. w Wielkiej Brytanii.

Natomiast dalsze losy Pribłudina i Sazonowa nie są znane.

Walka o prawdę

Malsagow spisał swoje wspomnienia z walki z bolszewikami, uwięzienia i ucieczki. Ukazały się one w języku rosyjskim w 1925 r. w Rydze. Wkrótce zostały przetłumaczone na język angielski i ujrzały światło dzienne w Wielkiej Brytanii jako „An Island Hell. A Soviet Prison in the Far North". Z kolei Biessonow opublikował w Paryżu swoje wspomnienia i dziennik zatytułowany „Dwatcat szest tjurem i pobieg z Sołowkow". Zarówno sama ucieczka, jak i opisane przez obu uciekinierów ich dalsze losy spotkały się na Zachodzie z szerokim odzewem. Jednak przeważnie reakcje były negatywne. Wielu wybitnych intelektualistów, w tym Lion Feuchtwanger, Anatol France czy Romain Rolland, zarzuciło uciekinierom pisanie nieprawdy, twierdząc, że wszystko miało być wymyślone i stworzone na potrzeby antybolszewickiej propagandy. Jedynym znanym pisarzem, którzy stanął po ich stronie, był Rudyard Kipling, konserwatysta i antykomunista zarazem. „Ja temu facetowi wierzę, on nie kłamie" – miał stwierdzić angielski pisarz na temat zapisków Biessonowa.

Władze sowieckie na tyle zaniepokoiły się wydźwiękiem obu książek na Zachodzie, że postanowiły wysłać w 1929 r. na Sołówki Maksyma Gorkiego – swojego piewcę rewolucji. Miał on opisać obóz i panujące tam warunki zgodnie z wytycznymi propagandy. Autor „Matki" nie zawiódł. Jego esej „Sołówki", który należy do kanonu literatury propagandowej, kończył się stwierdzeniem: „Wydaje mi się, że wniosek jest jasny: potrzebne są takie obozy jak Sołówki".

Więziony w tym czasie na Wyspach Sołowieckich rosyjski pisarz Oleg Wołkow we wspomnieniach „W otchłani" tak skomentował wizytę Gorkiego w obozie: „W odległości wiorsty od miejsca, gdzie Gorki z takim zapałem odgrywał rolę dostojnego turysty i ronił łzę wzruszenia dla tych, którzy poświęcili się humanitarnej misji reedukacji poprzez pracę zagubionych ofiar reliktów kapitalizmu, a więc zaledwie o wiorstę stąd, rozwścieczeni nadzorcy tłukli kijami torturowanych, wyczerpanych polskich żołnierzy – zaprzęganych w grupach po ośmiu i dziesięciu do sań obładowanych po brzegi. Wozili drzewo z lasu. Polaków traktowano szczególnie okrutnie".

W artykule wykorzystałem wspomnienia J. Biessonowa, „Dwatcat szest tjurem i pobieg z Sołowkow" (Paryż 1928) oraz S. Malsagowa, „Adskij astrow. Sowieckaja tjurma na dalekom siewiere" (Nalczik 1996), a także materiały z Archiwów IPN i CAW.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

eprasa.pl dc2966a19e



Niemieccy oficerowie na Place d'Armes w Luksemburgu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANCIENS-ATHENEE.LU

Druga wojna światowa / Luksemburczycy pod okupacją niemiecką

„Ons Jongen" na froncie



Arkadiusz Karbowiak

Niemieckie władze okupacyjne były przekonane, że Luksemburczycy „są jedynie plemieniem niemieckim". Szybko okazało się, w jak dużym były błędzie

Żołnierze 1., 2. i 10. Panzer Division mieli naprzeciw siebie zaledwie 268 członków Gendarmerie Grand-Ducale. Wobec tak skrajnej dysproporcji sił funkcjonariusze Żandarmerii Wielkiego Księstwa Luksemburga stawiali jedynie incydentalny opór. Był poranek 10 maja 1940 r. Jednostki Wehrmachtu rozpoczęły właśnie realizację „Fall Gelb" – planu mającego na celu militarne pokonanie Francji. Jednak aby to osiągnąć, niemieccy planiści uznali za konieczne wkroczenie również do krajów Beneluksu, a więc Belgii, Holandii i właśnie Luksemburga.

Bezpieczeństwa tego malutkiego księstwa strzec miał również Corps des Volontaires (Korpus Ochotników), ale – poza nielicznymi wyjątkami – ochotnicy zostali w koszarach i nie wzięli udziału w walkach. Do południa zajęta została stolica, a już następnego dnia cały kraj znalazł się w rękach Niemców.

Wielka księżna Charlotte wraz rządem opuścili Luksemburg i przenieśli się początkowo do Francji, a następnie przez Portugalię trafili do USA, Kanady i Wielkiej Brytanii (rząd funkcjonował w Montrealu, a wielka księżna w USA i w Wielkiej Brytanii). Ewakuacja władz spowodowała, że 16 maja 1940 r. Joachim von Ribbentrop poinstruował swoich podwładnych w MSZ III Rzeszy: „Chociaż Luksemburg nie stawił oporu wkraczającym siłom niemieckim, to zasadniczo ma być traktowany jako kraj nieprzyjacielski". Początkowo wydawało się, że uda się stworzyć jakiś modus vivendi w relacjach z okupantami. Luksemburg podporządkowany został na wczesnym etapie okupacji administracji wojskowej, w której imieniu władzę sprawowała 520. Oberfeldkommandantur. Interesy Luksemburczyków reprezentował natomiast były sekretarz generalny rządu Albert Wehrer, który utworzył tzw. Komisję Rządową.

Rządy wojskowych ostatecznie zakończyły się 2 sierpnia 1940 r. Władzę w Luksemburgu objął wtedy jako Chef der Zivilverwaltung (CdZ) 40-letni Gustav Simon (przez krótki czas podlegał Wehrmachtowi), dotychczasowy gauleiter okręgu Koblenz Trier w Rzeszy. Simon należał do grupy „starych" towarzyszy partyjnych, nosił legitymację NSDAP z numerem 17 017 (wstąpił do partii w 1925 r.). Ciekawostką jest, że w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów nigdy nie należał ani do SA, ani do SS, był natomiast Obergruppenführerem Narodowosocjalistycznego Korpusu Motorowego.

eprasa.pl dc2966a19e



Gustav Simon, szef administracji cywilnej Luksemburga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MYKEMALON

Jego nominacja była wynikiem przekonania, które żywił Hitler, że konieczne jest „odzyskanie Luksemburczyków dla narodu niemieckiego". Simon uważał, że „Luksemburczycy nie mają własnej narodowości. Są jedynie plemieniem niemieckim". O ile kolaboracja z okupantem dla dobra narodu była kwestią niebudzącą wątpliwości, o tyle udział luksemburskich polityków w polityce germanizacyjnej był już jak najbardziej kontrowersyjny. Do pierwszego zwarcia doszło w związku z wydanym 6 sierpnia 1940 r. dekretem o języku niemieckim. Na jego bazie jedynym oficjalnie uznawanym publicznie językiem stał się w Luksemburgu niemiecki. Rozpoczęto proces germanizacji nazw ulic, imion i nazwisk. Zakazano używania nawet tak podstawowych francuskich słów jak „merci" czy „bonjour".

W odpowiedzi na te zmiany prawne Komisja Rządowa rozpoczęła symboliczny protest. Jej członkowie zakładali opaski z czerwonym lwem, które rozdawano jeszcze w 1939 r., w związku z obchodami stulecia funkcjonowania państwa. Widząc, że polityka niemiecka nie jest akceptowana przez niepodległościowe, luksemburskie elity, 22 października 1940 r. Simon nakazał rozwiązanie Komisji Rządowej i Rady Deputowanych. Sam Albert Wehrer został internowany w Rzeszy. Decydując się na taki krok, gauleiter był przekonany, że za pomocą „ukierunkowanej edukacji Luksemburczycy zostaną sprowadzeni na drogę lojalności wobec Niemców".

Znaleźli się jednak Luksemburczycy gotowi bezwarunkowo przyjąć niemiecką narodowość. Byli oni zrzeszeni w nowo powstałej proniemieckiej i pronazistowskiej organizacji Volksdeutsche Bewegung (VdB). Na jej czele stanął nauczyciel Damian Kratzenberg, pochodzący z niemiecko-luksemburskiej rodziny (jego ojcem był Niemiec, a matką Luksemburka). Jego proniemieckie sympatie znane były już przed wojną, ponieważ od 1935 r. kierował on pangermańską organizacją Gesellschaft für Deutsche Literatur und Kunst, rozwiązaną 6 lipca 1940 r. W jej miejsce tydzień później powołano do życia VdB. Z uwagi na chęć działania na rzecz integracji z III Rzeszą głównym hasłem lansowanym przez VdB było „Heim ins Reich" („Powrót do Rzeszy"). VdB w połowie 1942 r., a więc w szczycie swojego rozwoju, liczyła 84 tys. członków. Warto przy tym podkreślić, że w większości przypadków członkostwo w tej organizacji było wymuszane groźbami zwolnienia z pracy lub szykanami (obowiązkowa przynależność dotyczyła urzędników i osób ubiegających się o przyjęcie na studia). Wiele osób postanowiło więc zapisać się do tej organizacji dla „świętego spokoju".



Mundur formacji Corps des Volontaires

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LËTZEBUERGER POLICEMUSÉE, JWH

Początkowo Simon uważał, że VdB będzie użytecznym narzędziem germanizacyjnym. Jednak raporty SD (Sicherheitsdienst – Służby Bezpieczeństwa) nie pozostawiały wątpliwości: akces do VdB w 90 proc. był spowodowany postawami konformistycznymi lub był wynikiem presji. Stąd SD wskazywała, że nie można członków VdB postrzegać jako ludzi lojalnych wobec Rzeszy, a wręcz przeciwnie – należało potraktować tę strukturę jako siedlisko postaw antyniemieckich. Zdecydowanie większą lojalnością wykazywali się członkowie NSDAP, ale do partii zapisało się w Luksemburgu jedynie 4,4 tys. osób. Simon, wciąż wierzący w proniemieckość Luksemburczyków, wpadł na nowy pomysł. W trakcie sporządzanego 10 października 1941 r. spisu ludności nakazał wszystkim wypełnić dołączoną ankietę z trzema pytaniami na temat obywatelstwa, języka ojczystego i przynależności narodowej. Naturalnie władze niemieckie miały nadzieję, że Luksemburczycy będą zainteresowani przyznaniem się do niemieckości, ale okazało się, że 93 proc. wybrało opcję luksemburską. Simon postawił ukryć wyniki tego nieformalnego referendum.

Łatanie szeregów

Straty ponoszone przez armię niemiecką na froncie wschodnim powodowały, że dowództwo armii coraz bardziej było zainteresowane poborem nowych rekrutów. Do momentu rozpoczęcia przymusowej rekrutacji do Wehrmachtu lub Waffen-SS zaciągnęło się ok. 2,3 tys. ochotników (do armii ok. 1,5–2 tys., a do Waffen-SS – 300).

Te liczby nie spełniały niemieckich oczekiwań. Dlatego Simon 30 sierpnia 1942 r. postanowił ogłosić dekret o mobilizacji. Objęto nią początkowo roczniki 1920–1924, a następnie rozciągnięto ją na kolejne, aż do 1927 r. Co ciekawe, chociaż Luksemburg znalazł się w III Rzeszy, to nie został jako terytorium formalnie inkorporowany. Luksemburczycy w przeciwieństwie do Polaków mieszkających na obszarze Pomorza lub Górnego Śląska, posiadających tzw. III kategorię Deutsche Volksliste, w ogóle nie posiadali żadnej formy obywatelstwa III Rzeszy. Dopiero zgodnie z rozporządzeniem w tej sprawie wydanym 23 sierpnia 1943 r. przez gauleitera Simona służba w Wehrmachcie czy Waffen-SS mogła w konsekwencji oznaczać przyznanie obywatelstwa. Nawiasem mówiąc, taka polityka – zarówno w przypadku Polaków, jak i Luksemburczyków – była sprzeczna z konwencją haską z 1907 r.

W sumie na terenie Luksemburga do służby w różnych formacjach

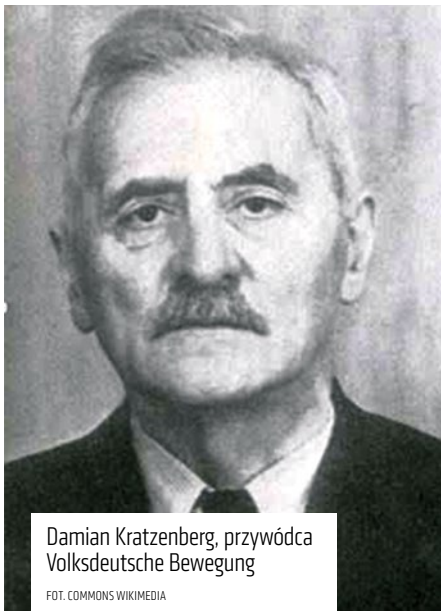
eprasa.pl dc2966a19e

niemieckich powołanych zostało 10 211 mężczyzn (według innych danych – 11 160) oraz 3614 kobiet. Około 3510 osób uchyliło się od poboru lub zdezerterowało. Podczas służby w niemieckich jednostkach poległo lub zmarło w wyniku odniesionych ran 2848 Luksemburczyków. Przedstawiciele najmłodszych roczników, czyli osoby urodzone w latach 1926–1927, jako Luftwaffenhelferzy przydzielani byli do pomocy w obsłudze dział artylerii przeciwlotniczej. Luksemburczycy służący w jednostkach niemieckich określani byli przez rodaków jako „Ons Jongen", czyli „Nasi Chłopcy".

Akcja poboru do wojska spotkała się z negatywną reakcją luksemburskiego społeczeństwa. 31 sierpnia 1942 r. na terenie tego okupowanego kraju wybuchł strajk. Przedsiębiorcy zamykali swoje sklepy, nauczyciele i urzędnicy odmawiali podjęcia pracy, pracownicy fabryk opuszczali swoje stanowiska, a rolnicy zaprzestali dostarczania produktów spożywczych. Protesty i zamieszki objęły wiele miast, w tym stolicę; nawet członkowie VdB zaczęli zwracać swoje legitymacje członkowskie. Gauleiter Simon, po rozmowach z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), natychmiast przystąpił do tłumienia niepokojów. Jeszcze 31 sierpnia wprowadził na terenie całego kraju stan wyjątkowy i ustanowił policyjny sąd doraźny. Jego pracami kierował SS-Obersturmbannführer Fritz Hartmann, szef Einsatzkommando Sipo i SD w Luksemburgu. Wspomniany sąd wydał w sumie 20 wyroków śmierci, które zostały wykonane w dniach 2–9 września w pobliżu Sonderlager Hinzert (jedna osoba pochodzenia niemieckiego uznana za zdrajcę została ścięta na gilotynie w Kolonii). Dodatkowo aresztowano i deportowano do obozów koncentracyjnych 125 osób. Ponad 300 nieletnich wysłano do obozów reedukacyjnych. Z grona ludzi uznanych za wrogów III Rzeszy 4198 osób wywieziono z Luksemburga w okolice Sudetów i na Górny Śląsk. Część z nich stanowiły rodziny dezerterów i ukrywających się przed służbą w siłach zbrojnych III Rzeszy.



Plakat organizacji Volksdeutsche Bewegung: „Luksemburczycy, jesteście Niemcami!"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RATHFELDER


Damian Kratzenberg, przywódca Volksdeutsche Bewegung
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Walka z sądem

Zatrzymywanych dezerterów władze niemieckie stawiały przed sądami wojskowymi. Niektórzy mieli szczęście, otrzymując łagodne, jak na ten rodzaj przestępstwa, wyroki pozbawienia wolności. To z kolei budziło irytację gauleitera Simona, który wiosną 1944 r., próbując ingerować w pracę sądu wojskowego, domagał się wymierzenia dezerterom 15 wyroków śmierci. W jego przekonaniu miał to być jedyny środek mogący zahamować rosnącą falę dezercji. Sędzia najwyraźniej nie poddał się naciskom, ponieważ odrzucił to żądanie. Pomimo porażki Simon nie dawał za wygraną. 8 lutego 1944 r. wysłał pismo do gen. Friedricha Fromma, dowódcy armii rezerwowej, w którym krytykował łagodność wyroków za dezercję. Gauleiter podkreślał: żaden „dezerter z Luksemburga nie powinien przeżyć tej wojny". To stanowisko znalazło poparcie u Reichsführera-SS Heinricha Himmlera, ale już niekoniecznie u gen. Fromma. Zdaniem tego ostatniego sądy wymierzały karę śmierci we wszystkich uzasadnionych przypadkach. Jednak determinacja Simona przyniosła sukces w postaci przeniesienia spraw luksemburskich dezerterów do sądu 462. Dywizji Piechoty. Tragiczny los spotkał 91 luksemburskich dezerterów skazanych na karę pozbawienia wolności, których przewieziono do więzienia Sonnenberg (Słońsk). Nocą z 30 na 31 stycznia 1944 r. zostali oni rozstrzelani przez Niemców w grupie 819 więźniów.

Luksemburczycy nie tylko ukrywali się przed służbą w Wehrmachcie, lecz także aktywnie walczyli we francuskich i w belgijskich oddziałach maquis (ok. 350 osób), a także w armii belgijskiej (Piron Brigade) i brytyjskiej (224 osoby). W walkach po stronie aliantów poległo 57 Luksemburczyków (według innych danych – 107). W Luksemburgu uchylającym się od służby pomagało podziemie, które skupione w kilku organizacjach nie prowadziło, poza działalnością wywiadowczą czy propagandową, działań o charakterze dywersyjno-zbrojnym. Do największych organizacji należały Letzeburger Patriote Liga (LPL – Luksemburska Liga Patriotów), Letzeburger Volleks-Legioun (LV – Luksemburski Legion Ludowy), Letzeburger Ro'de Lé'w (LRL – Luksemburski Czerwony Lew), Letzeburger Frâiheetskâmpfer (LFK – Luksemburscy Bojownicy o Wolność), Patriotes Indépendants (PI – Niepodlegli Patrioci), a także Letzeburger Frâiheetsbond (LFB – Luksemburski Związek Wolności).

O ile na członków podziemia spadały represje z racji podejmowanej przez nich działalności, o tyle Żydów dotknęły one z powodu pochodzenia etnicznego. We wrześniu 1940 r. w Luksemburgu wprowadzone zostały ustawy norymberskie. Żydzi skorzystali z możliwości opuszczenia Luksemburga; ok. 2,5 tys. spośród nich przedostało się do Państwa Francuskiego (Francji Vichy). Pewna część wyjechała potem do Hiszpanii i Portugalii. We Francji ok. 400 Żydów znalazło się w rękach niemieckich. Na terenie samego

eprasa.pl dc2966a19e

Luksemburga w momencie wydania zakazu emigracji przebywało ok. 750 Żydów. Zostali oni internowani w obozie tranzytowym Fünfbrunnen w północnym Luksemburgu. Między październikiem 1941 r. a kwietniem 1943 r. 674 Żydów zostało deportowanych w ośmiu transportach do getta w Łodzi i do obozów w Theresienstadt i Auschwitz. Uratowało się jedynie 43.

Na początku września 1944 r. oddziały amerykańskiej 5. Armii Pancernej wyzwoliły Luksemburg. Niemcy praktycznie nie bronili tego terytorium. Wojna wróciła jednak do księstwa wraz z niemiecką ofensywą przeprowadzoną w grudniu 1944 r. Część kraju została objęta walkami, co doprowadziło do masowej ucieczki ludności cywilnej. Niestety, wraz z niemieckimi żołnierzami do Luksemburga przybyły wtedy również służby policyjne III Rzeszy. Ich misją było pochwycenie zidentyfikowanych działaczy ruchu oporu lub członków ich rodzin oraz dokonanie na nich zemsty.



Luksemburczycy w niemieckiej obronie przeciwlotniczej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LUFTWAFFENHÖLFER

Nie ma problemu

Zakończenie wojny w Europie w maju 1945 r. przyniosło w krajach okupowanych przez III Rzeszę chęć wymierzenia sprawiedliwości niemieckim funkcjonariuszom systemu okupacyjnego i rodzimym zdrajcom oraz kolaborantom. Gauleiter Gustav Simon uciekł do Niemiec, zanim Amerykanie wkroczyli do Luksemburga. Ukrywał się w Westfalii pod nazwiskiem panieńskim swojej matki, pracując jako ogrodnik. Namierzyli go tam Brytyjczycy i aresztowali 10 grudnia 1945 r. Simon, zdając sobie sprawę, że grozi mu proces w Luksemburgu, 18 grudnia 1945 r. popełnił samobójstwo, wieszając się w celi więzienia w Paderborn. Poza nim 16 innych funkcjonariuszy niemieckiego gestapo stanęło przed luksemburską Temidą. Czterech usłyszało wyroki śmierci, ale żaden z nich nie został wykonany. W gronie skazanych i ułaskawionych znalazł się SS-Obersturmbannführer Fritz Hartmann, któremu karę śmierci zamieniono na dożywotnie więzienie, a następnie 15 lat pozbawienia wolności. 19 grudnia 1957 r. Hartmann został zwolniony.

Mniej szczęścia mieli uznani za zdrajców niektórzy luksemburscy Niemcy. Wspomnianego Damiana Kratzenberga, choć uciekł z Luksemburga, udało się aresztować, postawić przed sądem i skazać na karę śmierci. Poza tym przypadkiem wykonano jeszcze wyroki na siedmiu innych osobach (na karę pozbawienia wolności skazano w sumie 1,3 tys. osób).

Wielu Luksemburczyków walczących w szeregach niemieckich jednostek wojskowych na froncie wschodnim przywitało koniec wojny w sowieckiej niewoli. Do obozu dla jeńców nr 188 w Tambowie trafiło 1012 Luksemburczyków, z których 167 zmarło. Ponadto w Luksemburgu aż 2290 byłych żołnierzy Wehrmachtu po wojnie trafiło do nowo budowanej armii luksemburskiej.

Warto podkreślić, że społeczeństwo Luksemburga zawsze ujmowało się za zmobilizowanymi do Wehrmachtu rodakami, nie odcinając się od nich i nie wywyższając Luksemburczyków działających w ruchu oporu. Pamiętano bowiem, że choć „Ons Jongen" służyli w obcej i do tego wrogiej armii, to znaleźli się tam w zdecydowanej większości przypadków przymusowo. Luksemburczycy rozumieli, że losy „Naszych Chłopców" stanowiły element wspólnej i tragicznej historii wojennej luksemburskiego narodu.

Społeczeństwo Luksemburga zawsze ujmowało się za zmobilizowanymi do Wehrmachtu rodakami, nie odcinając się od nich

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Dostert P., ***„Luxemburg unter deutscher Besatzung 1940–45. Die Bevölkerung eines kleinen Landes zwischen Kollaboration und Widerstand";*** *Hohengarten A.,* ***„Pobór Luksemburczyków do armii niemieckiej podczas drugiej wojny światowej";*** *Musée National de la Résistance,* ***„La terreur de la Gestapo au Luxembourg Administration, surveillance, répression";*** *Streicher F., Janz N.,* ***„From One Uniform Into Another: Luxembourgish Men Between Nazi »Forced Conscription« and Post-War Military Service (1942–1946)".***

eprasa.pl dc2966a19e



Piotr Włoczyk

Polacy z Wołynia próbowali się ratować na wszelkie możliwe sposoby. Niektórzy liczyli na polskie samoobrony, inni dołączali do 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, a jeszcze inni starali się na własną rękę wydostać z terenów objętych ludobójstwem



Janina Wójcik, Zygmunt Maguza, Eugenia Borkowska FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

1943–1945 / Ratunek przed ludobójstwem

Uciec z wołyńskiego piekła

Zygmunt Maguza w wieku 18 lat widział sceny, które załamałyby psychicznie niejednego dorosłego. On jednak nie mógł sobie pozwolić na załamanie, bo został kompletnie sam.

„Ten widok, który zastałem w środku domu... Dziadek leżał na podłodze na prawo od drzwi. Właściwie nie było widać głowy, była jakby wbita siekierą w ciało, w płuca – wspominał przed laty w rozmowie ze mną Zygmunt Maguza (rocznik 1925). – Ściany były zabryzgane krwią, na podłodze rozmazana była krwawa maź. Gdy chwyciłem ciało dziadka, fragment jego mózgu wyleciał na moją pierś. Babcia leżała obok dziadka porąbana wzdłuż ciała siekierą. Z lewej strony drzwi leżała ich 11-letnia córka, siostra mojej mamy, Weronika. Ona też była porąbana siekierą". To scena, która rozegrała się 13 lipca 1943 r. w kolonii Witoldów, niedaleko Porycka, ok. 20 km od kolonii Chrynów – rodzinnej miejscowości Zygmunta Maguzy. Jego bliscy zostali zamordowani przez ukraińskich nacjonalistów dwa dni wcześniej, w trakcie tzw. krwawej niedzieli.

Spośród wszystkich świadków ludobójstwa na Wołyniu, z którymi przeprowadzałem wywiady na ten temat, najbardziej wstrząsnęły mną właśnie rozmowy z Zygmuntem Maguzą. W czasie rzezi wo-

eprasa.pl dc2966a19e

łyńskiej stracił on 40 członków rodziny – tej bliższej i dalszej. Tylko jednego dnia, 11 lipca 1943 r., w „krwawą niedzielę", banderowcy zamordowali jego dziadków, ciocie, wujków i kuzynów. A także wielu przyjaciół i kolegów.

Mimo piekła, które Zygmunt Maguza zobaczył 13 lipca w Witoldowie, to wcale nie tamto wydarzenie uznawał za najstraszniejsze. Jego zdaniem spośród wszystkich jego bliskich najgorszy los spotkał jego matkę chrzestną, Stefanię Woźniczkę, i jej rodzinę, która mieszkała w kolonii Jeżyn. Ona sama została zamordowana w domu, natomiast troje jej dzieci (w wieku trzech, pięciu i siedmiu lat) banderowcy utopili w studni. Ich ojciec i dziadkowie również zostali zamordowani.

Ale przecież takich potwornych historii było więcej w jego bezpośrednim otoczeniu. – Tego lata miałem zostać ojcem chrzestnym półrocznego dziecka. Poprosił mnie o to pan Józef Fila, znajomy rodziców. To maleńkie dziecko Ukraińcy rozerwali na pół, a jego matkę zastrzelili – opowiadał mi Zygmunt Maguza.

Po rzezi na Wołyniu został praktycznie sam – wcześniej Sowieci wywieźli daleko na wschód jego rodziców i młodszą siostrę (cudem przeżyli wojnę i wrócili do Polski). Osiemnastoletni chłopak musiał więc sobie poradzić w pojedynkę. Zaraz po pochowaniu dziadków i młodziutkiej siostry swojej matki Zygmunt Maguza uciekł do Włodzimierza Wołyńskiego – miasta, które dzięki garnizonowi niemieckiemu było poza zasięgiem banderowców. Dołączył tam do grupy młodych mężczyzn, którzy nie zamierzali bezczynnie przyglądać się mordom na Polakach.

Pod skrzydłami „Jastrzębia"

Radomianka Janina Wójcik (rocznik 1927) w Zasmykach miała spędzić jedynie wakacje 1939 r. Miał to być kilkutygodniowy pobyt u babci, jednak wojna napisała dla niej zupełnie inny scenariusz. Początkowo mogło się wydawać, że ta urocza, leżąca ok. 20 km na południe od Kowla wieś znajdowała się na uboczu wielkiego wojennego dramatu. Względny



Władysław Czermiński „Jastrząb" FOT. BIBLIOTEKA TEATR NN

spokój przerwały doniesienia o zbrodniczej działalności ukraińskich nacjonalistów.

„Ukraińcy przychodzili do naszej wsi na »razgawory« (rozmowy). Mówili, żebyśmy oddali im broń, bo są do nas przyjaźnie nastawieni – wspominała przed laty Janina Wójcik w rozmowie ze mną. – Oczywiście nasi wiedzieli, o co chodzi Ukraińcom, więc nikt nie myślał o oddawaniu broni".

Pierwsza zbrodnia, którą zapamiętała pani Janina, została dokonana na jej dalszej rodzinie. „Ci ludzie przyjechali do nas, do Zasmyk, w odwiedziny. W drodze powrotnej, gdy przejeżdżali przez Las Lityński, napadli na nich ukraińscy nacjonaliści. I zamordowali. Oprawcy nawet nie zakopali ciał swoich ofiar, tylko zakopali w liściach i igliwiu. Martwych znaleziono dopiero po paru dniach" – opowiadała Janina Wójcik.

W czasie ludobójstwa na Wołyniu w Zasmykach powstała silna samoobrona. W sierpniu 1943 r., kilka tygodni po makabrycznej „krwawej niedzieli", do Zasmyk dotarł oddział por. Władysława Czermińskiego ps. Jastrząb.

„Nie było ich więcej niż dwudziestu, ale za to wszyscy mieli broń. Pewien Ukrainiec ostrzegł nas, że UPA szykuje się do ataku na Zasmyki. 31 sierpnia o trzeciej nad ranem nasz porucznik »Jastrząb« zaszedł całe gniazdo tych ukraińskich bandytów pod sąsiednią wsią. Ukraińcy zostali zaskoczeni i zupełnie pobici – pani Janina nawet po 70 latach z przejęciem wspominała »Jastrzębia«. – Ta walka przekonała UPA, że jednak nie będzie tak łatwo z naszymi. »Jastrząb« nas wszystkich uratował!".

Informacje o działalności polskiej samoobrony z Zasmyk sprawiły, że Polacy z okolicy szukali w tej wsi azylu. Zasmyki szybko zaczęły dosłownie pękać w szwach. „Tylko u mojej babci żyło 25 osób z okolicy" – mówiła pani Janina.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1943 r. Ukraińcy zaatakowali sąsiednie wioski. Do Zasmyk, gdzie od jesieni działał warszawski doktor



Żołnierze 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl dc2966a19e



Cmentarz 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK w Zasmykach FOT. IPN

Grzegorz Fedorowski ps. Gryf, przywożono potwornie okaleczonych ludzi. „Byłam jeszcze kompletnie »zielona« w kwestiach medycznych, ale przynajmniej nie robiło mi się słabo. Od dziecka nie byłam wrażliwa na widok krwi" – opowiadała pani Janina.

Rola Zasmyk jako oazy spokoju skończyła się, gdy 19 stycznia 1944 r. na wieś uderzyli Niemcy wspierani przez Ukraińców. Połowa miejscowości została spalona. Pani Janina ewakuowała się – wraz z innymi mieszkańcami – do pobliskiej wsi Kupiczów, gdzie doktor „Gryf" stworzył szpital polowy. W Kupiczowie Janina Wójcik złożyła przed doktorem przysięgę. Przyjęła pseudonim Szarotka i w ten sposób została sanitariuszką 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, świeżo powstałej jednostki, która miała wziąć udział w akcji „Burza".

„Wraz z utworzeniem dywizji pojawiło się w końcu względne poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa. Wszyscy młodzi garnęli się, żeby jakoś włączyć się do pomocy" – mówiła pani Janina.

Prawdziwy chrzest bojowy Janina Wójcik przeszła 16 lutego 1944 r., po kolejnej akcji por. „Jastrzębia", który działał już w ramach dywizji. W czasie próby rozbicia bandy UPA pod Ośmigowiczami jego oddział został mocno wykrwawiony. Do Kupiczowa zaczęli docierać ciężko ranni.

„Najbardziej przeżyłam operację żołnierza po »miękkim postrzale w brzuch«, jak to wówczas lekarze nazywali. Pamiętam jak dziś prymitywne warunki, w których przyszło operować tego człowieka – wspominała Janina Wójcik. – Proszę sobie wyobrazić, że po rozcięciu brzucha chirurg wyjął wnętrzności tego człowieka do drewnianej balii. Tak wyglądała praca w szpitalu polowym! Lekarz próbował wyciągnąć z jego jelit śrut, potem go zaszył, ale niestety ten żołnierz przeżył jeszcze tylko jedną dobę...

Niedługo 17-letnia Janina Wójcik rozpoczęła ze swoją matką długą przeprawę do zachodniej Polski.



Zygmunt Maguza FOT. DOMINIK RÓŻAŃSKI

Kurierka

„W Rymaczach [wieś niedaleko Lubomla – przyp. red.] chcieli ze mnie zrobić sanitariuszkę. Wszyscy wychodzili z założenia, że jeżeli w partyzantce pojawia się dziewczyna, to musi zostać sanitariuszką – opowiadała przed laty w rozmowie ze mną Eugenia Borkowska (rocznik 1921). – W Wielkanoc 1944 r. weszliśmy do chałupy, gdzie dowieźli porąbanych przez Ukraińców Polaków. Zapach krwi i potu mnie osłabiał – po prostu mdlałam. Siostra Helena, która przeprowadzała rekrutację, powiedziała mi wtedy: »Z ciebie nie będzie żadnej sanitariuszki«. Fakt, zupełnie się do tego nie nadawałam".

Jednak pani Eugenia miała inne talenty. Gdy przez Wołyń przelewała się fala banderowskiego ludobójstwa, ta 22-latka z Kowla, nieraz pokazała, że ma stalowe nerwy i jest w stanie wejść nawet do jaskini lwa. Zwłaszcza jeżeli można było w niej zdobyć broń tak potrzebną do walki z ukraińskimi nacjonalistami.

„Dowiedziałam się, że ktoś po drugiej stronie Bugu ma dla nas broń. Wtedy karabin był na wagę złota. Łódką nie dało się go jednak przewieźć. Po jednej stronie mostu stał posterunek niemiecki, a po drugiej węgierski. Ja jednak miałam znajomego Węgra, który był oficerem węgierskiej armii. Zaoferował, że dla bezpieczeństwa pójdzie ze mną przez most. Byłam przebrana w mundur węgierskiego żołnierza, a włosy miałam schowane pod tą ich charakterystyczną czapką wojskową. Na szczęście wszystko poszło jak po maśle. Zdobycie karabinu było dla nas wszystkich wielkim świętem! Wielu Węgrów było bardzo porządnych i pomagało Polakom. Kilku Węgrów gościliśmy nawet u nas w Rymaczach na śniadaniu wielkanocnym" – opowiadała pani Eugenia.

Moja rozmówczyni w czasie wojny dzięki bratu znalazła zatrudnienie na kolei w Lubomlu. Jej praca dla podziemia zaczęła się od tego, że dzięki oficjalnym niemieckim dokumentom zezwalającym na przemieszczanie się koleją mogła rozwozić po okolicy biuletyny AK.

Gdy doszło do sformowania 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty, Eugenia Borkowska zaangażowała się w działalność w Rymaczach, jednym z bastionów polskiej partyzantki na Wołyniu.

O ile wcześniej pani Eugenia wielokrotnie miała mnóstwo szczęścia, o tyle sytuacja, do której doszło niedługo po Wielkanocy w 1944 r., mogła – przynajmniej początkowo – wyglądać na koniec jej działalności w podziemiu. Kompletnym przypadkiem została bowiem pochwycona w Rymaczach przez esesmana, który postanowił zrobić z niej w Lubomlu sekretarkę.

Pani Eugenia do końca życia nie rozumiała, dlaczego esesman zdecydował się wydać jej przepustkę, dzięki której była w stanie ewakuować swoich rodziców z pobliskiego – obleganego już przez Sowietów – Kowla. Po powrocie do Lubombla esesman... wystawił pani Eugenii i jej rodzicom dokumenty podróżne, dzięki którym wszyscy oni mogli uciec

eprasa.pl dc2966a19e



Odznaka pamiątkowa 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK

przed zbliżającym się frontem do rodziny pod Warszawą.

Nowe dokumenty podróżne pozwoliły też Eugenii Borkowskiej na podjęcie się kurierskiego zadania – miała przewieźć do Warszawy do dowództwa meldunek o sytuacji na Wołyniu.

Ostatecznie Eugenia Borkowska wykonała siedem kursów między Wołyniem a Warszawą. W jedną stronę jeździła z meldunkami, a w drugą z rozkazami i pieniędzmi dla oddziałów.

O włos od śmierci

Wróćmy do historii Zygmunta Maguzy, który wraz z lipcowym apogeum mordów na Wołyniu został praktycznie sam. Po pogrzebaniu dziadków i 11-letniej siostry swojej matki Zygmunt Maguza uciekł do Włodzimierza Wołyńskiego. Zorganizowała się tam już grupa młodych Wołyniaków, którzy zamierzali walczyć z banderowską partyzantką.

Właśnie w taki spontaniczny sposób powstawały oddziały, z których została stworzona 27. Wołyńska Dywizja Piechoty.

Wiadomo było, że w kolonii Bielin powstała jedna z głównych baz polskiej samoobrony na Wołyniu. Przeniosła się tam z Włodzimierza Wołyńskiego grupa ponad 20 młodych mężczyzn, w której skład wchodził też mój rozmówca. I to właśnie w Bielinie Zygmunt Maguza oficjalnie stał się żołnierzem, składając tam przysięgę. Przez sześć długich miesięcy jedynym zadaniem tych żołnierzy była obrona rodaków żyjących w okolicy przed atakami ze strony banderowców.

W czasie służby w samoobronie w Bielinie Zygmunt Maguza przeżył historię, która pokazuje, jak wiele może znaczyć na wojnie zwykły przypadek.

„Pewnego dnia mieliśmy pojechać z Bielina furmanką na patrol. Był to jednak dość zimny poranek, więc pobiegłem po coś ciepłego do naszej bazy. Gdy wróciłem, moi koledzy już odjechali. Krzyczałem za nimi: »Zaczekajcie, zaczekajcie!«. Ale oni jechali dalej – opowiadał mi Zygmunt Maguza. – Byłem strasznie rozżalony, że nie poczekali na mnie. Godzinę później przybiegł do bazy sam koń, ciągnąc za sobą złamany dyszel. Dalej w rowie znaleźliśmy furmankę i pięciu zabitych. Banderowcy zabrali im broń i ubrania. Gdyby nie ten chłód, też bym leżał z nimi wtedy w rowie".

Zygmunt Maguza dołączył do 27. WDP AK i przeszedł z nią szlak bojowy aż do rozbrojenia tej jednostki przez Sowietów. Następnie został wcielony do armii Berlinga. Zygmunt Maguza spisał pod koniec życia wspomnienia – „Żołnierskie losy Wołyniaka". Profesor Wiesław J. Wysocki następującymi słowami podsumował tę biografię: „Ogrom doświadczeń, bagażu pokoleniowego, tragedii rodzinnych, meandrów osobistych i dużej dozy szczęścia". Takie właśnie było życie tego Wołyniaka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl dc2966a19e



1939 r. / Kampania wrześniowa

Spełniony obowiązek

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. historyk Zdzisław Zmigryder-Konopka zgłosił się – mimo że był ciężko chory i niezdolny do służby wojskowej – do Dowództwa Okręgu Korpusu nr I w Warszawie. Był weteranem odsieczy Lwowa w listopadzie 1918 r. podczas walk polsko-ukraińskich i kawalerem Orderu Virtuti Militari otrzymanego za wyniesienie z pola boju rannego dowódcy. „Wybitnie inteligentny, obowiązkowy i pilny, pracuje ofiarnie. Wykazał dużo inicjatywy i samodzielności i pewności siebie. Wyszkolenie i wiadomości wojskowe b. duże […]. Bardzo dobry oficer z bardzo dobrymi kwalifikacjami na dowódcę komp.[anii] strzeleckiej" – pisano w opinii służbowej o Zmigryderze-Konopce, kapitanie rezerwy 36. pp Legii Akademickiej.

Nie otrzymał przydziału, gdyż jako senator RP nie był zobowiązany do służby wojskowej. Przed swoimi studentami nie krył jednak z tego powodu niezadowolenia i kiedy wybuchła wojna, wbrew ich prośbom, by skorzystał z przysługującego mu zwolnienia, zgłosił się ponownie do wojska i opuścił rodzinną Warszawę, której już nigdy nie było mu dane zobaczyć.

Nieobjęci służbą, czyniący swoją powinność

Takich oficerów WP pochodzenia żydowskiego niezdolnych już do służby wojskowej, ale zgłaszających się do wojska w chwili napaści Niemców na Polskę było więcej. „6 września mój najukochańszy tatuś – kapitan – lekarz polskiej armii, w swoim nowym mundurze zakładał, stojąc na drabinie w stołowym pokoju, zaciemniające sztory. Zakładał te sztory dziesięć minut przed wyjściem na dworzec, przed wyjściem w świat na wojnę. A do mnie powiedział, gdy chciałam go zastąpić, »dosyć się napracujesz, kiedy mnie nie będzie«. Żegnaliśmy się, płakałam, a on powiedział pogardliwie »baba«, ale tak jakoś miękko. Po chwili obejmował i całował matkę… i płakał. Pierwszy raz widziałam tatusia płaczącego" – wspominała Noemi Makower.



Marek Gałęzowski

Oprócz zmobilizowanych oficerów WP pochodzenia żydowskiego byli także rezerwiści, niezdolni już do służby, lecz mimo to, w obliczu wojny z Niemcami, zgłaszający się do wojska

Tym najukochańszym ojcem był kpt. Eliasz Hirsz Wigdorowicz, który stopień oficerski otrzymał jeszcze w czasie wojny z bolszewikami. Wówczas to, mimo choroby serca i niedomagania słuchu, objął funkcję ordynatora w szpitalach wojskowych w Łęczycy, a później w Łodzi. „Odznaczał się sumiennością w wykonywaniu swych obowiązków, które pełnił bardzo chętnie i z pożytkiem dla służby […]. Spotykał się z uznaniem dla swej działalności i serdecznego stosunku do chorych" – pisano o nim w opinii służbowej.

W 1939 r. miał 58 lat i opuszczał właśnie Warszawę z jednym ze szpitali polowych, z którym w drugiej połowie września dostał się do niewoli sowieckiej. W pierwszym liście z obozu w Kozielsku informował, że „dobrze tu nie jest, ale przecież wiecie, że ja dużo nie potrzebuję". Znajomy lekarz – jeden z nielicznych zwolnionych z Kozielska w końcu 1939 r. – odwiedził rodzinę Wigdorowicza i „opowiadał nam, jak bardzo ojciec jest na obozie kochany, mówił, że zorganizował tam bardzo uczęszcza-

eprasa.pl dc2966a19e



Polska piechota, 1939 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

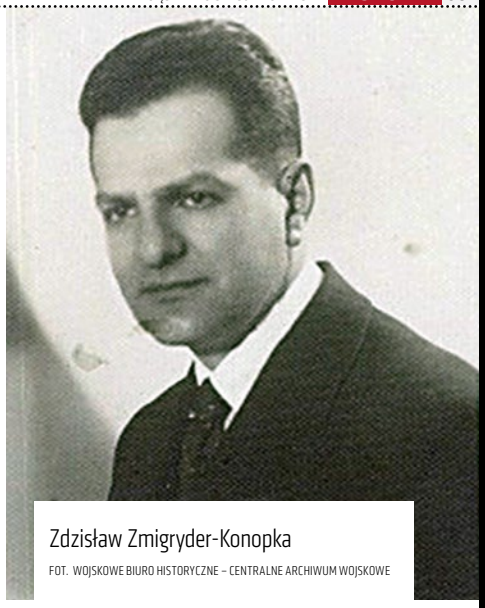
ne kursy angielskiego". Zginął wiosną 1940 r., wśród innych polskich oficerów, z rąk sowieckich, zamordowany strzałem w tył głowy.

W tej samej mogile pomordowanych przez NKWD oficerów spoczął starszy o dwa lata od Wigdorowicza kpt. Gustaw Baumfeld, podobnie jak tamten od dawna będący w stanie spoczynku. Absolwent prestiżowego krakowskiego Gimnazjum św. Jacka, w odróżnieniu od innych bohaterów tej opowieści jeszcze w czasie studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim zmienił wyznanie na rzymskokatolickie. Przed pierwszą wojną pracował jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum w Sanoku: „Umiał nas zająć, bo bardzo ładnie czytywał poezje M.[ieczysława] Romanowskiego" – wspominał Franciszek Bielak, historyk literatury, wykładowca UJ. Pracę dydaktyczną Baumfeld łączył z dziennikarstwem oraz krytyką literacką, badając twórczość Stanisława Wyspiańskiego i poetów romantycznych, sporadycznie także zajmując się tłumaczeniami z niemieckiego i rosyjskiego (m.in. dramat Antoniego Czechowa „Mewa", a przekład ten miał trzy wydania). I wreszcie należał do pionierów ruchu przeciwalkoholowego na ziemiach polskich, publikując w 1906 r. w Krakowie rozprawkę „O jednym strasznym wrogu ludzkości, czyli o alkoholu".

Chociaż w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej miał już 36 lat i ustabilizowane życie zawodowe, to wstąpił do Legionów Polskich. Przeszedł cały szlak bojowy 1. pułku artylerii na czele z kampanią wołyńską, za co w latach międzywojennych odznaczono go Krzyżem Niepodległości. Napisał pierwszą książkę, dotyczącą dziejów tego pułku – pierwszego artyleryjskiego w odrodzonym wojsku polskim. Służył dalej w artylerii w czasie zmagań o granice Rzeczypospolitej. W charakterystyce jego służby z 1921 r. podkreślano wybitne poczucie honoru i godności własnej, bardzo dużą inteligencję; bardzo dobrze oceniano jego ideowość w pojmowaniu służby w armii narodowej, stosunek do podwładnych i dbałość o żołnierza, a także obowiązkowość, pilność i poczucie obywatelskie, bardzo dobre zachowanie w służbie i poza nią. „Oficer energiczny, pilny i nadzwyczaj sumienny. Powierzoną sobie komp.[anię] park.[u] uzbr.[ojenia] prowadzi we wzorowym porządku. Poświęca się z zapałem sprawie wychowania i prowadzenia żołnierza i pod tym względem zasługuje na uznanie. Poważny, taktowny i szczery". W II Rzeczypospolitej nadal uczył języka polskiego – w Korpusie Kadetów nr 3 w Rawiczu, później w gimnazjach poznańskich. We wrześniu 1939 r. z powodu wieku nie mógł być objęty mobilizacją. Ale i tak zgłosił się do służby, został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną i zgładzony w Katyniu.

Uważa się za Polaka, ideowo dobrze wyrobiony

Do wojska zgłaszali się także młodsi wiekiem od oficerów w stanie spoczynku, którzy jednak z różnych powodów nie zostali objęci mobilizacją. Podporucznik rezerwy Ludwik Cohn otrzymywał bardzo dobre opinie służbowe; stale podkreślano jego sumienność, energię, inteligencję oraz poważne traktowanie służby wojskowej. Ale to, że był jednym z obrońców polityków opozycji sądzonych w procesie brzeskim, jak również związki z radykalną częścią PPS, przypuszczalnie zdecydowało o tym, że nie został zmobilizowany. Mimo to zgłosił się ochotniczo do 36. pp Legii Akademickiej i wziął udział w obronie Warszawy, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych.



Zdzisław Zmigryder-Konopka
FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE – CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

Jednak większość oficerów pochodzenia żydowskiego – tak jak Polacy – podlegała mobilizacji i po zgłoszeniu się do swoich jednostek wyruszyła na front. W wypadku niektórych tym placem boju okazała się Warszawa. O ile Ludwik Cohn jako Warszawiak mógł udać się na swój posterunek prosto z domu, o tyle większość spośród tych oficerów, którzy mieli stać się obrońcami stolicy, przybywała czasem z odległych części kraju. Byli wśród nich zwłaszcza mieszkańcy Lwowa i województwa lwowskiego, jak ppor. rez. adwokat Leon Fisch, dowódca plutonu 40. pp „Dzieci Lwowskich", który poległ w przedostatnim dniu walk w obronie Warszawy podczas natarcia na obsadzoną przez Niemców parowozownię wolską – jak napisano w materiałach PCK – „trafiony wiązką poc[isków] km w serce przy zbiegu ul. Mszczonowskiej z torem kolejowym".

Innym oficerem WP pochodzenia żydowskiego, który służył w obronie Warszawy, był Chaim Getreu, absolwent lwowskiego VII gimnazjum

eprasa.pl dc2966a19e



Ludwik Cohn (z prawej) z Adamem Pragierem podczas procesu brzeskiego FOT. NAC

klasycznego i medycyny na uniwersytecie w Pradze, bardzo dobrze oceniony w Szkole Podchorążych Rezerwy Sanitarnych w Warszawie: „Energiczny i stanowczy. Poczucie honoru i godności własnej duże. O dużej ambicji osobistej i pracy. Pilny i obowiązkowy. Towarzysko należycie wyrobiony. W stosunku do służby wojskowej i przełożonych lojalny. Poczucie dyscypliny duże. Fizycznie wytrzymały, sprawny, ruchliwy, o bardzo dobrej wymowie […]. Wytrwały o dużej samodzielności, sumienny i dokładny w pracy. Uważa się za Polaka, ideowo dobrze wyrobiony […]. Jako młodszy lekarz wykazał chęć opanowania całokształtu zadań lekarza wojskowego, które opanował, jak też jako wykładowca".

Do tej charakterystyki dodawano, że nie pił alkoholu i nie palił, był też „materialnie bardzo niezamożny, jednakże na wygląd zewnętrzny bardzo uważający i dbały". Po nostryfikacji dyplomu na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie pracował jako lekarz chorób ogólnych w Komarnie w województwie lwowskim.

Zyskawszy w końcu stabilizację, Getreu, niski blondyn o piwnych oczach i pociągłej twarzy, uprawiający pływanie, lekkoatletykę i tenis, się ożenił. Ale rok później wybuchła wojna i jako lekarz II batalionu 26. pp wyruszył przeciw Niemcom. Najpierw jego batalion wziął udział w ciężkich walkach w rejonie Karczewa i Otwocka, by następnie bronić warszawskiej Pragi. Po kapitulacji dostał się do niewoli. Zwolniony po roku do Komarna, które znajdowało się pod okupacją sowiecką, nie mógł już wrócić. Doktor Chaim Getreu, podporucznik rezerwy służby medycznej WP, obrońca Warszawy we września 1939 r., zginął zastrzelony przez Niemców na jednej z ulic warszawskiego getta w czerwcu 1942 r.

Lepiej ginąć z bronią w ręce

Czwartego dnia od chwili napaści niemieckiej wykrwawiony w Borach Tucholskich 35. pp Armii „Pomorze" pod dowództwem płk. Jana Maliszewskiego z heroicznym uporem dążył do wyrwania się z niemieckiego okrążenia, kierując się w stronę Bydgoszczy. Ale w lesie nadleśnictwa Stronno ponownie uderzyły nań niemieckie czołgi i piechota. W pewnym momencie dowódca pułku zauważył, że lekarz I batalionu, blisko 50-letni por. Filip Stern, chwyciwszy karabin, ostrzeliwuje nacierającego wroga. „Widząc pozbawionych pomocy rannych, a jednocześnie lekarza z karabinem w rękach, krzyknąłem ostro: Rzucić broń, opatrywać rannych. Odpowiedź porucznika Sterna: Panie pułkowniku! I tak wszystkich nas wymordują. Lepiej ginąć z bronią w ręce".

Czy zastosował się do wydanego rozkazu, nie wiadomo – płk Maliszewski podaje jedynie, że chwilę później por. Stern poległ, trafiony niemiecką kulą. Podobnie jak inni oficerowie pułku, którzy zginęli w tej bitwie, został pochowany w zbiorowej mogile na cmentarzu parafialnym w Koronowie, gdzie też jego nazwisko figuruje na płycie nagrobnej. A jednak por. Stern musiał wówczas ocaleć. Badacz strat środowiska lekarskiego w czasie drugiej wojny światowej Jan B. Gliński, który nie wiedział, że ten był oficerem, i nie znał jego losów we wrześniu 1939 r., podał na podstawie wypełnionego w 1942 r. przez Sterna dokumentu, iż w czasie okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej pracował w poliklinice w Stanisławowie. Wkrótce też najpewniej zginął z rąk Niemców w zagładzie Żydów.

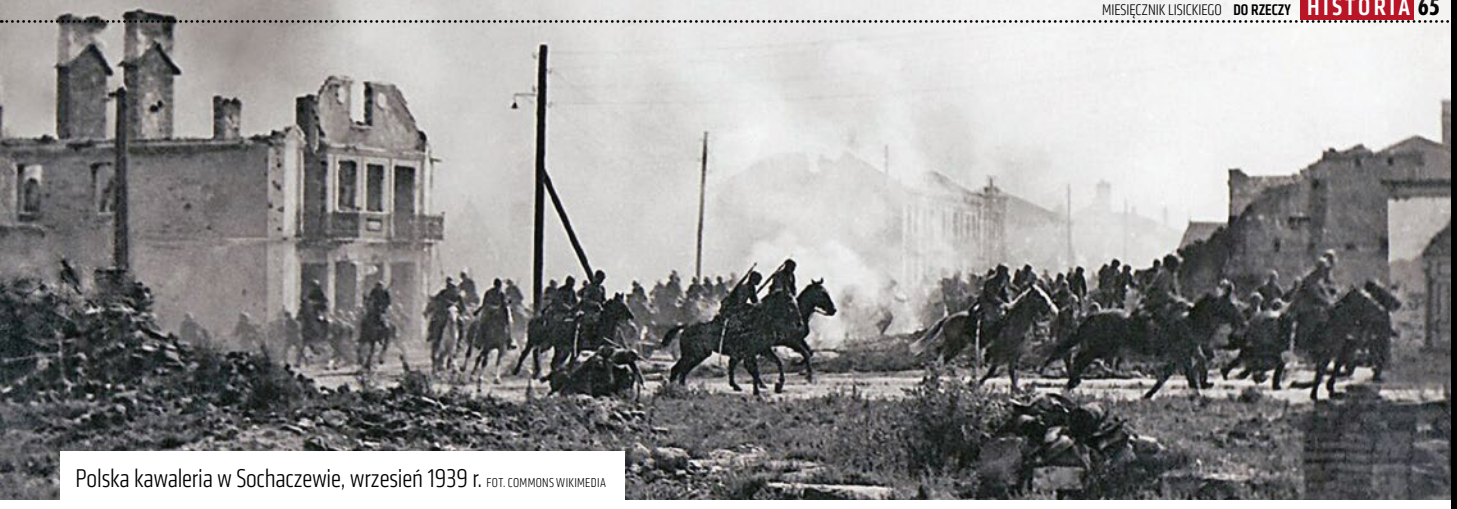
Taka omyłka nie zaszła natomiast w wypadku innych lekarzy, oficerów WP – Chaima Zelmana Kurca i Joela Goldschmieda. Pierwszy z nich, absolwent uniwersytetu w Genewie, specjalizował się w chorobach skórnych i prowadził praktykę lekarską w Łodzi. Służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Sanitarnych w Warszawie ukończył z wynikiem dobrym i stopniem podporucznika. We wrześniu 1939 r. był lekarzem II batalionu 18. pp Armii „Poznań". Poległ 14 lub 15 września 1939 r. w bitwie nad Bzurą, podczas obrony Sochaczewa, a świadkiem jego śmierci był kpt. Antoni Sygnarek z tego samego pułku: „Właściwie



Cmentarz Obrońców Warszawy przy Szpitalu Ujazdowskim

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, „STOLICA" 4 WRZEŚNIA 1983 R.

eprasa.pl dc2966a19e



Polska kawaleria w Sochaczewie, wrzesień 1939 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nie było Rynku [miejskiego], tylko zwały gruzu, a na południowym boku Rynku leżał trup lekarza baonowego ppor. dr. Kurtza Abrama" (dane Kurca kpt. Sygnarek odnotował błędnie).

Drugi ze wspomnianych, ppor. rez. Joel Goldschmied, pochodził z Krakowa, był absolwentem VII Gimnazjum Realnego i medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prowadził praktykę w rodzinnym mieście, m.in. w Szpitalu św. Łazarza, specjalizując się w chorobach wewnętrznych. Służbę wojskową odbył w tej samej szkole co Getreu i Kurc. Ukończył ją z wynikiem bardzo dobrym, został mianowany oficerem i przydzielony do Kadry Zapasowej 5. Szpitala Okręgowego. Miał bardzo dobre opinie służbowe, w których podkreślano jego dużą inteligencję, energię, poczucie honoru i koleżeńskość. „Tak pod względem wojskowym, jak i fachowości bardzo dobry" – podsumowywano w ocenie wydanej po ćwiczeniach, które odbył w 6. pułku artylerii lekkiej.

W czasie wojny z Niemcami służył jako lekarz III dywizjonu 2. pal Legionów Armii „Łódź". Ciężko ranny pod Bełchatowem został przewieziony do jednego ze szpitali żydowskich w Łodzi, gdzie zmarł 13 września 1939 r. i został pochowany na cmentarzu Doły przy ul. Strykowskiej.

*

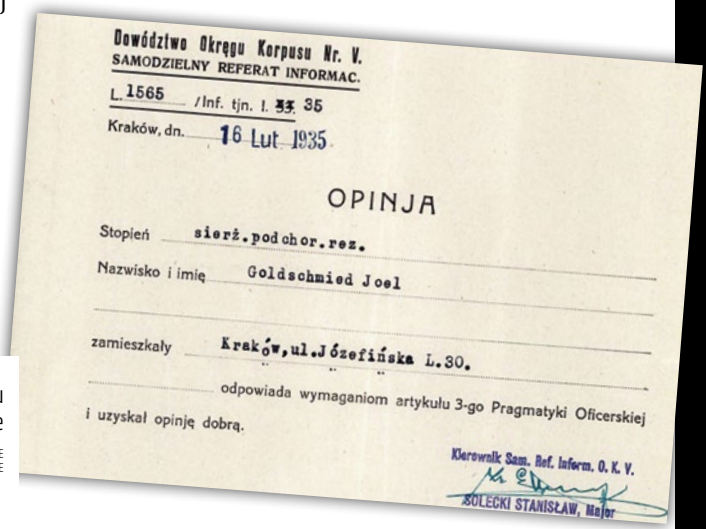
Oficerowie Wojska Polskiego pochodzenia żydowskiego, którzy licznie wzięli udział w obronie Polski przed agresją niemiecką, wspartą 17 września 1939 r. przez najazd sowiecki, znaleźli się w większości w niewoli niemieckiej, w mniejszej liczbie – sowieckiej, a ich rodziny – pod okupacją niemiecką lub sowiecką. Oficerowie, których umieszczono w niemieckich obozach jenieckich zwanych oflagami, z reguły przeżyli wojnę. A ci, którzy trafili do niewoli sowieckiej, w większości zostali wymordowani wiosną 1940 r. Oficerowie rezerwy, którzy nie podlegali mobilizacji i pozostali na terenach okupowanych przez nazizm i komunizm, zostali w większości zamordowani. Rodziny oficerów Żydów przebywających w oflagach czy też tych, którzy przedostali się na Zachód do Polskich Sił Zbrojnych, z reguły zginęły w niemieckich obozach zagłady. A te, które pozostały pod okupacją sowiecką, w większości deportowano. Zarówno oficerów, jak i rodziny przebywające na terenach okupowanych przez ZSRS Niemcy wymordowali w ciągu dwóch lat po ich zajęciu na przełomie lipca i czerwca 1941 r. Podobnie jak uczynili to z niemal całą ludnością żydowską znajdującą się na terenach Polski zajętych we wrześniu 1939 r.

Wśród tych, którzy uniknęli niewoli i dotarli do armii polskiej powstającej we Francji, był dawny legionista, ppor. Leon Holzer, prezes Związku Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski. W przededniu wybuchu wojny był jednym z tych, którzy sygnowali odezwę związku, w której w chwili zagrożenia ojczyzny pisano, że „obrona Niepodległości jest najwyższym nakazem i najświętszym obowiązkiem [...]. Istoty tego nakazu i wielkości tego obowiązku nie trzeba nikomu tłumaczyć. Wolny i Niepodległy byt Rzeczypospolitej gwarantuje polityczną wolność całego Narodu, a przeto i ogółu ludności żydowskiej w Polsce".

Po kampanii 1939 r. został internowany w rumuńskiej Braile, szybko jednak zbiegł do Bukaresztu, uzyskał wizę do Francji i tam wstąpił do 1. Dywizji Grenadierów Armii Polskiej. Uczestniczył w walkach z Niemcami w rejonie Linii Maginota, a po klęsce Francuzów znalazł się w oflagu. Gdy jeszcze przebywał w Rumunii, zwrócił się doń kierownik miejscowej organizacji syjonistycznej, proponując mu, żeby udał się do Palestyny. Leon Holzer odmówił, stwierdzając, że „jako polski oficer musi pójść tam, gdzie wojsko polskie się znajduje".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.



Dowództwo Okręgu Korpusu Nr. V.
SAMODZIELNY REFERAT INFORMAC.
L. 1565 /Inf. tjn. l. 35
Kraków, dn. 16 Lut 1935

OPINJA

Stopień sierż.pod.chor.rez.
Nazwisko i imię Goldschmied Joel
zamieszkały Kraków, ul. Józefińska L.30.
odpowiada wymaganiom artykułu 3-go Pragmatyki Oficerskiej
i uzyskał opinję dobrą.

Kierownik Sam. Ref. Inform. O. K. V.
SOLECKI STANISŁAW, Major

Dokument z opinią o Joelu Goldschmiedcie

FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE – CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

eprasa.pl dc2966a19e



Stanisław Ignacy Witkiewicz, „Portret Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM ANNY I JAROSŁAWA IWASZKIEWICZÓW W STAWISKU

XX w. / Kto zasmakował w autorze „Sławy i chwały”

Oczarowanie Iwaszkiewicza



Krzysztof Masłoń

Dawno temu Adam Pomorski napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej”. Ze wszystkimi tego następstwami – dobrymi i złymi

eprasa.pl dc2966a19e



Medal laureata Międzynarodowej Leninowskiej Nagrody Pokoju na sowieckim znaczku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POCZTA ZSRR

O pochówku Jarosława Iwaszkiewicza w mundurze górniczym pisano już tysiące razy i powracanie do tego tematu nie ma najmniejszego sensu. Wciąż jednak zastanawia – myślę, że nie tylko mnie – to, że człowiek, który ze łzami szczęścia przyjął wybór Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, który rozumiał i krajowe, i międzynarodowe implikacje tego faktu („Z tego poniżenia, w jakim trzymali nas Ruscy, Niemcy, z tych szyderstw, w jakich nas trzymali Żydzi amerykańscy, nagle ten splendor…" – notował w dzienniku), mógł ledwie po roku, przyjęty przez Edwarda Gierka, przyrównać go do papieża („Wczoraj audiencja u E.G. trwała całe trzy kwadranse. Ale tak samo jak w kwadransowej audiencji u papieża uderzył mnie fakt, jak bardzo zwyczajni są ludzie, którym Bóg »powierzył honor Polaków«"). A cóż wspólnego z honorem, a tym bardziej z Bogiem miało wybranie przez czerwonych takiego czy innego genseka?

Dlatego też z rezerwą przyjmowałem słowa Andrzeja Gronczewskiego o tym, że polityka nie była żywiołem twórcy „Czerwonych tarcz", że jakoby „wciąż od niej uciekał, stronił, szukał jakby »trzeciego miejsca«". I że nie umiejąc odnaleźć się wśród opozycji, sądził, iż „wystarczy, gdy pomniejsza się straty, jakie groziły kulturze polskiej".

W podobnym duchu pisane były eseje Beaty Izdebskiej-Zybały zebrane w tomie „Iwaszkiewicz. Przyjaciele i wrogowie", wydanym właśnie przez wydawnictwo Marginesy. Szczególnie zainteresował mnie szkic dotyczący szans bohatera tej książki na Literacką Nagrodę Nobla. Jak się okazuje, liczono na nią po powstaniu „Sławy i chwały", ta jednak została przyjęta z – powiedzmy – mieszanymi uczuciami, a gwóźdź do jej trumny wbiły londyńskie „Wiadomości", publikując wielce krytyczną recenzję po ukazaniu się trzeciego tomu powieści. Recenzja wyszła spod pióra Jana Nepomucena Millera, zarzucającego autorowi daleko posuniętą służalczość wobec władzy. Uznając tekst za krzywdzący, Anna Iwaszkiewicz napisała wtedy list do redaktora naczelnego „Wiadomości", znanego jej od 40 lat Mieczysława Grydzewskiego, ze słowami: „Nie potrzebujemy fałszywych przyjaciół, gorsi są od jawnych wrogów".

W obronie męża pani Anna wytoczyła najcięższe argumenty. „W liście – czytamy w książce »Iwaszkiewicz. Przyjaciele i wrogowie« – szczegółowo analizowała zarzuty recenzenta, wykazując jego ignorancję, głupotę oraz brak wiedzy. Odnosiła się przy tym do powojennego spotkania Grydzewskiego z Iwaszkiewiczem, podczas którego rozmawiali o okupacji. Z tego powodu wszystkie słowa recenzenta na ten temat uznała za »potwarz«, z której rozmiarów Grydzewski musiał zdawać sobie sprawę.

Anna w liście dodała, że »cała młodzież z naszej rodziny nie tylko należała do AK, ale prawie cała zginęła«. »Wie pan również na pewno – kontynuowała – jacy ludzie i jakie sprawy przewijały się przez Stawisko, że byli u nas ludzie, którzy się ukrywali z tych czy innych powodów, akowcy, młodzież, działacze konspiracyjni, Żydzi, były gazetki, i tajna nauka, i tajne zebrania, jednym słowem wszystko, za co każde z nas, każdego dnia mogło dostać kulę w łeb albo pojechać do Oświęcimia. Przez ten czas, przez te straszne lata wy, którzy uciekliście we wrześniu 39-go z tonącego okrętu, siedzieliście bezpiecznie w Londynie i uważaliście, że przeżyliście straszne rzeczy, bo były naloty na miasto! My naloty też przeżywaliśmy i mogę Panu zaręczyć, że to było o wiele mniej straszne niż to, na co narażaliśmy się w codziennym życiu«. Po czym dodała stanowczo: »Wy nie macie żadnego prawa sądzić o czymkolwiek z naszego życia«.

Konsekwencją listu była trzyletnia przerwa w korespondencji Grydzewskiego z Iwaszkiewiczem, który dopiero na wiadomość o chorobie redaktora zareagował listem z 16 stycznia 1967 roku".

A „Sława i chwała", wielka epicka powieść, w swoim trzecim tomie zawierała, niestety, fragmenty jawnie prokomunistyczne. Czy to one sprawiły, że książka ta, wbrew oczekiwaniom, nie przybliżyła autora do Nagrody Nobla? Beata Izdebska-Zybała wylicza i inne argumenty, które zaszkodziły Iwaszkiewiczowi: „Akademia Szwedzka często preferowała bowiem wyraźnie nowatorskie formy, podczas gdy »Sława i chwała« pozostaje dziełem na wskroś klasycznym i tradycyjnym. Nie bez znaczenia było również to, że samego Iwaszkiewicza postrzegano jako pisarza zbyt blisko związanego z władzami PRL, co mogło osłabiać jego kandydaturę. Dodatkowo, i w tym tkwi pewien paradoks, jego najwybitniejsze utwory – »Brzezina«, »Panny z Wilka« czy »Matka Joanna od Aniołów« – są krótsze, bardziej skondensowane, formalnie wycyzelowane. »Sława i chwała« natomiast bywa nierzadko oceniana jako powieść nierówna, w której obok partii wybitnych zdarzają się również te słabsze".

W rydwanie szaleńców

Tak czy inaczej pisarz był wielokrotnie zgłaszany do najwyższej literackiej nagrody. Z udostępnionych archiwów wynika, że miało to miejsce w latach 1957, 1963, 1965, 1966 i 1969. Ponieważ Iwaszkiewicz zmarł w roku 1980, z dużą dozą pewności można wnioskować, że takie zgłoszenia i w ósmej dekadzie XX w. miały miejsce.

W wyścigu po Nobla wyprzedzali go m.in. pisarze rosyjscy czy – jak wtedy mawiano – sowieccy. W 1965 r. uhonorowany został Michaił Szołochow za „Cichy Don". Pięć lat później nagrodzony został twórca „Archipelagu GUŁag" Aleksander Sołżenicyn, Iwaszkiewicz zaś, jak na ironię, otrzymał Nagrodę Leninowską, która – jak zanotował w dzienniku – spadła

eprasa.pl dc2966a19e



Scena ze spektaklu TVP „Chłodna jesień". Gustaw Holoubek w roli pisarza Aleksa FOT. INPLUS/EAST NEWS

na niego „jak śnieg w lecie". Znamienne też, że podczas zjazdu Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju pisarz przyznanie Nobla Sołżenicynowi nazwał „polityczną hecą". W słuszność uhonorowania nagrodą Szołochowa nie wątpił, choć chyba znane mu były domniemywania, że w istocie ktoś inny napisał epopeję kozacką „Cichy Don". A sam Szołochow w wątpliwy sposób wsławił się stalinowskim „Zaoranym ugorem" i, bodaj jeszcze bardziej, ubolewaniem nad tym, że publikujący za granicą pisarze – Andriej Siniawski i Julij Daniel – uniknęli kary śmierci.

Patrząc na listę laureatów Literackiej Nagrody Nobla, trudno jednak nie zgodzić się z Eustachym Rylskim, który uważał, że należała się ona Iwaszkiewiczowi może bardziej niż innym pisarzom polskim XX w. A „Panny z Wilka" nazywał absolutnym arcydziełem prozatorskim, co w ustach autora „Stankiewicza" i „Warunku" ma swoją wymowę. Do kwestii Nobla dla Jarosława Iwaszkiewicza odniósł się zresztą Rylski w swoim dramacie z 1990 r. „Chłodna jesień", spopularyzowanym poprzez wyreżyserowany przez Janusza Zaorskiego spektakl Teatru Telewizji, w którym w rolę obchodzącego akurat swoje 70. urodziny pisarza wcielił się Gustaw Holoubek. Nazwisko Iwaszkiewicza naturalnie w dramacie nie pada, a pisarz otrzymał miano Aleksandra Rohatyńskiego.

Po latach bohaterem powieści „Na Grobli" nazwie Rylski łudząco podobnego do Iwaszkiewicza pisarza Aleksandra Sewerynowicza. „Nietrudno odnaleźć wiele cech łączących literackiego bohatera z autorem »Sławy i chwały«, cenionym za twórczość, ale krytycznie ocenianym za zbyt bliskie stosunki z komunistyczną władzą. »We mnie nigdy nie było ptasiego oczarowania komunizmem, paryskiej inteligencji znudzonej monotonią mieszczańskiego ładu. We mnie było proste oczarowanie dekadenta witalnością zwycięzcy, który we mnie zasmakował. Być w rydwanie szaleńców miażdżącym wszystko po drodze też ma swoją wartość, jak się do niej dorasta« – wyjaśnia Sewerynowicz swoje życiowe wybory".

No i bardzo dobrze!

O ile szanse na Nobla dla Iwaszkiewicza roztrząsane były wielokrotnie, o tyle mało kto wiedział, a dziś jest to już wręcz wiedza tajemna, że jednym z polskich kandydatów do tej nagrody był Julian Stryjkowski, przez lata przyjaciel Iwaszkiewicza i pracownik „Twórczości", której redaktorem naczelnym – co uświadamiam młodzieży – był Iwaszkiewicz właśnie. Zgłaszany do Nobla był Stryjkowski kilkakrotnie, a rekomendował go do nagrody Polski PEN Club. W książce Beaty Izdebskiej-Zybały czytamy: „Na starość nie krył zawodu, że go nie doceniono. Uważał, że jego praca jest »zbyt trudna i zbyt prawdziwa«. Mówił w wywiadzie, że Żydzi w świecie nie dość go popierali. Również ocaleni z Holocaustu, ponieważ »chcieli upiększenia, polerowania ich życia«. Ze zrozumieniem uznawał, że nie można »ciągle widzieć się w prawdziwym lustrze, gdy jest się starym i brzydkim«.

Jego szanse nie były duże, zwłaszcza po roku 1978, gdy Nagrodę Nobla otrzymał Isaac Bashevis Singer, który stał się znacznie popularniejszy za granicą, w tym także w Stanach Zjednoczonych i Izraelu. Singer ukazywał świat żydowski w jaśniejszych barwach, niemal mitologizował go, tymczasem Stryjkowski odczuwał przymus pokazywania żydowskiego świata w Polsce z jego blaskami i cieniami. Artur Sandauer zarzucał mu nawet, że przerysował brzydotę żydowskich miasteczek, nie tylko zewnętrznych strojów ich mieszkańców, ale również języka (żargonu), którym się posługiwali. Krytyk uznał, że pomimo dobrych intencji Stryjkowski »żywi się wyobrażeniami czerpanymi ze starego antysemickiego zbiornika«. Podejrzewał go, że pisał zgodnie z »wyobrażeniami goja«, który oczekuje egzotyki, czegoś, co pozwalałoby mu na potwierdzenie zakorzenionych uprzedzeń".

Jeśli chodzi o wzajemne stosunki Iwaszkiewicza i Stryjkowskiego, pełne rozczarowań i kłótni, to wcale nie decydował o nich fakt, że obaj pisarze byli homoseksualistami. I nie miała racji Maria Dąbrowska, utrzymując, że panowie są kochankami. Ale, paradoksalnie, jakieś znaczenie to miało. „Otóż Iwaszkiewicz zwierzał się Stryjkowskiemu z uczuciowych kłopotów, a ten potrafił i chciał go słuchać, i sprawiał wrażenie, że te zwierzenia rozumie". Naprawdę poróżniła ich polityka. W 1964 r., po Liście 34 podpisanym przez Stryjkowskiego, co spowodowało wściekłość Iwaszkiewicza, ten ostatni zanotował w dzienniku: „Stryjkowski – największe rozczarowanie mojego życia".

Narastały też różnice w ocenianiu przez nich literatury. Doszło w końcu do tego, że kierujący w „Twórczości" działem prozy Stryjkowski odmówił druku opowiadania swojego szefa! Ale po tym, gdy w 1970 r. autor „Głosów w ciemności" wrócił ze Stanów Zjednoczonych po

eprasa.pl dc2966a19e

pobycie tam na stypendium, najserdeczniej w redakcji przyjął go nie kto inny, jak Iwaszkiewicz, który miał powiedzieć: „To cud, że wróciłeś. To najlepsza wiadomość, jaką od lat miałem".

Przyjaźń ich stawała się jednak, jak byśmy dziś powiedzieli, coraz bardziej szorstka. Stryjkowski angażował się w rozmaite przedsięwzięcia opozycyjne, a swój „Wielki strach" opublikował w drugim obiegu. Ale największy rezonans miała ich kłótnia na temat Edwarda Stachury i jego utworu pt. „Fabula rasa". Iwaszkiewicz polecił go drukować. Stryjkowski potraktował sprawę ambicjonalnie i „rzucił papierami".

Gdy opuścił redakcję, Iwaszkiewicz krzyknął za nim: „No i bardzo dobrze!", dodając podobno: „»Cholero [...], pismo stworzyło się dla ciebie, żebyś miał gdzie wydrukować «Głosy w ciemności»«.

W tym sporze, jak ocenia Piotr Szewc, racja była po stronie Iwaszkiewicza, uznającego, że są pisarze, których teksty »Twórczość« powinna, a nawet musi drukować – »na ich odpowiedzialność«. Jednocześnie redaktor naczelny publicznie mówił, że Stryjkowski jest filarem miesięcznika. Zaś Jerzy Lisowski, zastępca redaktora naczelnego, który na co dzień spotykał się z nim w redakcji na Wiejskiej, powtarzał, że Stryjkowski był przyjacielem trudnym i wymagającym" („Iwaszkiewicz. Przyjaciele i wrogowie").

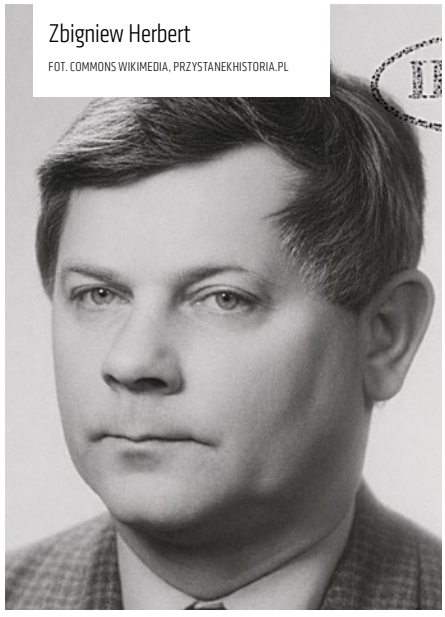


Julian Stryjkowski i Jarosław Iwaszkiewicz

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

Czy czynisz pokutę?

Zbigniewa Herberta, innego polskiego twórcę, który Nobla nie doczekał, a należał mu się – zdaniem wielu – jak psu buda, Iwaszkiewicz w 1972 r. w dzienniku podsumował tak: „W głowie ma kaszę i bezczelne chłopię do niemożliwości". Ale przyznawał, że z niego „poeta dobry", choć nie zawsze, tyle że „trudno być zawsze d o b r y m poetą". Herbert zaś w ostatnim swoim liście do Iwaszkiewicza, wysłanym w lipcu 1975 r. z greckich Salonik, pytał adresata: „Jarosławie, czy prostujesz ścieżki swoje i czy czynisz pokutę?". „Czy odezwało się w nim pragnienie wyrażenia czegoś – pyta Beata Izdebska-Zybała – co być może odzwierciedlało jego własne niepokoje? Czy uwierało go uzależnienie od Iwaszkiewicza, świadomość, że zawdzięcza coś człowiekowi, który szedł na spore kompromisy wobec znienawidzonej władzy? Przyznawał, że doświadczał sprzecznych emocji wobec niego, w tym »uczuć mściwych«. Oczyma wyobraźni widział Iwaszkiewicza w wolnej Polsce, w jego Stawisku, jak siedzi tam »opuszczony, dach przecieka, prąd drożeje, a władze nie refundują podwyżek«. Do tego koledzy po piórze wypominają mu, że dał się omotać czerwonym".



Zbigniew Herbert

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRZYSTANEKHISTORIA.PL

Cóż, rzeczywiście – jak powiada autorka książki „Iwaszkiewicz. Przyjaciele i wrogowie" – byli jak ogień i woda: „Jeden o naturze buntownika, brzydzący się kompromisami. Drugi – cierpliwy, niejako pozytywista, żyjący w przekonaniu, że można wiele poświęcić, aby zapewnić ciągłość kultury polskiej w autorytarnym systemie władzy".

Obaj twórcy, zdaniem Beaty Izdebskiej-Zybały, do czasu przynajmniej „pozostawali w takich relacjach, jakich dziś bardzo brakuje w przestrzeni publicznej. Współpraca, wzajemne uznanie, respekt dla talentu tego drugiego – to wszystko okazywało się możliwe, ponieważ mieli silną świadomość, że służą wartościom większym niż oni sami. Liczyła się ciągłość kultury w warunkach opresji PRL. Dzięki temu mogły powstawać dzieła, które wciąż wielu z nas podziwia".

Eseistka przedstawia dowody na prawdziwość tych słów; mógłbym podać tu nie mniej takich, które im przeczą. Ale pozostał Iwaszkiewicz pisarzem, o którym się pisze i którego – mam nadzieję – wciąż się czyta; pozostał autorem ważnym. Dawno temu Adam Pomorski w szkicu zatytułowanym „Wszyscy jesteśmy Azjatami" napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej". Ze wszystkimi tego następstwami – dobrymi i złymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Polityczne szachy Bismarcka z papieżem. Karykatura niemiecka

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUTOR: WILHELM SCHOLTZ

Książka miesiąca / Historia kulturkampfu

Walka z katolickimi „dzikusami”

Kulturkampf kojarzony jest przede wszystkim z tępieniem polskości na terenie zaboru pruskiego. Jest to definicja bardzo niepełna. Kulturkampf nie narodził się bowiem nagle, w latach 70. XIX w., gdy kanclerzem Niemiec był Otto von Bismarck, ani też nie odnosił się wyłącznie do Polaków. Warto podkreślić – jak zaznacza prof. Grzegorz Kucharczyk – że kulturkampf od początku wyrastał z przekonań liberalnych i lewicowych. Zanim się zaczął, nienawiść wobec katolicyzmu miała już swych zwolenników wśród filozofów oświeceniowych, a potem marksistowskich. Oświecenie wychwalało „rozum” i racjonalizm, piętnując „wsteczność”, która objawiała się, zgodnie z przekonaniami oświeceniowych myślicieli (w Prusach prym wiódł m.in. król „filozof” Fryderyk II), przede wszystkim w religii katolickiej. Przejawem katolickiego „zabobonu” było – jak pisał Friedrich Nicolai, pisarz i wydawca – „codzienne w krajach katolickich rzekome przemienianie mącznego ciastka w Boga.”

Tego typu, a także gorsze obelgi (snuto też np. rasistowskie teorie mówiące, że katolicy mają mniejsze mózgi, a więc są głupsi od protestantów) były na porządku dziennym w Prusach. Inwektywy wobec Kościoła katolickiego nie wywoływały żadnych protestów w kręgach władzy czy w kręgach „nowoczesnych” myślicieli. „Tutaj wygasało hasło o tolerancji” – pisze Grzegorz Kucharczyk.

Negatywne, a nawet skrajnie wrogie podejście do katolicyzmu cechowało wszystkie państwa protestanckie, lecz w Niemczech zyskało ono dodatkowy wymiar: przekonanie, że największym, wręcz żywotnym zagrożeniem dla Niemców, „niemieckich wolności” i „niemieckich obyczajów” jest właśnie szkodliwy „duch Rzymu”. Ten pogląd zakorzenił się na stałe w Niemczech już w połowie XIX w. Katolicyzm określano jako coś, co zatruwa niemieckość. W ten sposób np. Bawaria była przedstawiana jako kraina, która „pozwoliła przez wieki rosnąć jak chwast na swoich katolickich przesądach”, a miejsca, gdzie dominowały katolickie świątynie, określano jako takie, gdzie „wieje duch ortodoksji i fanatyzmu”. Cytaty pruskich oświeceniowych pisarzy, które obficie przytacza prof. Kucharczyk, mogą zadziwić niejedną osobę, nawet dobrze zaznajomioną z tematem. Z przekazów XIX-wiecznych liberałów można wyczytać bowiem jasną myśl: katolicy są niczym „biali Murzyni Europy”, których krwią i żelazem trzeba nawracać.

Z takiego podglebia wyrósł kolejny kulturkampf, bardziej w Polsce znany, związany z Ottonem von Bismarckiem. Jego bezkompromisowa antykatolicka polityka wraz z przekonaniem o niemieckiej, protestanckiej wyższości i misji wobec katolickich „dzikusów” pozwalały wcześniej Prusom na aneksję niemieckojęzycznych katolickich państewek w Rzeszy. Ten schemat, czyli przekonanie o kulturowej wyższości, przyłożono później do ziem polskich zagarniętych w wyniku rozbiorów. Politykę tę kontynuowały następnie wilhelmińskie Niemcy, a w końcu Niemcy narodowosocjalistyczne pod wodzą Adolfa Hitlera.

Książka prof. Kucharczyka to propozycja dla wszystkich, którzy chcieliby lepiej zrozumieć niemiecką politykę – także tę współczesną. Kulturkampf był w istocie, przywołując tytuł pewnego serialu, „Najdłuższą wojną nowoczesnej Europy”. Jej echa słyszymy (i odczuwamy do dzisiaj) w lewicowych hasłach nawołujących do tolerancji wszystkich i wszystkiego, z wyłączeniem konserwatyzmu i katolików. ©℗ *Anna Szczepańska*



GRZEGORZ KUCHARCZYK
„KULTURKAMPF. WALKA BERLINA Z KATOLICYZMEM”
FRONDA

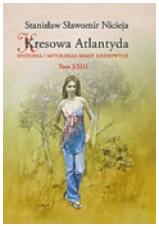
eprasa.pl dc2966a19e

Szkoła w Chyrowie, skarby w Rozdole

Gdy ustalano dokładny przebieg granicy Polski ze Związkiem Sowieckim po drugiej wojnie światowej, polscy negocjatorzy zaproponowali, by w naszych granicach znalazł się fragment linii kolejowej prowadzącej z Przemyśla w Bieszczady. Sowieci nie zgodzili się i w rezultacie w czasach PRL jeździło się z Przemyśla do Zagórza przez terytorium ZSRS. Podróżujący mogli podziwiać przez zamknięte okna wagonów ogromny gmach w Chyrowie. I właśnie od Chyrowa zaczyna się kolejny tom „Kresowej Atlantydy" prof. Stanisława Sławomira Niciei. A konkretnie od Zakładu Naukowo-Wychowawczego, prowadzonego przez jezuitów w latach 1888–1939. Mieścił się on we wspomnianym ogromnym budynku. Autor obszernie cytuje wspomnienia uczniów chyrowskiej szkoły, pokazujące jej specyfikę i codzienne życie. Zanim czytelnik sięgnie po książkę, wystarczy tu powiedzieć, że jezuici zaprowadzili surową dyscyplinę i dlatego też rodzice wysyłali do Chyrowa niesfornych synów. A do uczniów szkoły należeli m.in. wybitny architekt i rzeźbiarz Antoni Wiwulski, znakomity publicysta Ksawery Pruszyński i historyk Józef Garliński.

W swojej książce prof. Nicieja oddaje hołd ludziom, którzy ocalili od zapomnienia polską historię kresowych miast i wsi. Michał Nikosiewicz z ormiańskiej rodziny stworzył archiwum dokumentów, zdjęć, listów i wspomnień Polaków z Tłumacza. Misję tę kontynuuje Elżbieta Niewolska, której dziadkowie pochodzą z tej miejscowości. Wielką monografię „Zielona wioska. Hnilcze na Tarnopolszczyźnie. Od zarania do wygnania 1374–1944" napisała Beata Woźniak. W 1943 r., uciekając przed banderowskim atakami, wielu Polaków opuściło Hnilcze. Był wśród nich Stanisław Srokowski. Po latach opublikował książkę „Hnilcze. Prawda, pamięć i ból". Nicieja z uznaniem wyraża się o kresowej trylogii Srokowskiego – jeden z tomów nosi tytuł „Nienawiść" – bezkompromisowo pokazującej zbrodnie UPA.

Ostatni rozdział książki poświęcony jest Rozdołowi. W pałacu w tej miejscowości Karol Lanckoroński zebrał imponującą kolekcję porcelany, broni, tkanin, malarstwa i fotografii. Gościł tam swojego przyjaciela Jacka Malczewskiego, który urządził sobie w Rozdole atelier malarskie. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***



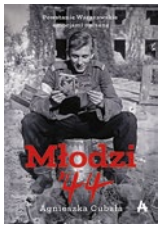
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
„KRESOWA ATLANTYDA. HISTORIA I MITOLOGIA MIAST KRESOWYCH", T. XXIII
WYD. NIĆ ARIADNY

Wszystko o powstaniu

Nasi dwaj doskonale znani państwu autorzy złączyli swoje siły, by w zajmujący sposób odpowiedzieć na najczęściej pojawiające się pytania i wątpliwości w kwestii powstania warszawskiego. Od kompletnych mitów i kłamstw, tworzonych i kolportowanych przez PRL-owskie władze aż po niewygodne fakty, które od lat nie mogą się przebić do świadomości publicznej. Bez upiększania i pudrowania. Nawet gdy prawda na temat tego tragicznego powstania boli do żywego. ©℗ ***Piotr Włoczyk***



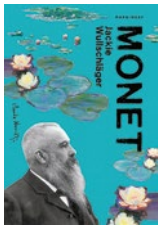
SŁAWOMIR KOPER, TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI, „POWSTANIE WARSZAWSKIE. MIĘDZY FAKTAMI A LEGENDĄ"
HARDE



AGNIESZKA CUBAŁA
„MŁODZI '44"
WYD. AGNIESZKA CUBAŁA MOJE KSIĄŻKI

ZA MŁODZI NA ŚMIERĆ

To najbardziej poruszające historie z powstania warszawskiego. Wystarczył jeden granat, bomba, odłamek, zabłąkana kula, by młode życie nagle zgasło. Jednak obok bezlitosnej śmierci latem 1944 r. toczyło się również w Warszawie życie z małymi i większymi radościami, bo młodzi szukają ich w każdych warunkach. ©℗ ***(p.w.)***



JACKIE WULLSCHLÄGER
„MONET"
MARGINESY

OJCIEC IMPRESJONIZMU

Potężna książka Jackie Wullschläger, bazująca na licznych źródłach, w tym bardzo osobistych, takich jak listy i wspomnienia, przedstawia życie jednego z najbardziej znanych malarzy wszech czasów, który mimo swego geniuszu całe życie borykał się z wieloma problemami. Biografia Claude'a Moneta jest nie tylko świetnie napisaną pracą naukową, lecz także fascynującą podróżą po twórczości ojca impresjonizmu. ©℗ ***(a.s.)***



DES TURNER
„TAJEMNICE STACJI 14"
ALMAPRESS

FAŁSZERZE SOE

Pracownicy tej jednostki dbali o to, by agenci brytyjskiego Kierownictwa Operacji Specjalnych (SOE) mogli się wylegitymować przed Niemcami idealnie podrobionymi dokumentami. W tej historii są polskie wątki, bo cichociemni byli obsługiwani przez tę jednostkę. Dzięki dokumentom źródłowym, lepiej jesteśmy w stanie uchwycić „klimat" panujący w Stacji 14. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl dc2966a19e

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Pokwitowania

Mamy jakąś szczególną zdolność ignorowania wskazań wielkich przywódców, nawet jeśli ich czcimy. Krakowskie „Pressje" poświęciły kiedyś cały numer analizie, co Polacy przyswoili z nauczania Jana Pawła II; wyszło, że w zasadzie tylko kremówki. Nie lepiej niż z JP2 jest z JP1, czyli wygrywającym wszystkie rankingi na największego Polaka wszech czasów Józefem Piłsudskim. Nibyczczony, nibyuczyniony symbolem, dla Święta Niepodległości 11 listopada będący tym, czym dynia dla Halloween, ale kojarzony wyłącznie z bujnymi wąsami, ogólnikowo pojmowanym patriotyzmem i kilkoma cytatami, z których chyba najbardziej spodobał się politykom i ich zagorzałym kibicom ten o „biciu k.... i złodziei".

Jak moi czytelnicy wiedzą, fanem Piłsudskiego raczej nie jestem, ale kilka prostych jego obserwacji warto byłoby stosować w praktyce. Na przykład zupełnie zapomnianą, a fundamentalną dla Marszałka wskazówkę, że „cele Polski są na wschodzie". Zachodowi bowiem, jak mówił we właściwym sobie stylu, możemy tylko „wchodzić w d...", a dla wschodu Europy jesteśmy naturalnym liderem i musimy o to przywództwo zawalczyć z Rosją.

Bodaj najbardziej mi jednak dziś brakuje w polskim myśleniu innej zasady: „brać, ale nie kwitować". Historycznie dotyczyło to postawy niepodległościowców wobec obcych wywiadów, japońskiego i austro-węgierskiego, ale można znaleźć tu ogólną wskazówkę, że w polityce wszelkie przysługi się wycenia i potem domaga się zapłaty (czego akurat Piłsudski chciał uniknąć i, jak we wszystkim innym, udało mu się fartem, bo wierzyciele nie przetrwali Wielkiej Wojny). My tymczasem w stosunkach z zaatakowaną przez Rosję Ukrainą zachowaliśmy się dokładnie odwrotnie: daliśmy, co mieliśmy, nie żądając żadnego pokwitowania. Czyli pozwoliliśmy zasadę Piłsudskiego zrealizować Ukraińcom, na ich pożytek, a naszą szkodę.

> Pozwoliliśmy zasadę Piłsudskiego zrealizować Ukraińcom, **na ich pożytek, a naszą szkodę**

Dziś, po czterech latach, ówczesna skwapliwość w uchylaniu walczącemu sąsiadowi nieba wraca do nas polityczną czkawką. Nic dziwnego, nie znajduję w dziejach żadnego przykładu, by ktoś kiedykolwiek zachował się tak frajersko jak my. Nawet potężna Ameryka, która daleko bardziej niż ktokolwiek inny mogła sobie pozwolić na rozrzutność, zwykła za okazaną innym pomoc wystawiać słone rachunki. Roosevelt pomógł Anglii pokonać Hitlera, ale obdarł ją za to do gaci. Mniejsza o Bermudy i inne bazy, najważniejsze było otwarcie brytyjskich kolonii i samych Wysp na amerykański import. Prezydent USA pamiętał nawet o amerykańskim winie, zmuszając do wpuszczenia go na swój rynek Francję (co po wojnie bezwzględnie wyegzekwowano). No i przede wszystkim ceną za amerykański udział w wojnie było podpisanie przez byłe (od tego momentu) mocarstwa europejskie umowy w Bretton Woods, która na długie lata zapewniła amerykańskiemu dolarowi, a więc samym USA, panowanie nad światem.

Napoleon III – z innej beczki – wsparł Włochów w walce o zjednoczenie swego kraju, ale w zamian zażądał dla Francji Nicei i Sabaudii. Co pouczające, dostał je – politycy Piemontu skalkulowali, że lepiej mieć potężnego sojusznika i widoki zjednoczenia prawie całych Włoch, niż przyjąć zasadę „wszystko albo nic", jak centralności naszych kolejnych powstań, które twardo stawiały żądanie odbudowy Polski w granicach sprzed 1772 r. i nic mniej.

Niestety, politykom III RP pomysł obwarowania pomocy jakimikolwiek żądaniami wydał się haniebny i nie wzięli go pod uwagę. ©℗

eprasa.pl dc2966a19e



Piotr Semka

/ Felieton

Nakba kontra Holokaust

Gail Asper mówi cicho, ale stanowczo: »Moje zaufanie zostało całkowicie zawiedzione«". Tak kanadyjski dziennik „National Post" zaczyna tekst o sporze, który od pewnego czasu tli się za Atlantykiem.

Jak podaje kanadyjska gazeta, Gail Asper to 66-letnia córka medialnego potentata i żydowskiego filantropa Israela Aspera, który w 2000 r. wymyślił i hojnie sfinansował Kanadyjskie Muzeum Praw Człowieka w Winnipeg, stolicy stanu Manitoba.

„Pani Asper z coraz większym niepokojem obserwuje, jak instytucja, którą pomogła zbudować, zdaje się marginalizować społeczność, która to wszystko umożliwiła" – pisze kanadyjski dziennik.

Na czym polega konflikt? W końcu czerwca br. w tym finansowanym ze środków federalnych muzeum otwarto wystawę pt. „»Palestyna wykorzeniona« – przeszłość i teraźniejszość Nakby".

Co oznacza to słowo? Po arabsku jest to „katastrofa". Organizacje palestyńskie wykreowały to słowo jako ogólne pojęcie oznaczające wygnanie Palestyńczyków z terenów obecnego Izraela. Dzień Nakby, wyznaczony na 15 maja wskutek kampanii organizacji propalestyńskich w Ameryce, zaczął być obchodzony przez kolejne miasta w USA i w Kanadzie jako dzień pamięci o tragedii Palestyńczyków.

Obecnie Nakba Day obchodzony jest m. in. w Waszyngtonie i w Nowym Jorku, gdzie w tym roku patronował mu nowy muzułmański burmistrz, Zohran Mamdani. Ale idea celebrowania Nakby trafiła również do Kanadyjskiego Muzeum Praw Człowieka w Winnipeg. Ekspozycja przedstawia osobiste historie Palestyńczyków, którzy wyjechali do Kanady, a także ich rodzinne opowieści na temat wysiedleń ich przodków. Wszystko to przedstawiane jest jako przykład naruszania praw człowieka.

Koncepcja wystawy na temat Nakby po raz pierwszy przedstawiona została zarządowi muzeum już kilka lat temu. Gail Asper zaapelowała wtedy o uwzględnienie pełnego kontekstu historycznego wydarzeń z lat 40. XX w. i zrównoważenie opowieści o Nakbie historią ok. 850 tys. Żydów wypędzonych w tym samym czasie z krajów arabskich.

Jak twierdzi Asper, pomysł wystawy wracał później sporadycznie.

Zaskoczenie przyszło w listopadzie zeszłego roku w trakcie dorocznego spotkania zarządu muzeum, gdy – według relacji Gail Asper – oficjalnie zapowiedziano wystawę „bez wcześniejszego powiadomienia ani merytorycznych konsultacji z głównym nurtem społeczności żydowskiej".

Teraz organizacje żydowskie wzywają zarząd muzeum do zmienienia jednostronnej wymowy wystawy, a żydowski członek zarządu zrezygnował z powodu całej tej sprawy. „Nasz fundament, zaufanie naszej rodziny, został złamany" – stwierdziła Gail Asper, ogłaszając przy tym, że rodzina wstrzymuje finansowanie placówki.

Cała ta historia pokazuje, jak szybko zmienia się relacja sił w sporach o historię. W latach 70. i 80. organizacje żydowskie zaczęły prowadzić w USA i w Kanadzie politykę pamięci o Holokauście. Połączona ona była z promowaniem muzeów opowiadających o prawach człowieka. Placówki te przyjmowały na siebie rolę instytucji pielęgnujących pamięć o zagładzie Żydów w Europie w czasie drugiej wojny światowej, prezentując to jako swoiste memento, pokazujące, do czego prowadzi łamanie praw człowieka. Przy czym w niektórych przypadkach opowiadanie o Holokauście było łączone z popieraniem istnienia Państwa Izrael, dla którego pomoc zagraniczna miała być swoistym zadośćuczynieniem za obojętność Amerykanów i Kanadyjczyków wobec losu europejskich Żydów.

Od tamtego czasu minęło już jednak niemal pół wieku. Zarówno w Kanadzie, jak i w USA znacznie powiększyły się społeczności imigrantów muzułmańskich, w tym Palestyńczyków. I teraz to oni bywają nowymi faworytami organizacji praw człowieka. Jak wygląda efekt tej zmiany? Pamięć o Nakbie zaczyna się zderzać z do niedawna znacznie silniejszą pamięcią o Holokauście. W rezultacie sponsorzy instytucji takich jak ta w Winnipeg, którzy dotąd hojnie wspomagali podobne muzea, z niepokojem odkrywają, że kanadyjscy i amerykańscy postępowcy znaleźli nową uniwersalną ofiarę – ofiarę Nakby.

Przy czym obu tych narracji raczej nie da się pogodzić. Sprawa wydaje się tu prosta: albo Holokaust ma wstrząsać ludźmi, albo tragedia Palestyńczyków, którzy musieli opuścić swoje rodzinne ziemie. Cała ta historia pokazuje, że nic nigdy nie stoi w miejscu. I żaden ustalony ład nie trwa wiecznie. ©℗

eprasa.pl dc2966a19e



Leszek Lubicki

Straszna wojna pustoszyła przez 15 lat ziemie w dorzeczu Łaby i Odry. Obydwie strony miały już dość i musiały usiąść do rozmów, jednak to Chrobry mógł się na koniec czuć zwycięzcą



Michał Bylina, „Bolesławowa drużyna"
FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

XI w. / Polska powstrzymuje cesarza

Chrobry kontra Niemcy: runda III

Pokój w Merseburgu z 1013 r., zawarty po zakończeniu drugiej fazy wojny z Niemcami, nie trwał długo. Cesarz Henryk II był bardzo niezadowolony z faktu, że Bolesław nie przysłał mu 300 zbrojnych na jego włoską wyprawę, tak jak było to ustalone. Zażądał od Bolesława wyjaśnień, a także zwrotu Milska i Łużyc, które polski władca po wspomnianym pokoju otrzymał jako lenno.

Zajrzyjmy do „Roczników Kwedlinburskich": „Cesarz w tym samym roku wysłał poselstwo do Bolesława [Chrobrego], aby zwrócił zagarnięte tereny. Bolesław, swoim zwyczajem, odpowiedział czupurnie, że nie tylko zamierza zatrzymać swoje, ale gotów sięgać po cudze. Rozwścieczony tym cesarz, co zrozumiałe, wszczął przygotowania do wojny i wezwał pod broń tysiące dzielnych wojów, z którymi bez marudzenia dotarł do granic Polski" (przekład Andrzej Kozicki).

Niemiecki władca osobiście zaplanował wyprawę. „Henryk II podzielił swoją armię na trzy części. Grupa północna złożona była z Sasów i Wieletów, a dowodził nią książę saski Bernard. Grupa środkowa to główne siły złożone z feudałów niemieckich; koncentrowała się ona w Magdeburgu. Tutaj wodzem był Henryk II. Grupa południowa to Czesi i Bawarzy pod czeskim księciem Udalrykiem" (Olejnik, 1988). Już w początkach lipca wojska cesarskie przeprawiły się przez Łabę i kierowały się w stronę Łużyc. Plan cesarza był skomplikowany, ale dobrze opracowany. Przynajmniej teoretycznie, bo świetne plany nie zawsze da się zrealizować. Bolesław z Mieszkiem II, wiedząc o ruchach wojsk nieprzyjaciela, przygotowali się do obrony bardzo starannie. Główne siły niemieckie z Henrykiem na czele już na początku sierpnia przekroczyły Odrę, kierując się tradycyjnym szlakiem na Krosno. Broniący tego odcinka Mieszko II, mając do dyspozycji mocne wojska, nie zdołał jednak powstrzymać wroga przed przekroczeniem Odry.

Chociaż Niemcy odnieśli tu sukces, to „wojska polskie nie pierzchły jednak ani też nie zostały rozbite, wycofały się regularnie i pozostawały w pobliżu. Sytuacja wojsk cesarskich nie była więc pomyślna, gdyż przyparte do rzeki nie mogły się ani cofnąć, ani też szybko posunąć się naprzód" (Grabski, 2019).

Mieszko II wykazał się tu właściwym zmysłem przywódczym. Na arenie pojawiły się jednak kolejne dwie formacje najeźdźców. „Książę saski Bernard

eprasa.pl dc2966a19e

wraz z Wieletami nadciągał od północy, zapewne przez Ziemię Lubuską, wreszcie czeski Udalryk wespół z Bawarami miał wkroczyć na ziemie polskie od południowego zachodu. Plan cesarski przewidywał następnie, jak się wydaje, połączenie wszystkich trzech kolumn po przekroczeniu Odry i wspólny marsz na Poznań – Gniezno" (Nadolski, 2018).

Plan Niemców był znakomity, ale Chrobry szybko dowiedział się o wydarzeniach na odcinku bronionym przez syna; mając do niego zaufanie, pozostał na swojej pozycji. Oddziały dowodzone przez Bernarda próbowały przekroczyć w tym miejscu Odrę, jednak zdecydowany opór polskiego wojska uniemożliwił im dalszy marsz. „W końcu Bernard wsadził swych wojowników na łodzie, podniósł żagle i popłynął w dół Odry. Pozwoliło mu to oderwać się od wojsk Bolesława i wylądować na wschodnim brzegu rzeki. Gdy nadciągnęły oddziały polskie, nie zdecydował się jednak na przyjęcie bitwy, przeprawił się ponownie przez Odrę i wraz ze swymi wojskami powrócił do Niemiec" (Barański, 2005).

Pierwsza część planu cesarza legła zatem w gruzach. Za chwilę okazało się, że trzecia grupa najeźdźców także nie ma szansy na połączenie się z głównymi siłami cesarskimi. Cesarz w tej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak rozpocząć odwrót. Wybrał drogę przez kraj Dziadoszan, położony na Śląsku.

Opacki fortel

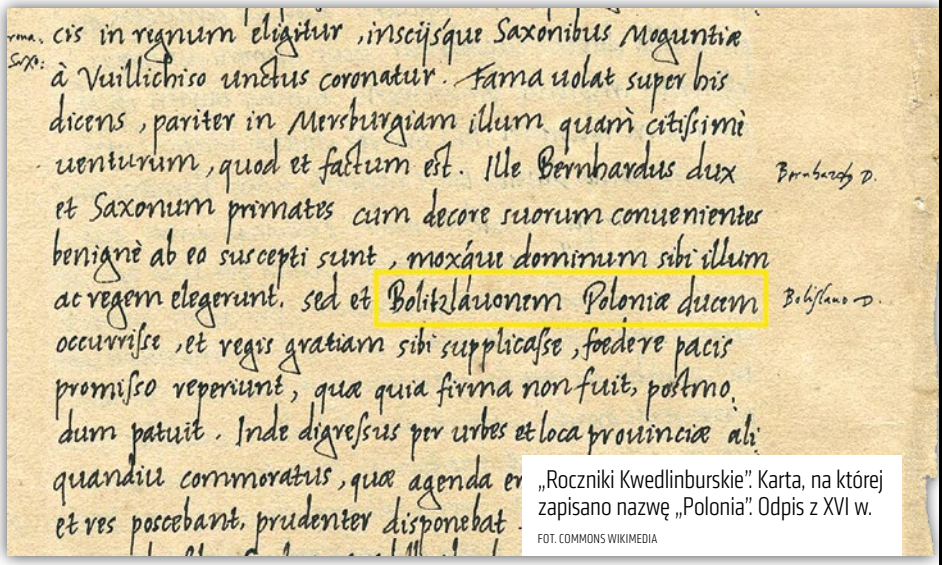
„Geograf bawarski" opisujący w połowie IX w. ziemie przyszłej Polski wymienia na Śląsku kilka plemion, w tym Dziadoszan, przypisując im posiadanie 20 grodów. Miał to być lud waleczny, posiadający najlepszych łuczników. Władca niemiecki nie miał innego wyjścia, jak rozpocząć „śpieszny odwrót przez Dolny Śląsk, bo droga, którą wcześniej maszerował w głąb Wielkopolski, nie dość, że była zdewastowana i ogołocona z żywności, to dodatkowo przegradzał ją Mieszko" (Pleszczyński, 2025). Polscy wojowie od razu ruszyli za nim, chcąc wywrzeć presję i zmusić do przyjęcia bitwy. Thietmar: „Kiedy w drodze powrotnej przybył do kraju Dziadoszan, rozbił, na swoje nieszczęście, obóz w pewnym ciasnym pustkowiu, którego jedynym mieszkańcem był pewien hodowca pszczół, później zresztą zabity. Bolesław tymczasem dowiedziawszy się, że cesarz obrał inną drogę powrotu niż tę, którą przybył, umocnił na wszelki sposób swoje terytorium nad Odrą. A gdy zawiadomiono go, że cesarz już się wyniósł, wysłał wielką liczbę pieszych do miejsca, w którym obozowało wojsko, z rozkazem, by starali się choć część tegoż zniszczyć, jeżeli nadarzy się do tego korzystna okazja".

Wybranie przez cesarza „pustkowia" było podyktowane tym, że dysponował niewielkimi siłami i obawiał się ataku polskich wojów z grodów znajdujących się na Śląsku. Chrobry dla zmylenia przeciwnika wysłał do cesarza opata międzyrzeckiego Tuniego z propozycją rokowań. Jednak Niemcy nie uwierzyli mu i aresztowali go, uznając go za szpiega. I słusznie, bo jego celem było nie tyle przekonać Niemców do rozejmu, ile opóźnić ich przeprawę przez bagna. W ten sposób Bolesław miałby czas przeformować swoje drużyny i uderzyć na obozujących wrogów.

Henryk przewidział plan polskiego władcy, „dlatego też zdecydował się z odziałem wojska opuścić swą armię i pomaszerować czym prędzej ku Miśni […]. Krok Henryka był dowodem, że zrezygnował on ze swoich planów wojennych, w ten sposób bowiem osłabił i tak nieliczne już wojsko" (Grabski, 2019). Na miejscu zostało jednak wielu saskich rycerzy, którzy ubezpieczali odwrót cesarza. „W tym samym czasie polska piechota przebrnęła przez lasy i zamknęła pierścień okrążenia wokół niemieckiej straży tylnej. 1 września 1015 roku (jakże znamienna data) Bolesław Chrobry wydał rozkaz do ataku" (Barkowski, 2015). Odbyły się trzy szturmy na pozycje zaciekle broniących się Niemców. W tym ciasnym terenie na początku bitwy najlepiej spisali się łucznicy, którzy zasypali przeciwnika gradem strzał. Jak podał saski kronikarz, „polegli i ze zbroi odarci zostali grafowie Gero i Folkmar oraz dwustu najprzedniejszych rycerzy".

Gdy cesarz dowiedział się o pogromie, wysłał tam biskupa Miśni, aby urządził poległym pogrzeb i odebrał zwłoki margrabiego Gerona. Niemcy spotkali się w tej kwestii z wyrozumiałością swoich przeciwników. Jak pisał Thietmar: „Uzyskawszy od Bolesława radującego się naszą klęską to, o co prosił, Idzi pogrzebał z wielkim trudem przy pomocy nieprzyjaciół ciała towarzyszy, po czym niezwłocznie odjechał. Zwłoki zaś wspomnianego margrabiego i jego towarzysza Widreda kazał zawieźć aż do Miśni".

Bitwę tę możemy z czystym sumieniem uznać za jedno z największych zwycięstw polskiego oręża. Niestety, nie jest ono zbytnio utrwalone w naszej świadomości. Tak też widzą ją dwaj uczeni. „Po raz pierwszy w dziejach wojen polsko-niemieckich za Bolesława Chrobrego wojska niemieckie zostały rozbite w walnej bitwie" (Grabski, 2019). „Kampania roku 1015 dała już na


cis in regnum eligitur, inscisque Saxonibus Moguntiæ
à Vuillichiso unctus coronatur. Fama uolat super bis
dicens, pariter in Merseburgiam illum quàm citissimè
uenturum, quod et factum est. Ille Bernhardus dux
et Saxonum primates cum decore suorum conuenientes
benignè ab eo suscepti sunt, moxque dominum sibi illum
ac regem elegerunt. sed et Bolizlauonem Poloniæ ducem
occurrisse, et regis gratiam sibi supplicasse, fœdere pacis
promisso reperiunt, quæ quia firma non fuit, postmo-
dum patuit. Inde digressus per urbes et loca prouinciæ ali-
quandiu commoratus, quæ agenda e
et res poscebant, prudenter disponebat

„Roczniki Kwedlinburskie". Karta, na której zapisano nazwę „Polonia". Odpis z XVI w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl dc2966a19e

pewno Bolesławowi tytuł do przydomka Chrobry. To było jego imponujące zwycięstwo, a zarazem upokorzenie cesarza i skonstruowanej przez niego potężnej sasko-wielecko-czesko-bawarskiej koalicji" (Nowak, 2014). Cesarz musiał po tej klęsce zaniechać w następnym roku dalszych walk. Jednak w 1017 r. konflikt zbrojny odżył na nowo.

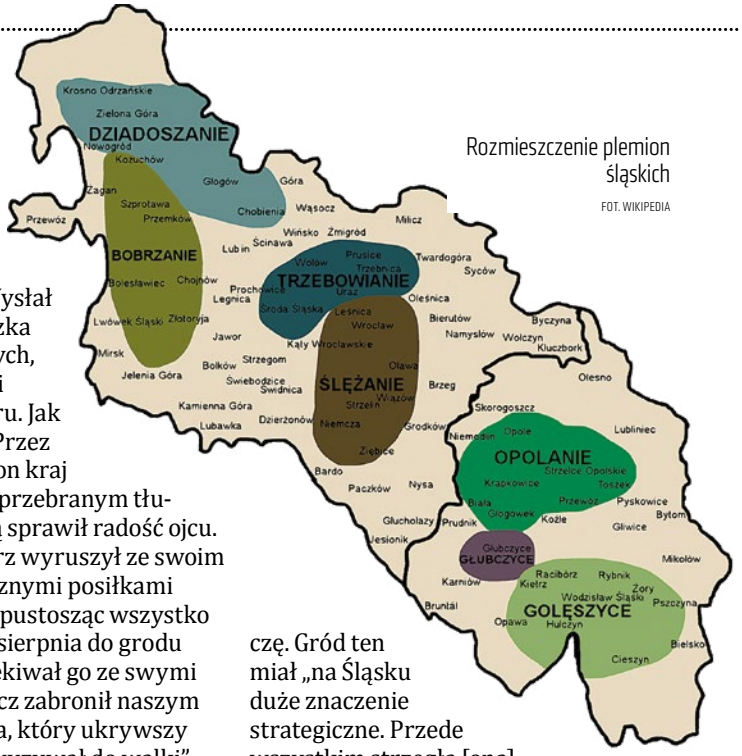
Obrońcy Niemczy

Po tych wyniszczających działaniach wojennych obie strony były skłonne do zawarcia rozejmu. Zarówno cesarz, jak i władca Polski mieli inne ważne sprawy do załatwienia. Bolesław szykował wyprawę na Ruś, a Henryk musiał się zająć sprawami włoskimi. Wynikł jednak pewien problem. Niemcy chcieli, by Chrobry osobiście przybył do ich kraju na rokowania. Bolesław nie miał zamiaru tego uczynić z dwóch, jak się wydaje, powodów. Pierwszym była zapewne pamięć o zamachu, którego dokonano na niego w 1002 r., kiedy wracał ze zjazdu możnych niemieckich z Henrykiem II w Merseburgu. Drugim, na pewno ważniejszym powodem był fakt, że w owych czasach prowadzenie pertraktacji na terytorium wroga oznaczało, mówiąc dzisiejszym językiem, że podwładny stawia się przed obliczem przełożonego. Bolesław czuł się zwycięzcą, więc honor nie pozwolił mu udawać się na tereny niemieckie. Henryk odebrał to jako przejaw lekceważenia, więc kolejna wojna wisiała już w powietrzu.

Cesarz odnowił sojusz z władcą Czech Udalrykiem oraz pogańskimi Wieletami, a także z nowym władcą Rusi Jarosławem Mądrym. Ten ostatni po śmierci ojca Włodzimierza Wielkiego wygnał swojego brata Świętopełka (zięcia Bolesława) i opanował tamtejszy tron. Cesarz i władca Rusi ustalili, że uderzą na Polskę z dwóch stron. „Kampania roku 1017 była rzeczywiście dramatyczna. Uderzenie ruskie od wschodu nie przyniosło jednak wiele. Bolesław odparł je błyskawicznie. Jarosławowi nie udało się zdobyć żadnego grodu" (Nowak, 2014). Dzięki temu Chrobry mógł skupić się wyłącznie na froncie zachodnim.

Henryk II zgromadził liczną armię. Dołączyli do niego Czesi; Udalryk przyprowadził ze swojego kraju olbrzymią liczbę zbrojnych. Bolesław zaraz to jednak wykorzystał. Wysłał do Czech syna Mieszka z tysiącem pancernych, którzy nie napotkali tam większego oporu. Jak zapisał Thietmar: „Przez dwa dni plądrował on kraj i powróciwszy z nieprzebranym tłumem jeńców, wielką sprawił radość ojcu. Oburzony tym cesarz wyruszył ze swoim wojskiem oraz znacznymi posiłkami Czechów i Luciców; pustosząc wszystko po drodze, dotarł 9 sierpnia do grodu Głogowa, gdzie oczekiwał go ze swymi wojami Bolesław, lecz zabronił naszym ścigać nieprzyjaciela, który ukrywszy dokoła łuczników, wyzywał do walki".

Jeszcze przed złupieniem Czech „morawscy wojownicy Bolesława uderzyli na duży oddział Bawarów i zupełnie go zniszczyli" (Pleszczyński, 2025). Cesarz tym razem nie popełnił już błędu z 1015 r.; stracił pewność siebie i nie podzielił podległych mu wojsk na trzy części. Gdy znalazł się ze wszystkimi swoimi zbrojnymi pod Głogowem (Chrobry skoncentrował w tym grodzie swoje wojska), o czym wspomina Thietmar, także przezornie nie podjął walki z polskimi wojskami. Ominął ten gród, ruszył w stronę Czech i pomaszerował na Niemczę. Gród ten miał „na Śląsku duże znaczenie strategiczne. Przede wszystkim strzegła [ona] szlaku wiodącego z Wrocławia na Kłodzko, Nachod, do Czech. Zdobycie jej umożliwiłoby cesarzowi opanowanie drogi na Czechy i zabezpieczenie tego kraju przed wypadami polskimi. Ponadto Niemcza była jednym z grodów strzegących przejścia na Milsko, którędy mogłyby powracać wojska niemieckie. Z tych względów wydaje się, że marsz na Niemczę był kontynuacją zmienionego już pierwotnego planu" (Grabski, 2019).



Rozmieszczenie plemion śląskich
FOT. WIKIPEDIA

Henryk wysłał tam najpierw duży oddział ciężkozbrojnych rycerzy, chcąc w ten sposób uniemożliwić wojskom Bolesława udzielenie pomocy obrońcom. Wszystko na nic. Część wojsk polskich i tak znalazła tam schronienie. Pięknie to wydarzenie opisał w swoim opowiadaniu znany polski pisarz historyczny Karol Bunsch, dobrze oddając bohaterstwo i poświęcenie obrońców Niemczy. Pada tam znamienna myśl: wszelkie nieudane próby szturmu grodu w Niemczy i niemieckie „niepowodzenia obniżają jeno cesarską powagę". Jednak to tylko beletrystyka, natomiast przytoczymy inne słowa, zapisane przez niechętnego przecież Polakom, a Chrobremu w szczególności, współczesnego tym czasom bp. Thietmara. Gdy dotarła tam reszta sił Henryka, „cesarz nakazał naszym zbudować różnego rodzaju machiny oblężnicze, wnet atoli ukazały się bardzo podobne do nich u przeciwnika. Nigdy nie słyszałem o oblężonych, którzy by z większą od


Stanisław Haykowski, „Portret konny Bolesława Chrobrego" FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl dc2966a19e

nich wytrwałością i bardziej przezorną zaradnością zabiegali o swoją obronę. Naprzeciw pogan [wspierających cesarza Wieletów – przyp. red.] wznieśli krzyż święty w nadziei, iż pokonają ich z jego pomocą. Gdy zdarzyło im się coś pomyślnego, nie wykrzykiwali nigdy z radości, ale i niepowodzenia również nie ujawniali przez wylewne skargi".

Obrona Niemczy to jedna z najchlubniejszych kart w dziejach polskich wojen czasów średniowiecza. Thietmar przyznał, że wielotygodniowe, jałowe oblężenie grodu było dla cesarza bardzo kłopotliwe. „Cesarz widząc, jak daremne są wysiłki jego chorobą trapionego wojska, udał się bardzo uciążliwym marszem do Czech, gdzie przyjął go i uczcił stosownymi darami nieprawy władca tego kraju Udalryk". Jednak ważniejsze jest inne zdanie saskiego kronikarza. „Któż zdoła opisać trudności tego marszu i ogólne straty? Z ogromnymi przykrościami połączone było wkroczenie do Czech, lecz o wiele gorszy był odwrót z tego kraju".

Bolesław, przebywający wtedy we Wrocławiu, „kiedy dowiedział się, że cesarz odjechał, a gród stoi nienaruszony, weselił się w Panu i brał udział w świeckiej radości swoich wojów". Chrobry nakazał wówczas jeszcze najechać Czechy, jednak bez sukcesów, a także Niemcy, gdzie wojacy Chrobrego splądrowali, co się dało, a przy tym „uprowadzili z tych stron więcej niż tysiąc niewolników, po czym spalili wiele sadyb wokoło i powrócili bez przeszkód do domu" – tyle Thietmar. Wojna roku 1017 dobiegła końca. Była to całkowita klęska Niemców.

Dlaczego Budziszyn?

Z końcem 1017 r. rozpoczęły się rokowania pokojowe. Poseł Bolesława przybył do Merseburga, gdzie spotkał się z Henrykiem II. Miał on „załatwić sprawę wymiany jeńców i wywiedzieć się, czy istnieją możliwości zawarcia pokoju na dogodnych dla Polski warunkach. Kiedy panowie sascy dowiedzieli się o pokojowej inicjatywie Polski, wymogli na swym władcy zgodę na rozpoczęcie pertraktacji pokojowych" (Grabski, 2019).

Wiemy, że obydwu stronom konfliktu zależało na zakończeniu tej wyniszczającej wojny. Polacy i Niemcy mieli jeszcze inne sprawy do załatwienia. Bolesław chciał się wreszcie odegrać na władcy Rusi, Jarosławie Mądrym. Ale to nie znaczy, że miał ochotę ulegać w rokowaniach. Świadczy o tym fakt, że pokój został zawarty w styczniu 1018 r. w Budziszynie, który to gród od 1002 r. Chrobry uważał za swój, a nie w którymś z ważnych miast niemieckich. Nie był on pomyślny dla cesarza, bo – jak zanotował Thietmar – „był to pokój nie, jaki być powinien, lecz jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji".

Cóż bowiem miał uczynić cesarz, jak nie „pogodzić się z najważniejszymi warunkami Bolesława? Ten zatrzymał Łużyce i Milsko, już najprawdopodobniej nie jako lenno (to by zapewne Thietmar uwypuklił), ale jako swoją własność. Tak zakończyła się straszliwa wojna, wyniszczająca przez 15 lat ziemie w dorzeczu Łaby i Odry. Chrobry się nie ugiął. Potwierdził swoją i swojego państwa suwerenność" (Nowak, 2014).

Cesarz zobowiązał się nawet wesprzeć Bolesława 300 rycerzami w związku z planowaną przez niego wyprawę kijowską. Dodatkowym przypieczętowaniem tego pokoju było kolejne małżeństwo, czwarte już Bolesława, które zawarł on po śmierci ukochanej żony Emnildy, przeżywszy z nią w zgodzie ok. 30 lat. Tym razem wybranką był Oda, córka margrabiego miśnieńskiego Ekkeharda.

Możemy przypuszczać, że do wojen z Niemcami nie doszłoby, gdyby cesarz rzymski Otton III nie zmarł w wieku 22 lat (chociaż nie dałoby się całkowicie wykluczyć zbrojnego scenariusza; Chrobry mógł się obrazić na Ottona o to, że koronę otrzymał nie on, lecz Stefan Węgierski). Młodziutki niemiecki władca planował stworzyć uniwersalne cesarstwo, gdzie cztery najważniejsze podmioty (używając dzisiejszych pojęć: Francja, Włochy, Niemcy i Słowiańszczyzna, którą reprezentował Chrobry), pod wspólnym patronem św. Wojciechem, współistniałyby na równych prawach, bez dominacji Niemiec. Niestety, jego następca nie miał zamiaru realizować tej koncepcji.

Bolesław już latem 1018 r., pół roku po zwycięskim pokoju w Budziszynie, ruszył na Ruś, gdzie także triumfował.



Tablica pamiątkowa w Niemczy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AKTRON

„Pokonał cesarza niemieckiego Henryka II i władcę Rusi Kijowskiej Jarosława I Mądrego, unicestwiając tym niemiecko-ruskie kleszcze, które w późniejszych wiekach nieustannie dążyć będą do zgniecenia Polski jako narodu i państwa" (Barkowski 2025).

Musimy jednak mieć tu na uwadze pewien fakt, o którym napisał w XIX w. Karol Szajnocha. „Jak w kaplicy poznańskiej, tak i w powieści dziejowej zawsze sobie towarzyszą te obydwie postacie [Mieszko I i Chrobry – przyp. red.]. Jeśli bowiem Bolesławowi Chrobremu nie można przypisywać winy podupadnięcia Polski pod jego rodzonym następcą, tedy przeciwnie, znaczną część wielkości Polski za Bolesława należy policzyć na karb usiłowań Mieczysławowych, które w istocie rzuciły najpotężniejsze podwaliny przyszłej budowy". Przypomnijmy na koniec, że to Mieszko I już w 972 r. starł się z saskim margrabią Hodonem pod Cedynią i tam go pokonał, a w bitwie tej brał udział także ojciec cytowanego tu kronikarza Thietmara.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce",*** *Warszawa 2005; Barkowski R.F.,* ***„Bolesław I Chrobry",*** *Warszawa 2025; Grabski A.F.,* ***„Polska sztuka wojenna za pierwszych Piastów",*** *Oświęcim 2019; Labuda G.,* ***„Mieszko Drugi",*** *Poznań 1994; Nadolski A.,* ***Polskie siły zbrojne w czasach Bolesława Chrobrego",*** *Oświęcim 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Olejnik K.,* ***„Cedynia, Niemcza, Głogów, Krzyszków",*** *Warszawa 1988; Pleszczyński A.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Warszawa 2025; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry",*** *Poznań 2003; Szajnocha K.,* ***„Bolesław Chrobry i odrodzenie się Polski za Władysława Łokietka",*** *Lwów 1859.*

eprasa.pl dc2966a19e



Olaf Simony Jensen, „Mnisi pijący piwo”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRUUN-RASMUSSEN.DK

Dzieje „procentów” / „Al-kuhl” na stole i w przemyśle

Historia pod wpływem



Tymoteusz Pawłowski

Alkohol towarzyszy ludzkości od niepamiętnych czasów. Wiek XIX przyniósł wielki przełom

Gdy kilka tysięcy lat temu ludzkość zaczęła największą rewolucję w swoich dziejach – rewolucję neolityczną – i przeszła z koczowniczego trybu życia na osiadły, dokonała tego dzięki opanowaniu sztuki garncarstwa. Gliniane garnki pozwalały bowiem na przechowywanie ziarna, a także – co było chyba ważniejsze – na przechowywanie piwa. W tamtych czasach piwo było sposobem na poradzenie sobie z nadprodukcją zboża, metodą jego konserwacji, a alkohol – konserwantem. Alkoholu nie było zresztą w ówczesnym piwie dużo – raptem od 1 do 2 proc. – mniej więcej tyle, ile w chlebie na zakwasie.

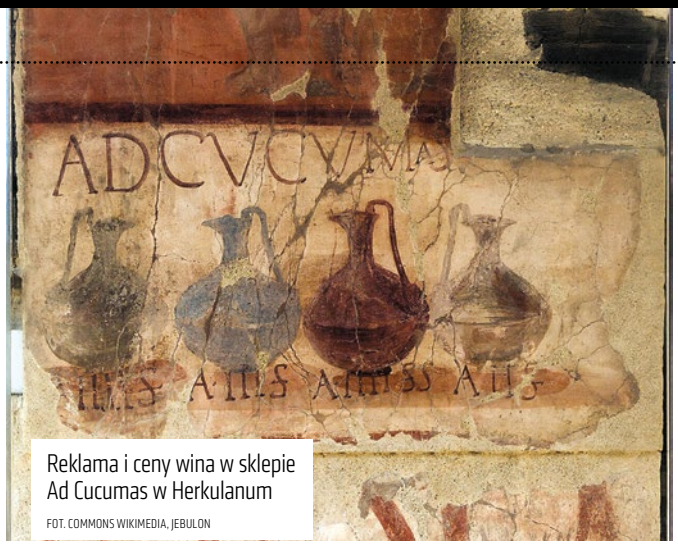
Chleb i piwo powstają zresztą z tych samych produktów i w bardzo podobny sposób. Z ziarna tworzy się ciasto, które poddaje się działaniu drożdży. Drożdże zjadają cukier i wydalają dwutlenek węgla oraz alkohol. Dwutlenek węgla sprawia, że piwo jest gazowane, chleb jest pulchny, a przy okazji wydziela się alkohol. Właśnie dlatego piwo zawierało mniej więcej tyle samo alkoholu co chleb. Tak było do XIX w., gdy zmieniła się technologia warzelnicza. Najważniejszą różnicą pomiędzy chlebem a piwem jest chmiel dodawany do napoju – to przyprawa mająca poprawić smak.

Alkohol znajduje się także w innych produktach spożywczych, chociażby w kefirze, maślance, kiszonych ogórkach i kapuście, dojrzałych owocach – szczególnie lekko brązowych bananach – czy occie. Odpowiadają za niego drożdże, które czasem uważa się za pierwsze zwierzęta udomowione przez człowieka. Oczywiście twierdzenie to trzeba okrasić licznymi zastrzeżeniami, chociażby tym, że te jednokomórkowe organizmy nie są prawdziwymi zwierzętami. Zastrzeżeniami należy też opatrzeć stwierdzenia dotyczące zawartości alkoholu w chlebie czy kefirze: sporo zawierają go wyroby tradycyjne, ale nowoczesne technologie produkcyjne są dużo bardziej oszczędne. Wciąż jest go jednak w tych produktach więcej niż w piwie bezalkoholowym.

Fermentacja…

Starożytnym piwem można się było podchmielić, trzeba było jednak go sporo wypić: jakieś 2 l w ciągu kwadransa. Zjeść w tym czasie 2 kg chleba jest chyba rzeczą niemożliwą. Istniały jednak napoje, które miały dużo większą zawartość alkoholu, przede wszystkim miód pitny,

eprasa.pl dc2966a19e



Reklama i ceny wina w sklepie Ad Cucumas w Herkulanum

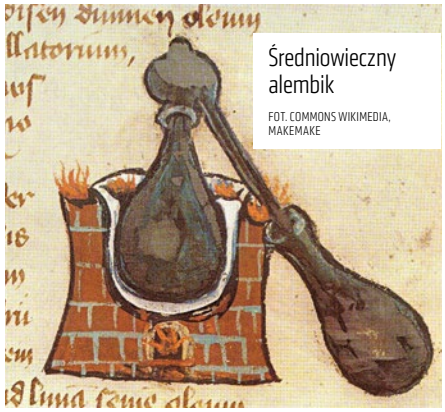
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEBULON

który zaczęto pić – być może – już 40 tys. lat temu. Kluczem do miodowego sukcesu były sposób jego pozyskiwania oraz zawartość cukru. Pozyskiwano go bowiem od dzikich pszczół, podczas koczowniczych wędrówek po lesie. Zawiera on również dużo cukru, który drożdże przerabiają na alkohol. W wielu obcych językach napój ten do dziś nosi taką nazwę jak zwykły polski miód, przykładem może być chociażby angielskie słowo „mead".

Kilkadziesiąt tysięcy lat później pojawił się konkurent miodu – wino. Na co dzień wino pijano z reguły rozcieńczone czterema miarkami wody, jedynie od święta folgowano sobie w celu lepszego kontaktu z bogami. Wino pojawiło się 8 tys. lat temu u podnóży Kaukazu – w Gruzji, a potem w Armenii – ale to Grecy rozpoczęli jego masową, niemal przemysłową produkcję. I również na masową skalę stosowali związki siarki, aby przyśpieszyć produkcję i umożliwić jak najdłuższe przechowywanie wina.

W Europie – szeroko rozumianej: od Persji po Hiszpanię i od Kaukazu do Nilu – pijano wino, natomiast w Azji spożywano napój zwany 米酒. Te symbole wymawia się jako „Mi-chiu", a tłumaczy – bardzo nieszczęśliwie – jako „wino ryżowe". Nieszczęście tego tłumaczenia polega na tym, że w procesie produkcyjnym nie używa się owoców wina, a jedynie ryż, najlepiej kleisty, czyli zawierający więcej skrobi, którą można przerobić na alkohol. Z tego też powodu produkcja Mi-chiu – z punktu widzenia technologii – jest warzeniem piwa. Wreszcie Mi-chiu mają w sobie dużo alkoholu, często 20 proc., więc działają na organizm ludzki mocniej niż wino.

O tym, czym właściwie jest alkohol, nie wiedziano jeszcze przez tysiąclecia. Dopiero w IX w. dwóch perskich naukowców – Dżabir Ibn Hajjan, zwany Gaberem, oraz Abu Bakr al-Razi, zwany Rhazesem – odkryli jego sekret. Udało im się rozdzielić wino na zwykłą wodę i esencję, wykorzystując różne temperatury parowania obu substancji. Ta metoda nosi nazwę „destylacja", a esencję nazwano tak, jak po arabsku określano wszystkie



Średniowieczny alembik

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAKEMAKE

uzyskane w podobny sposób substancje, czyli „al-kuhl" – alkohol. Przez długi czas w Europie używano tej nazwy w ten sam sposób, co w Arabii. Dopiero w XIX w. – gdy rozwinęła się chemia – zaczęto określać tak wyłącznie związki organiczne zawierające grupy wodorotlenowe połączone z węglem. Tylko jeden z nich – etanol – jest zdatny do spożycia.

... i destylacja

Persowie i Arabowie wyznawali islam, uznający piwo i wino za religijnie nieczyste, w związku z czym destylacja była raczej kwestią teoretyczną. Jej praktyczne wykorzystanie rozpoczęli Włosi. W XIII w. Taddeo Alderotti zbadał destylację naukowo i wykazał, że w ten sposób można uzyskać niemal czysty alkohol. Pojawiły się więc pierwsze destylaty alkoholowe, nazywane spirytusami – „spirytus" to po łacinie „duch", w tym przypadku „duch wina". Jako że destylaty wina nie były popularne w Polsce – bo i wino nie było popularne –są one u nas znane raczej pod nazwami lokalnymi: włoska grappa, południowofrancuski armaniak i północnofrancuski koniak, niemiecki weinbrand czy angielska brandy. W tych dwóch ostatnich nazwach pobrzmiewa lokalna nazwa destylacji, czyli wypalanie. I właśnie wypalanką czy winiakiem takie alkohole nazywa się w Polsce.

W Rzeczypospolitej z pszenicy robiono pieczywo, z jęczmienia warzono piwo, więc do produkcji spirytusu wykorzystywano żyto. Najpierw warzono z niego coś w rodzaju piwa – żyto jest zbyt lepkie do produkcji właściwego piwa – a uzyskany w ten sposób półprodukt, zwany zacierem, destylowano, otrzymując wódkę. Polska wódka była z reguły dobrej jakości, w przeciwieństwie do podobnych wynalazków z zachodu Europy, które były tak niesmaczne, że trzeba było ich zapach i smak maskować ziołami. Holendrzy i Anglicy stosowali do tego owoce jałowca, a ich pachnące w ten sposób wódki nazywają się jenever i gin.

Destylować można było zresztą wszystko. W Azji spirytusy powstają na bazie Mi-chiu, np. chińskie Baijiu czy japońskie Shōchū. Na Bliskim Wschodzie destyluje się wszystko, co jest pod ręką – wino, daktyle, figi, inne owoce – a otrzymany napitek doprawia się anyżkiem. Tak powstaje arak, znamy pod wieloma lokalnymi nazwami (m.in. uzo, raki, pastis). Meksykańska tequila powstaje ze sfermentowanego soku z agawy, karaibski rum ze sfermentowanego soku z trzciny cukrowej, szkocka whisky z nieudanego piwa, a amerykański burbon – z zacieru kukurydzianego.

W XIX w. do produkcji spirytusu używano tanich ziemniaków i zaczęto wykorzystywać go w przemyśle – chociażby do barwienia tkanin. Od tamtej pory alkoholu spożywczego produkuje się kilka, a może kilkunastokrotnie mniej niż alkoholu przemysłowego. Mimo to przynosi on rządom olbrzymie zarobki – w połowie XIX w. Szwecja wprowadziła państwowy monopol alkoholowy i jej śladem podążyły inne państwa. Cena alkoholu spożywczego to przede wszystkim podatki – od 75 do 90 proc. Jak widać, alkohol to trucizna także dla kieszeni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e



Polscy żołnierze w bitwie pod Kockiem
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wrzesień 1939 r. / Ocena Niemców

Polski żołnierz pod niemiecką lupą



Piotr Zychowicz

Dowódcy Wehrmachtu bardzo pozytywnie oceniali swoich polskich przeciwników. Rzeczypospolitej w 1939 r. nie zabrakło waleczności, tylko broni przeciwpancernej

Podobno uznanie w oczach nieprzyjaciela jest najwyższą formą zadośćuczynienia za żołnierski trud. Jeżeli tak, to polscy żołnierze broniący ojczyzny podczas kampanii 1939 r. spisali się znakomicie. Z zachowanych wspomnień Niemców walczących w Polsce wyłania się bardzo pozytywny obraz polskiego żołnierza. Jego karności, waleczności i wyszkolenia.

Słowa uznania o polskich żołnierzach można znaleźć zarówno we wspomnieniach szeregowych żołnierzy Wehrmachtu, jak i w rozkazach oraz pamiętnikach niemieckich generałów.

Gdy 6 października kapitulowała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie", między polskim a niemieckim dowódcą doszło do takiej oto wymiany zdań:

Generał Gustav Anton von Wietersheim: – Biliście się tak, jak tylko Niemcy bić się potrafią.

Generał Franciszek Kleeberg: – Wykonaliśmy to, co do nas należało. Skończyła się amunicja, skończyliśmy się bić.

Wysoką opinię o polskim żołnierzu miał również marszałek Albert Kesselring.

Będzie to wyrazem szacunku dla polskiego dowództwa – pisał – jak i podniesieniem wagi niemieckich dokonań, jeśli w tym miejscu stwierdzę, że polskie wojska przepełniała niezłomna wola walki, a kierownictwo wojskowe mimo trudnych warunków dowodzenia i komunikacji starało się określić swoje priorytety w toczonych bitwach.

Zabity adiutant

Ciekawe są również zapiski dotyczące kampanii polskiej legendarnego dowódcy niemieckich sił pancernych, twórcy koncepcji blitzkriegu, Heinza Guderiana. Generał nacierał na Pomorze, skąd wywodziła się jego rodzina. On sam urodził się w 1888 r. w Chełmnie, które zdobył w 1939 r. I witał w nim wizytującego front Hitlera.

Już pierwszego dnia wojny oddziały Guderiana zostały ostrzelane przez polskie armaty przeciwpancerne. Zginęli jeden oficer, jeden podchorąży i ośmiu żołnierzy. W kolejnych walkach Polacy

eprasa.pl dc2966a19e

zabili adiutanta Guderiana, ppłk. Braubacha. Sam generał też znalazł się pod ogniem.

Druga zmotoryzowana dywizja piechoty zameldowała o północy, że naciskana przez polską kawalerię zmuszona jest się cofnąć – pisał Guderian. – W pierwszej chwili po prostu oniemiałem, potem jednak wziąłem się w garść i zapytałem dowódcę dywizji, czy słyszał kiedykolwiek o tym, aby pomorscy grenadierzy uciekali przed nieprzyjacielską kawalerią. Odpowiedział przecząco i zapewnił mnie, że utrzyma swe pozycje. Niemniej jednak postanowiłem następnego ranka odwiedzić tę dywizję. Gdy przybyłem tam o 5 rano, stwierdziłem, że sztab dywizji jest w dalszym ciągu do pewnego stopnia bezradny.

Według Guderiana polskie uderzenia w pierwszych dniach kampanii wywoływały w niemieckich szeregach panikę. Generał w rozmowie z Hitlerem nazwał Polaków „mężnym i uporczywym przeciwnikiem".

Ciekawe oceny żołnierzy Wojska Polskiego możemy również znaleźć w zapiskach gen. Hansa Felbera, które opublikował tygodnik „Der Spiegel" w 1969 r. Dotyczą one bitwy nad Bzurą i uderzenia wyprowadzonego przez gen. Tadeusza Kutrzebę:

12 września. Noc minęła spokojnie, ale wczesnym rankiem znów zaczęło się nieprzyjemnie. O siódmej rano, gdy właśnie kończyłem się ubierać, otrzymałem sygnał od jednego z korpusów. Sytuacja była bardzo krytyczna: wróg przełamał nasze linie w newralgicznym miejscu. Nie mieliśmy pod ręką żadnych sił, które by mogły zatkać lukę. Sytuacja była fatalna. Poza tym uderzenie wroga było skierowane na naszą kwaterę główną. Dopiero po kilku godzinach stało się jasne, że nasze ruchy powstrzymały wrogi atak.

15 września. Wczoraj znów był dzień wielkiej bitwy. Polski dowódca, którego mamy przed sobą, jest świetny. To ich najlepszy i najmłodszy dowódca. Facet broni się z największą brawurą. Sytuacja wojsk zamkniętych w kotle z pewnością jest niewesoła. Pomimo wszelkich trudności z zaopatrzeniem Polak stale posuwa się naprzód.

16 września. Polacy walczą wzorowo.

Z kolei marszałek Erich von Manstein w swoich wspomnieniach „Stracone zwycięstwa" z uznaniem pisał o „odwadze i dzielności, z jaką do końca bili się polscy żołnierze". Według niego przy lepszym dowodzeniu mogli oni utrzymać front aż do czasu rozpoczęcia ofensywy przez Francuzów i Brytyjczyków.

Według niemieckiego dowódcy byłoby to jednak możliwe wyłącznie, gdyby Śmigły-Rydz – zamiast podejmować obronę wzdłuż granic, co doprowadziło do rozbicia jego armii – od razu skrócił front, skoncentrował wojska w głębi kraju i bronił się na linii wielkich rzek.



Medal upamiętniający gen. Tadeusza Kutrzebę i bitwę nad Bzurą FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JACEK HALICKI, PROJEKTANT MEDALU: ZBIGNIEW KOTYŁŁO



Wówczas III Rzesza znalazłaby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Niemieckie dowództwo pozostawiło bowiem w 1939 r. naprzeciw Francji niewystarczające siły. Jak podkreślał Manstein, dowództwo podjęło „bardzo wysokie ryzyko na Zachodzie, aby tym samym zyskać wielką przewagę na Wschodzie". „Gdyby Brytyjczycy i Francuzi doszli do Renu – pisał generał – Niemcy musieliby przerwać kampanię w Polsce i przerzucić swoje siły na Zachód w celu ratowania ojczyzny".

Oczywiście to tylko rozważania teoretyczne, bo i tak los Polski przypieczętowałoby wkroczenie Sowietów… Ale słowa Mansteina do dziś są przedmiotem debaty między historykami z kategorii „Co by było, gdyby…".

Werdykt Hitlera

Gdy czyta się pochwalne opinie niemieckich generałów na temat polskiego wojska, nasuwa się oczywiste pytanie: Skoro mieliśmy takich wspaniałych żołnierzy, to dlaczego zostaliśmy tak dotkliwie pobici? Dlaczego wrzesień 1939 r. przyniósł nam taką koszmarną klęskę? Badacze wskazują wiele przyczyn.

Kiepskie dowodzenie naczelnego wodza marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza i niekompetencja innych dowódców, brak pomocy naszych zachodnich „sojuszników", sowiecki cios w plecy. Do tego fatalny przebieg granic Polski, które po upadku Czechosłowacji były w zasadzie nie do obrony – Niemcy mogli nas zaatakować z trzech kierunków: północy (Prusy), zachodu (Rzesza) i południa (Słowacja). W takiej sytuacji strategicznej kampanii nie wygrałby nawet Napoleon.

Wszystko to oczywiście prawda. O przegraniu wielu potyczek i bitew z Niemcami zadecydowało jednak coś zupełnie innego – brak dużej liczby ciężkiego sprzętu. Dysproporcja w uzbrojeniu obu stron była rażąca. Niemieccy żołnierze wcale nie byli lepsi od polskich. Byli po prostu lepiej uzbrojeni. Mieli więcej czołgów i samolotów.

Przyznał to po zakończeniu kampanii sam Adolf Hitler: „Gdyby Polska miała broń przeciwpancerną, zwycięski pochód nie byłby możliwy".

W porównaniu z III Rzeszą, potęgą przemysłową, Rzeczpospolita była niestety zapóźnionym cywilizacyjnie, w dużej mierze rolniczym krajem. A wojna to przecież starcie potencjałów. Demograficznego, industrialnego i logistycznego. Na wszystkich tych polach Polska ogromnie ustępowała mocarstwu, którym były Niemcy.

Na koniec jeszcze jeden cytat z marszałka Mansteina, który – jak wiadomo – miał polskie korzenie. Urodził się jako Erich Lewiński, potomek starego kaszubskiego rodu szlacheckiego.

W jednej z sal – wspominał swoje wrażenia z Polski – wisiał wielki obraz olejny przedstawiający następcę Piłsudskiego, marszałka Rydza-Śmigłego. Stał w majestatycznej pozie, ze srebrną buławą marszałkowską zakończoną dużą gałką, wskutek czego przypominała średniowieczną maczugę, a w jego tle atakowali polscy ułani.

Pewny siebie zarozumiale spoglądał na nas z góry. O czym mógł teraz myśleć ten człowiek? Los dowodzonej przez niego armii był już przypieczętowany, jako że w tych dniach dobiegała końca bitwa nad Bzurą. Państwo, którym kierował, znalazło się na skraju katastrofy. On sam zaś nie okazał się bohaterem. Niebawem miał zostawić swych żołnierzy na pastwę losu i uciec do Rumunii.

Tak, to była heroiczna, ale i bezbrzeżnie smutna historia…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dc2966a19e

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl dc2966a19e

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

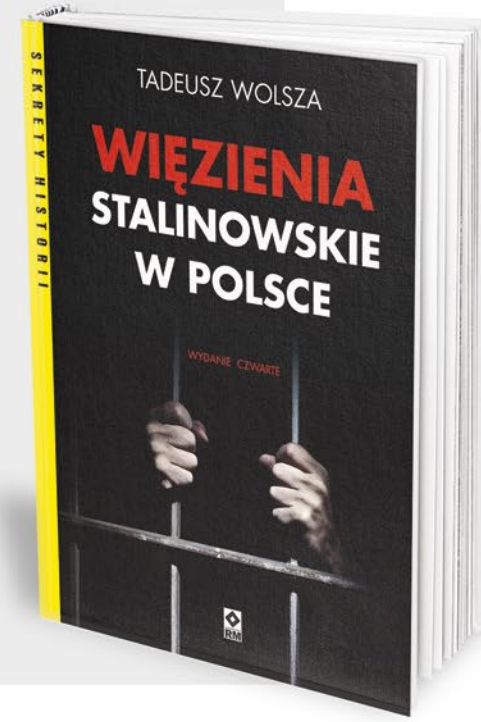
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TADEUSZ WOLSZA: „WIĘZIENIA STALINOWSKIE W POLSCE”

Książka profesora Tadeusza Wolszy to pierwsza udana próba pełnego spojrzenia na życie codzienne więźniów politycznych w Polsce w latach największego komunistycznego terroru (1945-1956).

Korzystając z dostępnej od niedawna dokumentacji Departamentu Więziennictwa i Obozów MBP oraz obficie czerpiąc z memuarystyki, Autor przedstawił codzienność w różnego rodzaju miejscach odosobnienia – więzieniach, obozach, ośrodkach pracy. Opisał metody represji, niewolniczą pracę w kopalniach, kamieniołomach i gospodarstwach rolnych. Odtworzył pobyt skazanych i ostanie chwile życia w celi śmierci między innymi Hieronima Dekutowskiego „Zapory” i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. W pasjonujący sposób opisał też ucieczki więźniów z konwojów i zakładów karnych, na przykład z Krakowa, Sieradza, Strzelec Opolskich i więzienia mokotowskiego w Warszawie. W końcu imiennie wskazał na najbardziej brutalnych funkcjonariuszy straży więziennej, odpowiadających za skrytobójcze mordy popełnione na żołnierzach wyklętych.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

174 zł

oszczędność 40 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dc2966a19e

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl dc2966a19e